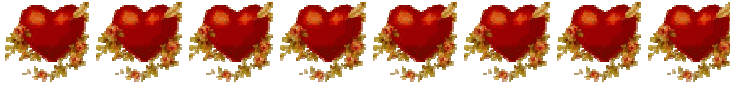




**ADLER ELIZABETH**  
**DOM NA WYBRZEŻU**





Dla najdroższych Reda i Jeny'ego - dedykuję wam tę książkę, choć was w niej nie ma!

Życie nie jest nam dane na zawsze. To dar losu i musimy mądrze wykorzystać nasz czas. Od nas zależy, jak go spędzimy.

Mifunne

RS



## Rozdział 1

Lamour Harrington

Od dwóch lat mieszkam sama; nie chcę, by choćby pies czy kot zakłócał moją samotność. Moja przyjaciółka Jammy Mortimer, która zna mnie od dziecka, uważa, że dziwaczję.

- Ta cała samotność ci nie służy - mówi z wrodzoną szczerością.
- Skończysz jako stara, gruba dziwaczka, która nikogo nie wpuszcza do domu, nawet mnie.

To oczywiście nieprawda; Jammy zawsze może do mnie przyjść. A co do wagi, ostatnio jeszcze bardziej schudłam. Jestem bardzo zajęta, przynajmniej w ciągu dnia, i jedzenie to nawyk, o którym coraz częściej zapominam. Jestem architektem zieleni, wnoszę piękno w cudze ogrody, wyczarowuję „pokoje” pod gołym niebem, czasami małe i pachnące, czasami dzikie i nieujarzmione, ale zawsze pełne szumu wody, szeptu strumienia, szmeru fontanny. Uwielbiam wnosić życie w martwe przestrzenie za sprawą trawy, krzewów, kwiatów, drzew. Drzewa kocham najbardziej. Czasami się zastanawiam, jak wyglądałoby nasze życie bez nich?

Pewnie tak jak moje teraz, bez Aleksa, mojego męża, który dwa lata temu zginął w wypadku samochodowym. Po raz drugi straciłam ukochanego mężczyznę w nieszczęśliwym wypadku. Pierwszy, mój ojciec, utonął w niewyjaśnionych okolicznościach, kiedy miałam siedemnaście lat.

Jestem przekonana, że nie sposób w zaledwie kilka sekund dojść do siebie po utracie najbliższej osoby. Nie sposób uporać się z wizją przyszłości bez niej. Mój mąż był moją miłością, moim najlepszym przyjacielem, moim towarzyszem.

- Musisz wziąć się w garść i żyć dalej - radzili przyjaciele kilka miesięcy po jego śmierci.

I próbowałam. Tak, wróciłam do pracy, ale nie stać mnie na nic więcej.

Siedzę tu teraz, w moim apartamencie w Chicago, dwadzieścia pięter nad szarym jeziorem targanym wiatrem. Ściskam w rękę zapomniany kubek z kawą i wspominam, co to za uczucie być szczęśliwą. Fikusy w donicach na tarasie dygocą z zimna; przywodzą mi na myśl wypieszczone drzewka cytrusowe na włoskim wybrzeżu Amalfi, na zimę chronione przed mrozem,

wiosną zapierające dech w piersiach pięknymi kwiatami, których zapach odurza.

I nagle, nieoczekiwanie - nie robiłam tego od dawna myślę o moim ojcu, Jonathonie Harringtonie, który dał mi na imię Lamour po mojej pięknej, choć płoczej prababce z Nowego Orleanu, i o tym, jak zabrał mnie do Rzymu, gdy pisał powieść.

Zapewniał, że powieść okaże się sukcesem - jak mogłoby być inaczej, skoro powstawała w mieście przesiąkniętym historią, kulturą i seksem? Nie powiedział „seks”; w końcu miałam tylko siedem lat. Chyba powiedział: „zmysłowością”, choć wtedy znaczenie i tego słowa nie do końca rozumiałam. A później, ku mojemu zdumieniu, bo przecież dla mnie był po prostu ojcem, jego powieść naprawdę okazała się sukcesem. Twierdził, że dzięki niemu zapomniiał o bólu tworzenia.

Tego też nie rozumiałam, bo jeśli dobrze pamiętam, większość czasu spędzał w barze na piazza niedaleko naszego domu. Nie dla nas renesansowe palazzo i jego rzeźbione fasady, charakterystyczne dla lepszych rzymskich dzielnic, palazzo, którego wnętrza - pełne złota, luster i drogich posadzek - od wieków udzielały schronienia bogatym rzymianom. Nam wystarczyło mieszkanie w Trastevere, wówczas jeszcze dzielnicy robotniczej, na ostatnim piętrze kamienicy ze stiukami, kapryśną kanalizacją i niebezpieczną instalacją elektryczną. Dla siedmiolatki, wolnej jak ptak na uliczkach brukowanych kocimi łbami, to był prawdziwy raj.

Ledwie wysiedliśmy z samolotu Alitalia prosto w upalne, rzymskie słońce, mój ojciec Jonathon Boyland Harrington z Atlanty w Georgii powiedział, że od tej pory mam się do niego zwracać Jon-Boy, nie tatuś. Tłumaczył, że poczuje się bardziej dorosła. A on sam, jak się domyślam, chciał być nie samotnym rodzicem, ale pisarzem z Południa. Miał dosyć roli samotnego ojca, którą grał, odkąd miałam trzy lata i zajął się mną, kiedy odeszliśmy od mamy, bo, jak wyjaśnił, ciągle piła i się włóczyła. Oczywiście nie wiedziałam, co miał na myśli, mówiąc, że się włóczyła, ale, nawet taka mała, wiedziałam, co to znaczy, że piła.

- Ja nigdy nie będę piła ani się włóczyła, Jon-Boy - obiecałam tamtego dnia na rzymskim lotnisku. Nagrodził mnie krzywym uśmiechem i uniesieniem brwi, wtedy stawał się jeszcze przystojniejszy, i powiedział:

- Pewnie, że nie: Włoszki się tak nie zachowują. Wywnioskowałam z tego, że od tej chwili jestem Włoszką, przynajmniej dopóki jesteśmy w tym kraju.

Mieszkaliśmy w labiryncie wąskich, tajemniczych, krętych uliczek, właściwie zaułków, wśród wysokich budynków. Spod wielowiekowych sztukaterii przebijała szara cegła, nad głowami zawsze suszyło się pranie - śnieżnobiałe koszule, kolorowe obrusy, białe prześcieradła. Na dachach, wśród anten telewizyjnych, rosły rachityczne drzewka. W zaułkach pachniało kotami i świeżą kawą, praniem i upałem, który trwał w nagrzanym kamieniu.

Moja nowa dzielnica nie kusiała blichtrzem, ale była przytulna, choć na obcy, cudzoziemski sposób. Z pewnością lata świetlne dzieliły ją od przedmieścia z równo przystrzyżonymi trawnikami, nazywanego przeze mnie w moim krótkim życiu domem; tam czuć było prażoną kukurydzę i świeżo skoszoną trawę. Zapachy rzymskie były nowe i kuszące.

Nasz zaułek nazywał się vicolo del Cardinale, choć wątpię, by dostojnik w purpurze kiedykolwiek mieszkał gdzieś w pobliżu. Może kiedyś przespacerował się tędy i stąd nazwa. Zazwyczaj byłam w vicolo już od rana, machałam nowym przyjaciółom, których widziałam przez okna w ciasnych kuchniach; zdążyli już wrócić z rynku - a ja wiedziałam wtedy, że zaspałam.

Tamtejsze kobiety wiedziały, za sprawą poczty pantoflowej, że nie mam matki; ponieważ zazwyczaj włóczyłam się sama, miały na mnie oko. Zawsze pytały, dokąd idę, i z dezaprobatą kręciły głowami, kiedy mówiłam, że nie chodzę do scuola elementare i że Jon-Boy sam mnie uczy. Ale i tak go lubiły. Jakżeby nie? Był uosobieniem dżentelmena i zawsze miał czas na pogawędkę.

Wszystkie były dla mnie jak babcie o dobrych, pomarszczonych twarzach, podobne do siebie w czarnych sukniach i butach na płaskim obcasie. W ich kuchniach zjadałam się domowym makaronem, podziwiałam zdjęcia ich dorosłych synów i „prawdziwych” wnucząt, obiecywałam, że będę grzeczna, pewnego dnia wyjdę za mąż i dam Jon-Boyowi wnuka.

- To mu dobrze zrobi - mruzczały zadowolone, że tak szybko rozwiązały nasz problem. Szkoda, że im się to nie udało.

A ja upajałam się pierwszym haustem wolności, gdy wybiegałam w wąski zaułek, ledwie ochlapawszy twarz wodą, z ciemnymi włosami niedbale

splecionymi w warkocz, który kołysał się między łopatkami. Podążałam tam, skąd dochodził smakowity zapach świeżo mielonej kawy i słodkich bułeczek. Biegłam wąską, cienistą uliczką, aż piazza wybuchła słońcem i gwarem.

Gazeciarz już rozstawił swój stragan i wyładowywał z wozu dostawczego włoskie dzienniki, magazyny sportowe i krzyżówki - większość swojego towaru. Tuż za nim, oddzielony jedynie kilkoma metalowymi stolikami i krzesłami, które skrzypiały niemiłosiernie, ilekroć ktoś je przesuwiał po bruku, był bar Marchetti. Przy kontuarze już stali pierwsi klienci, mężczyźni. Opierali jedną stopę na mosiężnej podpórcie, przrzucaли poranną gazetę i wychylali espresso słodkie jak ulepek.

Po drugiej stronie Adriana, kwiaciarka, machała do mnie z drewnianej budki zza wazonów z kolorowymi kwiatami. Zbaczałam z wcześniej obranej drogi, żeby dać jej całusa na dzień dobry. Wpinała mi różowy goździk we włosy i pytała troskliwie, kiedy wreszcie pójde do szkoły, jak normalne dzieci. Zapewniałam ją, że Jon-Boy będzie mnie właśnie uczył matematyki. To oczywiście nieprawda, Jon-Boy w matematyce był mniej więcej na poziomie siedmiolatka, tak samo jak nie czuł wartości pieniądza. Ale to inna historia.

I znowu biegłam, zatrzymywałam się tylko, żeby zajrzeć przez wysokie drewniane wrota do małego kościółka, zwieńczonego kopułą i krzyżem. Skromne wejście prowadziło do intrygującego wnętrza, skrytego w półmroku, a jednak wabiącego złotem i freskami. Nie wchodziłam, bo śpieszyłam się do baru na kawę i cornetto, typowe śniadanie Włocha - przecież po kilku miesiącach w tym kraju uważałam się za prawdziwą Włoszkę.

- Buon giorno, Angelo. - Stawałam na mosiężnej poręczy i opierałam się łokciami o kontuar. Gryząc koniuszek warkocza, obdarzałam go szczerbatym uśmiechem siedmiolatki.

Angelo miał około trzydziestki. Był potężny, barczysty, o grubym karku. Niesforne włosy okalały okrągłą, niedogoloną twarz. Miał lśniące piwne oczy ocenione długimi rzęsami, jak krowa, i duże, białe zęby.

Był pierwszym mężczyzną, z którym flirtowałam. Dopóki nie przyjechałam do Rzymu, nie wiedziałam, na czym to polega, ale kiedy siedziałam z Jon-Boyem w rzymskich kafejkach, obserwowałam eleganckie

kobiety: zwalniały kroku, uśmiechały się do niego lekko, odwracały głowy i posyłały mu przeciągłe spojrzenia, które mówiły wszystko, co kobieta może chcieć powiedzieć mężczyźnie. Ja wprawiałam się więc na Angelu, a on, jak większość Włochów, przepadał za dziećmi i pozwolił, bym owinęła go sobie dokoła małego paluszka. Wątpię, czy dzisiaj coś takiego by mi się udało.

- Ciao, helia - mówił, brał ode mnie pieniądze i wręczał rachunek, który z kolei oddawałam mu w zamian za śniadanie. Tak to się robi we Włoszech. Angelo wiedział, co zamówię, i od razu szedł do syczącego, prychającego ekspresu do kawy i robił mi cappuccino, napój, który jako pierwsi zaparzyli mnisi kapucyni na długo przed wynalezieniem ekspresu do kawy i za który jestem im dogonnie wdzięczna.

Angelo czekał, aż w mojej filiżance urośnie sterta pysznej pianki, posypywał ją sproszkowaną czekoladą i stawiał przede mną. Wybierał najsmakowitsze cornetto, owinięte w woskowany pergamin, i wręczał mi uroczyście. Oprócz włoskich lodów i prawdziwej pizzy to mój ulubiony przysmak. Uwielbiałam chrupkie i twarde warstwy, które, gdy wbijałam w nie zęby, sypały się na koszulkę deszczem okruszków, a później docierałam do rozkosznie słodkiego, miękkiego nadzienia. Upijałam spory łyk cappuccino, wycierałam usta wierzchem dłoni i posyłałam mojemu bohaterowi promienny uśmiech.

- Pyszne - mówiłam, bo z tego wszystkiego zapomniałam mówić po włosku.

- Pyszne! - odpowiadał, a ja się śmiałam, bo w jego ustach brzmiało to bardzo śmiesznie.

- Ecco, jakie masz plany na dzisiaj? - pytał powoli i wyraźnie, żebym wszystko zrozumiała. (Nigdy nie nauczyłam się dobrze włoskiego - koniugacja na zawsze pozostała dla mnie tajemnicą).

- Idę na Campo de Fiori po sałatę na kolację. - Klepałam się po kieszeni dzinsów, dumna, że czeka mnie tak poważne zadanie. - Mam kupić sałatę, ser i prosciutto. I chleb.

- A nie powinnaś być w szkole? - zadawał pytanie, które prześladowało mnie przez cały pobyt w Rzymie. Zbrywałam je nonszalanckim wzruszeniem ramion, choć w głębi serca zaczynałam się denerwować. A jeśli policja po mnie przyjdzie? I aresztują mnie na środku piazza, na oczach wszystkich? A

jeśli zaciągną mnie do szkoły, przed oblicze dyrektora, i uczniowie to zobaczą? Na samą myśl o takim upokorzeniu otwierałam szeroko buzię, a nie jest to przyjemny widok, jeśli się zajada cornetto, ale Angelo klepał mnie po ramieniu, uśmiechał się i mówił: - Ciesz się, póki możesz, piccolina. Pamiętaj, życie jest krótkie. - I podsuwał mi drugie cornetto. Mrugał przy tym znacząco: to na koszt firmy. A później zajmował się innymi klientami, którzy schodzili się tłumnie na poranne espresso.

Kofeina dudniła mi w żyłach, sprawiała, że biegłam w radosnych podskokach, mijając pizzerię Vesuvio, mój ukochany lokal; bez problemu odnajdywałam drogę w gąszczu wąskich uliczek, w szalonym rzymskim ruchu, wśród samochodów, które nie zatrzymują się przed nikim.

Na skraju Campo de Fiori rozkoszowałam się widokiem. Owoce i warzywa, których zapach łaskotał w nosie, a kolory kusily oczy, piętrzyły się na straganach. Nad brzoskwiniami unosiły się osy, kobiece głosy wypełniały cały plac gwarem. Eleganckie rzymianki, długonogie, w krótkich spódniczkach, na wysokich obcasach, z nieskazitelnymi fryzurami, wybierały dojrzałe cukinie i białe pieczarki równie wprawnie jak moje przyszywane babcie spowite w czerń. Tylko doskonały towar trafiał do ich koszyków.

Stragany z kwiatami koło fontanny przyćmiewały skromne bukiety Adriany. Dumne pomarańczowe gladiole, wiadra pastelowych róż i lilii, których zapach oszałamiał z daleka, i jeszcze kosze fiołków. Kupiłam mały bukietek do swojego pokoju i pojedynczą lilię dla ojca. Wręcę mu ją wieczorem, przy kolacji, na którą podam szynkę i ser, artystycznie ułożone na talerzach. A Jon-Boy wychyli kieliszek ulubionego białego frascati. To będzie dowód mojej miłości, bo żadna dziewczynka nie kocha swojego ojca tak jak ja.

Nagły powiew wiatru sprawił, że fikusy zadrżały jeszcze bardziej na tarasie i tak wróciłam do szarej chicagowskiej rzeczywistości. Wspomniłam, jak się czułam w tamten rzymski poranek, w blasku słońca, z podskakującym na plecach warkoczem. Uśmiech Angela przyspieszał rytm mojego serca, słodkie cornetto rozplęwało mi się w ustach, pocałunek Adriany sprawiał, że czułam się kochana. I ten intensywny, niezapomniany zapach lilii na Campo de Fiori. Uśmiechnęłam się. Nagle zrozumiałam, że to ulotne uczucie to szczęście.



Tamtego słonecznego rzymskiego ranka nie wiedziałam jeszcze, co to prawdziwe szczęście. Prawdziwe nadejdzie dopiero rok później, kiedy Jon-Boy zabierze mnie do naszego domku w Amalfi. Tam, gdzie dziesięć lat później zginie w tajemniczych okolicznościach.

RS

## Rozdział 2

Ciszę mojego apartamentu zakłócił dźwięk dzwonka. Wyrwał mnie z marzeń. Zimna kawa rozlała się na fotel.

- Cholera - mruknęłam, wycierając jasne obicie chusteczką. - Cholera, kogo niesie?

Rzuciłam się do domofonu i mało przyjaznym głosem zapytałam:

- Kto tam?

Westchnienie Jammy było jak powiew wiatru.

- Tu ziemia - powiedziała dziecinnym głosem, który nie zmieniał się mimo upływu lat. Dodawało jej to uroku, jak Jackie Kennedy.

I ja westchnęłam; wiedziałam, po co przyszła i co mi powie - kolejny raz. Jammy nigdy nie dawała za wygraną.

- Dobra, wejdź - mruknęłam zrezygnowana.

- Nie, nie wejść, ty zejdziesz. Zabieram cię na drinka i na kolację. Nieważne, co masz na sobie, narzuc płaszcz i chodź. Idziemy do włoskiej knajpki.

- Jest dopiero wpół do szóstej - zaprotestowałam, rzuciwszy okiem na zegar w kuchni. - Za wcześnie, żeby pić.

- A nie słyszałaś starego powiedzenia, że gdzieś na świecie na pewno jest już szósta? No, umaluj się trochę, wkładaj płaszcz i chodź, pronto. Jeśli nie, zagadam Serge'a na śmierć, a wiesz, jak tego nie lubi. Będziesz musiała dać mu większy napiwek niż zwykle, więc się pospiesz.

Znowu westchnęłam, ale i uśmiechnęłam się pod nosem. Serge. Portier. Stary Rosjanin mieszkał w Stanach od ponad czterdziestu lat, a nadal bardzo słabo mówił po angielsku. „Trudny” to łagodne określenie jego charakteru, ale pracował w tym budynku o wiele dłużej, niż ja w nim mieszkałam, i tak miało być. Musieliśmy się jakoś dogadać.

Szybko zdjęłam dres (Jammy zna mnie aż za dobrze), wciągnęłam dzinsy i czarny golf, wsunęłam stopy w botki, musnęłam blade usta błyszczkiem. Zerknęłam do lustra. Nie wyglądałam dobrze. Wysoka i tak chuda, że dzinsy zwisały posepnie, do tego podkrążone oczy, zapadnięte policzki, niesforne ciemne loki - nic tylko je ostrzyć. Dracula w golfie. Wzruszyłam ramionami i

zebrałam włosy w koński ogon. Co mnie to obchodzi? I tak nikt nie zwróci na mnie uwagi.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła Jammy, ledwie wysiadłam z windy.

- Dzięki. - Zarzuciłam na ramiona kurtkę na podpince. - Nie ma to jak komplement na powitanie.

Pomachałyśmy naburmuszonemu Serge'owi. Jammy przytrzymała szklane drzwi, gdy wychodziłyśmy na zewnątrz.

- Wcale nie miałam ochoty nigdzie iść - mruknęłam. - Jest zimno i paskudnie i nie mam ochoty na drinka.

Jammy zatrzymała się w pół kroku i uniosła rękę.

- Lamour Harrington, do cholery, kto, jeśli nie ja, wywali ci prawdę prosto z mostu? - W jej błękitnych oczach zalśniły łzy, pewnie z nerwów.

- No dobra, masz rację. - Objęłam ją. - Ale kto chciałby tego słuchać?

- Ty. Musisz tego wysłuchać. I dlatego musisz sobie wypić.

Jammy wzięła mnie pod rękę i wędrowałyśmy razem, ramię w ramię, skulone, walczące z wiatrem, z rozczochranymi włosami. Miała tak długie nogi jak ja. Zawsze byłyśmy najwyższe w klasie, dopóki mieszkałam z Jon-Boyem niedaleko jej rodziny. To były początki jego samotnego rodzicielstwa i dlatego zamieszkaliśmy na porządnym przedmieściu dla klasy średniej.

Najmniejszy domek w starej, ocienionej drzewami dzielnicy Evanston, upstrzonej koszami do koszykówki i uschniętymi trawnikami. Nasi najbliżsi sąsiedzi: Selma i Frank Mortimerowie i trójka ich dzieciaków. Jammy, moja rówieśnica. Od razu się zaprzyjaźniłyśmy.

W domu Jammy było wszystko to, czego zabrakło w moim; mama codziennie szykowała domowe smakołyki: pieczeń, makaron z serem albo kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Lemoniadę w proszku robiłyśmy sobie same. Latem pani Mortimer smażyła konfitury i dżemy, kręciła się w kuchni, mieszała i pilnowała, aż na całej ulicy roznoślił się smakowity zapach, a nam ciągle ciekła ślinka. Stąd się wzięło przezwisko Jammy: wiecznie wylizywała garnki i biegła umazana dżemem, i tak z Jamie stała się Jammy.

Oczywiście mój ojciec, artysta, nie był szczęśliwy na przedmieściu. Zamieszkaliśmy tam, bo uznał, że tak będzie lepiej dla mnie. I oczywiście miał rację, choć, ku jego zdumieniu, okazało się to dobre także dla niego. Dom Mortimerów stał się moim domem, sąsiedzi zdjęli z barków Jon-Boya

ciężar samotnego ojcostwa, miał czas na spotkania z kobietami i starymi kumplami ze studiów, mógł do woli rozprawiać o literaturze, muzyce i powieści, którą zamierzał napisać. Wykładał literaturę angielską w miejscowym college'u; jeśli akurat nie miał zajęć, przesiadywał w kawiarni czy barze i zawzięcie coś notował. Pisanie to była dla niego praca fizyczna. Pisał naprawdę, ręcznie. Twierdził, że lepiej mu to wychodzi, niż kiedy pisze na maszynie.

Ja tymczasem właściwie zamieszkałam z Mortimerami. Z jednego noclegu robiło się kilka; nierzadko byłam u nich cały tydzień i z czasem stałam się częścią ich rodziny. Widzicie więc, że tatuś naprawdę zrobił to, co dla mnie najlepsze. Podobnie jak później, kiedy wprowadził Mortimerów w osłupienie, oznajmiając, że bierze urlop bezpłatny i jedzie do Włoch napisać powieść. I zabiera mnie ze sobą.

Oczywiście bałam się wyjazdu do obcego kraju: nie znałam tam żadnych dzieci, nie wiedziałam, czy mówią w moim języku. Ale jednocześnie bardzo się cieszyłam: tatuś kocha mnie tak bardzo, że nie potrafi mnie zostawić.

Kilka lat później, gdy wróciliśmy do Evanston, przyjaźniłam się nadal z Jammy, jak gdyby nigdy nic. A kiedy Jon-Boy na stałe wyjechał do Włoch, rodzina Mortimerów przyjęła mnie na swojego pełnoprawnego członka. Jon-Boy wpadał kilka razy w roku, aleja byłam zbyt zajęta szkołą, by jeździć do Włoch. Po raz ostatni widziałam go, gdy przyjechał na uroczystość rozdania świadectw ukończenia szkoły średniej.

Jammy była kimś więcej niż przyjaciółką; była moją siostrą. Razem przechodziłyśmy dramaty wieku dojrzewania: pierwsze uniesienia i zawody miłosne, jak wszystkie nastolatki. Jammy pomogła mi odzyskać równowagę psychiczną i fizyczną po śmierci Jon-Boya; utonął podczas sztormu u wybrzeża Amalfi. Nie znaleziono go nigdy - po prostu zniknął. Miałam wtedy siedemnaście lat, od dawna mieszkałam u Mortimerów. I tak już zostało.

W pięknej katedrze z IX wieku - z piękną mozaikową fasadą - tam, w Amalfi, odbyło się nabożeństwo żałobne, ale nie przyjmowałam do wiadomości, że Jon-Boy nie żyje, i nie pojechałam. Zamiast mnie był tam Frank Mortimer.

Z małym domkiem, który Jon-Boy, jak przypuszczałam, kupił z pieniędzy za książkę, wiązały się moje najpiękniejsze wspomnienia i po jego śmierci jeszcze długo nie chciałam nawet o nim myśleć. Minęło tyle lat, a ja nadal nie zdobyłam się na to, by wrócić do Amalfi i rozprawić się z duchami przeszłości.

Jammy i ja wiemy o sobie dosłownie wszystko. Tylko ona zdaje sobie sprawę z głębi rozpaczy, która mnie ogarnęła, gdy wydarzyła się druga tragedia w moim życiu: mój mąż Alex zginął w wypadku. Była tam ze mną, widziała, jak rozszypuję się na kawałki; została, żeby pomóc mi się pozbierać. Przez wiele tygodni nie opuszczała mnie ani na chwilę. Oznajmiła mężowi, że na razie musi sobie radzić sam, boja potrzebuję jej bardziej. A Mart, dobry, porządny człowiek, powiedział tylko:

- Jasne, skarbie, zrób dla niej, co w twojej mocy.

I teraz znowu do mnie przyszła, znowu stara się wyciągnąć mnie ze skorupy, gdzie się ukrywam. Skorupy, w której jest miejsce tylko na pracę, bo zapomniałam już, co to zabawa, zresztą i tak nie mam na nią ochoty. Poza tym, straciłam już dwóch mężczyzn, dwie moje miłości. Nie zaryzykuję, nie zakocham się w kolejnym. W moim życiu wszystko jest jasne. Mam pracę i tyle.

Jammy prowadziła mnie bocznymi uliczkami, osłoniętymi od wiatru nad jeziora, do małej włoskiej trattorii dumnie nazwanej Tre Scalini. Tre Scalini to niegdyś słynna rzymska restauracja na Piazza Navona. Tatuś zabierał mnie tam na pyszną granitę, deser w postaci mrożonej kawy i bitej śmietany.

- Zabawne, jak jedzenie wywołuje wspomnienia.

- Usadowiłam się na wysokim barowym stołku koło Jammy i skinęłam głową, kiedy pytająco uniosła brew. Zamówiła dwamartini z wódką ketel i trzema oliwkami, wstrząsane, jak James Bond. - Przypomina mi się prawdziwa Tre Scalini...

- Oczywiście w Rzymie. - Jammy oparła się na łokciu. Odgarnęła jasne włosy i spojrzała na mnie z ukosa. - Można by pomyśleć, że jesteś Włoszką i przez całe życie nie wychyliłaś nosa z Rzymu. No, chyba że po to, żeby wyskoczyć do... jak to się nazywa?

- Amalfi. - Naburmuszyłam się i spojrzałam w bok.

- A ta trattoria nijak się ma do prawdziwych włoskich knajp.

- Skoro tam jest tak wspaniale, czemu tam nie wrócisz? - Gniewnie patrzyła na nasze odbicie w lustrze za kontuarem.

Wniosłam moje martini w szyderczym toaście.

- Za lata przyjaźni.

Spojrzała na mnie roziskrzonym wzrokiem.

- Wiesz co, Lamour Harrington, stajesz się zgorzkniałą starą babą. Nie wiem, co ja w tobie widziałam. Właściwie mam ochotę stąd wyjść i zostawić cię na lodzie.

Zamurowało mnie na moment, a potem powiedziałam:

- Nie byłabyś pierwsza. Pamiętasz Skeetera Malone'a? Na balu maturalnym zostawił mnie dla Melanie Damato.

- Mówiliśmy na nią Melanie Tomato. Trzynaście lat i wielkie cycki, skręcało nas z zazdrości.

- No i co, nie jesteś gorsza. - Z zazdrością spojrzałam na jej obfity biust w staniku Victoria's Secret.

- Mnie to się nigdy nie udało. - Uśmiechnęłam się do jej odbicia.

- Skeeter Malone był draniem, że ci to zrobił - zauważyła, lojalna nawet po latach.

- No tak, ale kilka lat później ożenił się z tymi cyckami.

- Upiłam spory łyk martini i zakrztusiłam się, aż oczy zaszyły mi łzami.

- Chciałabym ich teraz zobaczyć - stwierdziła Jammy. Chichotałyśmy jak nastolatki.

- Wiesz, ile to już lat temu? - zamyśliła się.

Pokręciłam głową.

- Wolę nie liczyć. - Już wolniej upiłam martini i wsunęłam palce do kieliszka, żeby wyłowić oliwkę.

Jammy szturchnęła mnie w bok.

- Za coś takiego mama dałaby ci po łapach.

- I miałyby rację. Straciłam dobre maniery. Jak wszystko inne.

- Nie straciłaś wszystkiego, Lamour - Jammy nagle spoważniała - tylko przeszłość. Masz... mamy, dopiero trzydzieści osiem lat. Jeszcze wszystko przed nami.

Zapatrzyłam się w oliwki.

- Problem w tym, Jam, że przeszłość wydaje mi się ciekawsza. W milczeniu sączyła drinka i przyglądała mi się uważnie.

Po chwili ciągnęłam dalej:

- Zanim przyszłaś, usiłowałam sobie uświadomić, czym jest szczęście. Wspominałam swój pobyt z Jon-Boyem w Rzymie, przypomniało mi się, jaka byłam wtedy wolna. Bez troskie dziecko w nowym, ekscytującym świecie, a wszyscy wokół to przyjaciele. Znowu poczułam gorące słońce na plecach i zapach kwiatów we włosach. Przypomniłam mi się Angelo, moja pierwsza miłość, i jego szeroki uśmiech. No i ten smak porannego cappuccino i cometto, i zapach lilii na Campo de Fiori. - Podniosłam głowę, spojrzałam na nią. - Wiesz co, Jammy? Właśnie wtedy byłam naprawdę szczęśliwa.

W geście otuchy położyła mi dłoń na ramieniu.

- Z Alekssem też byłaś szczęśliwa, prawda? - zapytała, jakby mnie przesłuchiwała.

- Byliście razem sześć lat. Kochaliście się?

Wróciłam myślami do Aleksa, przypominałam go sobie. Był ode mnie niższy, dobrze zbudowany, miał głęboko osadzone ciemne oczy. Niemal czarne, gdy się ze mną kochał. Przypomniłam sobie jego oddech na moim policzku, gdy pierwszej nocy zasnęliśmy razem, i wspólny rytm, który odnalazły nasze ciała.

- O tak, kochałam Aleksa - wyznałam cicho. - Ale miłość i małżeństwo to obowiązki. A tamta dziewczynka w Rzymie była wolna.

Nasze oczy znowu spotkały się w lustrze i pociągnęłam kolejny nerwowy łyk martini. Widziałam, że Jammy kusi, by powiedzieć to, co automatycznie nasuwa się na myśl; teraz też jestem wolna, więc czemu nie poszukam tamtego uczucia?

- Zjedzmy coś - powiedziała dyplomatycznie i podeszła do dwuosobowego stolika przy oknie.

Zasłonka w biało-czerwona kratkę, zawieszona na mosiężnej szynie, oddzielała nas od zimnego wieczoru. Deszcz zasnuwał mgłą górną część szyby, jednak w małej knajpcie było bardzo przytulnie. Piec do pizzy emanował ciepłem, zapach sosu i kiełbasek drażnił podniebienie. Zamówiłam butelkę chianti, podawanego we słomianych koszyczkach. W college'u

piliśmy je ukradkiem, a później używaliśmy butelek jako świeczników. Nie pamiętałam tego wina z Włoch, bo Jon-Boy pijał tylko białe frascati.

Zamówiłam lasagne, a Jammy spaghetti z sosem ragout. Podjadaliśmy sobie wzajemnie z talerzy, delektując się jedzeniem. Przy drugim kieliszku wina Jammy zaskoczyła mnie na całego:

- W tym roku wybieramy się z Mattem do Włoch - rzuciła niby od niechcenia.

- Pomyśleliśmy, że może chciałabyś pojechać z nami.

Odłożyłam sztućce i przyjrzałam się jej uważnie.

- Wpadłaś na to teraz?

- Skądże. - Uniosła głowę, patrzyła na mnie wyzywająco. Obracałam kieliszek w placach i patrzyłam, jak próbuje się wywinąć.

- Kłamczucha! - zawołałam i obie się roześmiałyśmy.

- O Jezu, nawet nie wiesz, jak się cieszę, słysząc twój śmiech. Trudno mi to wytrzymać - stwierdziła. Jasne kosmyki wpadły jej do oczu i jak zawsze zniecierpliwiona odgarnęła je na bok.

- No dobra, skłamałam. Miałam powody. A gdybyśmy z Mattem wybierali się do Włoch? Pojechałabyś z nami?

Była taka szczerą i poważną jak w dzieciństwie, i znowu przypomniała mi się tamta dziewczynka we Włoszech. Szczęśliwa dziewczynka. Przypomniał mi się Jon-Boy, dom w Amalfi i ogrody spływające zieloną kaskadą do turkusowego morza.

- Może tak. - Nagle spodobał mi się ten pomysł. - Jeśli miałabym gwarancję, że znowu będę szczęśliwa.

Uradowana Jammy złapała mnie za rękę.

- Kobieto, na tym świecie nie ma gwarancji, są tylko okazje. Zamyśliłam się na chwilę i skinęłam głową.

- To prawda. Obiecuję, że się nad tym zastanowię.

Ale kiedy zaciskała kciuki, żeby nasza wyprawa się udała, ja marzyłam o czym innym. Chciałam odzyskać Jon-Boya i Aleksa.



## Rozdział 3

Jammy wróciła z kolacji z Lamour i zastała swojego męża Marta rozwalonego na kwiecistej kanapie w towarzystwie Bramble'a, wiekowego czarnego labradora. Mart z zamkniętymi oczami w skupieniu słuchał Rolling Stonesów, grających na jego Bang & Olufsenie.

- Pamiętasz, jak tańczyliśmy przy tej piosence, kiedy się poznaliśmy? - zapytała. Poglaskała Bramble'a, usiadła koło Marta i położyła mu głowę na ramieniu. Objął ją, przyciągnął bliżej i pocałował włosy pachnące wiatrem.

- Nie wiedziałem, że pamiętasz - mruknął, ale słyszała radość w jego głosie.

- Nie wiesz jeszcze o wielu rzeczach, które pamiętam - odparła tak posępnym tonem, że musiał się roześmiać.

- Na przykład, droga Jammy?

- Na przykład... że nie mieliśmy podróży poślubnej. Odsunął się.

- Będziesz mi to wypominać do końca życia? Byłem wtedy biednym studentem ekonomii. I wiedziałaś o tym, kiedy za mnie wychodziłaś. A ty byłaś równie biedną studentką akademii sztuk pięknych. - Przyjrzał się jej podejrzliwie.

- O co chodzi, Jammy? Coś ci chodzi po głowie, widzę to.

- Uśmiechnęła się promiennie. Jęknął głośno.

- Nie mam przed tobą żadnych tajemnic - zapewniła.

- Na miłość boską, mów.

- W tym roku pojedziemy do Włoch. Ty, ja i Lamour.

- Lamour pojedzie w naszą podróż poślubną?

- No, nie będzie to podróż poślubna, tylko podróż, która pomoże Lamour otrząsnąć się z żaloby.

Mart zamknął oczy i oparł głowę o kwieciste oparcie. Jammy obserwowała go uważnie. Widziała, że analizuje jej słowa i nie jest zadowolony.

- Oboje wiemy, że jest tylko jeden sposób, żeby Lamour otrząsnęła się z żaloby - odezwał się w końcu.

- Musisz jej powiedzieć prawdę o Aleksie.

Jammy obawiała się, że właśnie to powie.

- Ale jak? - jęknęła zdesperowana.

- To ją zabije.

- Albo postawi na nogi.

Jammy się wyprostowała. Spojrzała mu w oczy i patrzyła tak długo, aż nie mogła już wytrzymać jego szczerego spojrzenia i spuściła wzrok.

- Nie chcę być katem - szepnęła, biorąc go za rękę. Uniósł ją do ust.

- Jammy, kochanie, a nie przyszło ci do głowy, że tak naprawdę ją wyzwolisz? Powiedz jej i zobaczymy, czy będzie chciała jechać do Włoch.

Nagle dostrzegła lukę w jego rozumowaniu.

- To znaczy, jeśli jej powiem i mimo wszystko się zgodzi, pojedziemy? Jej jasne włosy opadły mu na twarz i stłumiły jego śmiech, kiedy mruczał:

- A już myślałem, że wygram tę rundę.

Jammy wciąż jednak myślała o Lamour i była przerażona, bo zobowiązała się powiedzieć jej o Aleksie.

- Żałuję, że nie wygrałeś - szepnęła. - Naprawdę.

## Rozdział 4

Portier Serge był nadęty jak zawsze. Jammy niecierpliwie stuknęła nogą, gdy powoli wykręcał numer Lamour, lecz tym razem nie uśmiechnęła się do niego mile. Pieprz się, Serge, pomyślała gniewnie. Mam na głowie ważniejsze sprawy niż twój dobry humor.

- Pani Harrington prosi, żeby pani weszła, pani Haigh - oznajmił, ważny jak zawsze.

Jammy skinęła głową i wbiegła do eleganckiej windy wyłożonej lustrami. Wcisnęła dwudzieste piętro.

Winda zatrzymywała się bezpośrednio w holu apartamentu Lamour. Na początku jej małżeństwa z Alekssem obie były tym zachwycone; pochodziły przecież ze zwykłego przedmieścia i mieszkały w skromnych, wynajętych mieszkaniach. Lamour twierdziła, że ponad rok trwało, zanim się przyzwyczaiła do Lake Shore Drive, ale stało się tak, bo wyszła za bogatego mężczyznę. Przynajmniej jeśli chodzi o pieniądze, poprawiła się Jammy szybko, bo pod innymi względami jej zdaniem Alex Monroe nie miał nic.

- Cześć! - zawołała, wchodząc do ogromnego salonu. Całą jedną ścianę zajmowały okna z widokiem na jezioro, tego dnia spokojne. Różowy zachód słońca łagodził jego szarość.

Minimalistyczny wystrój wnętrza tego apartamentu zawsze przywodził Jammy na myśl jej dom w stylu ranczo.

- Dlaczego ilekroć tu przychodzę, wstydę się mojego domu? - mruknęła, obejmując przyjaciółkę.

- Dlaczego do razu chcę wyrzucić wszystkie bibeloty i zmienić kwieciste obicia na czarną skórę?

W bursztynowych oczach Lamour pojawił się błysk.

- Pod warunkiem, że będzie to włoska skóra!

- Ach, więc znowu Włochy! - Jammy usiadła na skórzanej kanapie, włoskiej oczywiście, i jęknęła.

- Czy ona musi być taka twarda?

- Dlatego jest taka ładna.

Lamour uklękała na małym czarnym dywanie przy szklanym owalnym stoliku, na środku którego stał bukiet anemonów w okrągłym wazonie. Nalała martini ze srebrnego shakera i wrzuciła do kieliszków po trzy oliwki.

- To już wchodzi nam w krew. - Jammy wzięła kieliszek i zaraz wyprostowała się gwałtownie, gdy Lamour powiedziała:

- Zbieram się na odwagę, żeby ci coś powiedzieć.

- Nie jedziesz do Włoch - Jammy dokończyła za nią.

- Wiedziałam! Wiedziałam, że tak zdecydujesz! I dlatego ja też chcę ci coś powiedzieć. - Złożyła włosy za uszy i spojrzała na Lamour z niepokojem.

- Właściwie to muszę ci coś powiedzieć. Coś, co powinnaś wiedzieć.

Lamour się zdziwiła i zaniepokoiła.

- O nie, nie mów, że studentka ma kłopoty!

Jammy i Matt pobrali się, kiedy Jammy miała zaledwie dziewiętnaście lat, a rok później urodziła córeczkę, która teraz zaczęła college. Do tej pory nie mieszkała poza domem i wolność uderzyła jej do głowy.

- Wiesz, chyba już wolałabym, żeby chodziło o nią. - Jammy unikała wzroku Lamour i nerwowo pociągała martini.

- O rany, więc to naprawdę poważna sprawa.

- O tak, Lam. I za cholerę nie wiem, od czego zacząć. Lamour podniosła się z podłogi i usiadła koło przyjaciółki.

- Nie przejmuj się, kochanie. - Poglaskała jej dłoń.

- Mnie możesz powiedzieć wszystko, przecież wiesz.

- Problem w tym, że to coś, co powinnam była ci powiedzieć już dawno, ale sama nie chciałam w to uwierzyć. Chodzi o Aleksa.

Lamour była zaskoczona.

- A niby co takiego mogłabyś mi powiedzieć o Aleksie, czego jeszcze nie wiem?

Jammy wyglądała tak, jakby chciała wciągnąć w płuca całe powietrze w mieszkaniu; w końcu powiedziała:

- Lamour, Alex cię zdradzał. Miał romans.

Chwila ciszy, a potem Lamour gwałtownie cofnęła rękę.

- Oszalałaś? Dlaczego tak mówisz? Och, rozumiem, chcesz mnie wyrwać z odrętwienia, co? Myślisz, że mną wstrząsniesz, wmawiając mi, że mój nieżyjący mąż był niewiernym draniem, tak?

- Masz rację, w obu przypadkach. Był niewiernym draniem i tak, chciałam tobą wstrząsnąć.

Lamour przyglądała się jej z lodowatą pogardą. Jammy skurczyła się, ogarnięta złym przecuciem.

- Jak możesz, Jammy. Jak możesz kłaść pamięć mojego męża... był dobrym człowiekiem, cudownym mężem...

- Zdradzał cię, Lam. Chciał cię zostawić dla innej.

- Jammy Mortimer, jesteś żalosna.

W jej głosie pojawiła się nuta nienawiści, której Jammy nigdy nie słyszała, u niej ani u nikogo innego. Nie poddała się jednak, ciągnęła dalej:

- Tamtej nocy, kiedy zginął, jechał na spotkanie z tą drugą. W jego komórce był numer jej telefonu, i Marta, ale twojego nie było. Policjanci zadzwonili najpierw do niej. Kiedy przyjechała na miejsce wypadku, Mart już tam był. Mówił, że była załamana, szlochala. Twierdziła, że jest jego narzeczoną, że zamierzali się pobrać jesienią. Mart mówił, że miała pierścionek na pół palca na lewej dłoni. Musiał jej powiedzieć, że Alex już miał żonę, ciebie, że czekasz w domu. W pierwszej chwili mu nie uwierzyła, ale kiedy słyszała, jak powtarza to policji, zrozumiała, że mówił prawdę. Ale Alex już nie żył i nie było sensu z tobą walczyć. Zachowała się przyzwoicie: zniknęła i nigdy się z tobą nie kontaktowała. Choć zatrzymała pierścionek - dodała Jammy po chwili. - A sądząc po zachowaniu Aleksa, zasłużyła na niego.

Lamour podniosła się z trudem. Przez dłuższą chwilę tępo wpatrywała się w okno, a potem się odwróciła i jednym zamaszystym ruchem zmiotła ze stolika kieliszki, shaker, wazon i anemony. Rozwścieczona, w milczeniu deptała szkło, wgniatała oliwki w czarny dywan, kopnęła srebrny shaker, aż z głośnym brzękiem uderzył w okno.

Ciemne kręcone włosy rozsypały się na ramiona, gdy spojrzała na Jammy.

- Wyjdz - powiedziała głosem, którego sama nie poznawała. - Wyjdz stąd i nigdy nie wracaj. Nie jesteś moją przyjaciółką.

## Rozdział 5

Jammy płakała tak bardzo, że kiedy dojechała do domu, prawie nie widziała na oczy. Samochód, potężna maszyna z napędem na cztery koła, był dla niej za duży, według Marta, bo przyzwyczaiła się do mniejszego vol-vo. Teraz skręciła za ostro, wjeżdżając do garażu, i usłyszała, jak lusterko zahacza o framugę.

- Cholera - jęknęła. - Jeszcze tego mi brakowało...

Wciąż płacząc, wysiadła i usłyszała, jak Bramble radośnie szczeka na powitanie. Ilekroć wyjeżdżała, pies nasłuchiwał warkotu silnika i kiedy wracała, czekał przy drzwiach pralni. Teraz, na starość, przyglądał trochę i nie zawsze słyszał samochód, ale dzisiaj trwał na posterunku, jakby wiedział, że jest smutna i chciał ją pocieszyć.

Mart stał tuż za nim, w drzwiach do kuchni. Spojrzał w jej zapłakaną twarz.

- Jak się domyślam, rozmowa o Aleksie nie przebiegła spokojnie. Jammy stanęła przy drzwiach, niezdolna się ruszyć.

- Nie uwierzyła mi. Powiedziała, że jestem żalonna, że nie mam prawa wygadywać takich rzeczy ojej cudownym mężu. I kazała mi wyjść. A najgorsze, że panowała nad sobą, prawie cały czas, ale w końcu zrzuciła wszystko ze stołu i wdeptała szkło i oliwki w ten nieskazitelny czamy dywan. Boże, w tym mieszkaniu nie ma nawet kociego włoska. Tam nie ma życia. Kocham ją i teraz wszystko zepsułam, i to przez tego drania Aleksa. Boże, Matt, co ja teraz zrobię?

- Chodź do domu, kochanie. - Wziął ją za rękę i wciągnął do środka. Bramble podreptał za nimi. W kuchni, bezpieczna w swoim świetle, Jammy westchnęła, gdy Matt ją obejmował.

- Poczekaj. Tylko to możesz zrobić - poradził miękko.

- Poczekaj, aż prawda do niej dotrze. Poczekaj i zobacz, co zrobi.

## Rozdział 6

Jammy trzasnęła drzwiami i ten odgłos niósł się echem po całym mieszkaniu. Potem zapadła cisza. Przykra, bolesna cisza. I w całym tym mieszkaniu jedyną żywą istotą byłam ja, o czym przypominało mi nerwowe bicie serca.

Mój ukochany Alex nie zdradzał mnie, powtarzałam sobie w kółko, a z oczu płynęły mi wielkie kryształowe łzy i wsiąkały w poduszkę. Alex mnie kochał; wiedziałam o tym. Między nami nigdy nie padło nawet jedno ostre słowo. Zresztą zorientowałabym się, gdyby miał inną, prawda?

Niech szlag trafi Jammy. Niech ją szlag trafi. Dlaczego podsunęła mi takie myśli? Nagle z przeraźliwą wyrazistością przypomniały mi się częste „służbowe” wyjazdy Aleksa; nieraz dzwonił, uprzedzając, że znowu późno wróci; lakonicznie rozmawiał przez komórkę, gdy do niego dzwoniłam; czasami nieoczekiwanie, późnym wieczorem, musiał wracać do biura po ważne dokumenty. Z przerażeniem dostrzegłam pewien wzorec w jego zachowaniu. Postępował jak ktoś, kto ma romans.

Wstałam, weszłam do eleganckiego salonu i pustym wzrokiem patrzyłam na znajomy widok za oknami. Przypomniało mi się, jak nas ekscytował; „to jeden z najpiękniejszych widoków w Chicago”, oznajmił dumnie Alex, kiedy przyprowadził mnie tu po raz pierwszy. Kupił apartament, nie pokazując mi go, i początkowo mi się to nie podobało, ale „i tak wiedziałem, że się w nim zakochasz, powiedział. Jakżeby nie? Ma klasę, skarbie. To coś w sam raz dla ciebie”.

Oczywiście miał rację, jak chyba zawsze. A może po prostu nigdy nie kwestionowałam tego, co mówił. Pochłaniała mnie praca, moje drugie życie. Moim żywiołem była architektura krajobrazu, światem Aleksa - nieruchomości. Pozwalałam, by podejmował wszystkie decyzje, ślepo mu ufałam. Rzadko pytał o moją pracę i niewiele mówił o swojej, czasem tylko wspominał, że pracuje nad wielkim projektem.

A ja miałam wrażenie, że bezustannie pracuje nad wielkim projektem, stąd szok, gdy po jego śmierci okazało się, że wcale nie jesteśmy bogaci. Nie mieliśmy pieniędzy, koniec, kropka. Alex miał tylko ten apartament, kupiony na jego nazwisko i obciążony dwiema hipotekami. Wiedziałam, że

inwestował wszystkie swoje pieniądze, i założyłam, że przed wypadkiem nie szło mu najlepiej w interesach. Ale zawsze było nas stać na wygodne życie, dobre restauracje, drogie ubrania. W każdym razie Alex nosił drogie ubrania; ja nigdy nie przepadałam za zakupami, a w pracy i tak najczęściej nosiłam dżinsy, koszulkę albo bluzę i robocze buty.

Miałam trochę biżuterii: pierścionek zaręczynowy z trzykaratowym brylantem - Alex go wybrał, nic specjalnego, „masz za wąskie dłonie do dużych pierścionków”, twierdził; kolczyki z brylantami, które nosiłam na co dzień i do których tak przywykłam, że już nie zwracałam na nie uwagi; złoty zegarek, prezent urodzinowy, i sznur brylantów, które kupuje się u Tiffany'ego z metra. Jak na kobietę bogatą to niewiele, uświadomiłam sobie teraz.

Właściwie Alex od dawna nie kupował mi żadnych prezentów, nawet kwiatów. Od roku, może nawet dłużej.

Znowu wpadłam w rozpacz. Nie, to niemożliwie, żeby Alex planował ślub z inną. Nie chciałam w to uwierzyć. Przypominałam sobie, jak się poznaliśmy, jak wyszukał mnie w salonie pełnym pań z towarzystwa w średnim wieku. Właśnie wygłosiłam wykład o architekturze zieleni. Alex go nie słyszał; był na konferencji finansistów w tym samym hotelu i usłyszał tylko ostatnie zdania przez otwarte drzwi.

- Byłaś wspaniała - powiedział i wbił we mnie ciemne oczy.

- Nazywam się Alex Monroe. Wiem, kim jesteś. Wypijesz ze mną drinka?

Zaprowadził mnie do baru, kupił szampana i tak się zaczęło. I trwało, bez jednej skazy, do jego śmierci. Nie. Do teraz.

Przeciągnęłam się na skórzanej włoskiej kanapie i jęknęłam cicho. Jammy ma rację; jest za twarda. Wygląda pięknie, ale jest bardzo niewygodna. Naprawdę tym się kierowałam, urządzając dom? Czy Alex sprawił, że taka się stałam?

Nie wiedziałam już, co myśleć. Usiadłam i długo siedziałam na eleganckiej, twardej kanapie, wpatrzona w noc za oknem. Wpatrzona w światła nad jeziorem, oznaki, że życie idzie dalej. Ale nie moje.

Znowu zaczęłam się nad sobą litować. Rozpłakałam się. Byłam sama.

Chyba zasnęłam, mimo że kanapa była niewygodna, bo obudziłam się o świcie, zeszywniała i zapuchnięta, pełna wątpliwości.



Wstałam, wzięłam prysznic, ubrałam się i poszłam na policję.

Nigdy nie czytałam policyjnego raportu z wypadku; nie zniosłabym suchych słów, które przybliżyłyby mi koszmar. Teraz musiałam to zrobić.

Uprzejmy policjant sprawdził wszystko w komputerze i podał mi wydruk raportu. W wypadku nie brał udziału inny pojazd; Alex wpadł w poślizg na mokrej jezdni i uderzył w drzewo. Zmarł w karetce do szpitala, zanim policja do mnie dotarła. W raporcie znalazłam nazwisko i telefon tamtej; w rubryce „bliscy” było imię i nazwisko kobiety i adnotacja: „narzeczona”. Mojej nazwisko pojawiło się dopiero później, z opisem „żona”.

Teraz rozumiałam: Jammy mówiła prawdę. W śmierci Aleksa nie było tajemnicy, tajemnica kryła się w jego życiu. A o tym nie chciałam wiedzieć.

Czułam w sercu lodowaty ciężar. Jammy i Mart, moi przyjaciele, chcieli mnie uchronić przed wiedzą o niewierności męża. Wiedzieli, że będę go opłakiwać, ale liczyli, że prędzej czy później wezmę się w garść i zacznę nowe życie. A ja zmarnowałam dwa lata na rozpacz po człowieku, który chciał mnie zostawić.

Zdrada jest podstępna; podejrzenia zakradły się do mojego serca, opętały umysł, kazały powątpiewać w szczerłość każdej chwili naszego związku.

Znowu przypomniła mi się uluda zwana szczęściem i Jon-Boy w Rzymie. I zaniedbany dom w Amalfi. I duchy, którym muszę stawić tam czoło.

Biegiem wróciłam do mieszkania. Muszę zmienić moje życie, i to zupełnie. Zadzwoiłam do agencji nieruchomości i wystawiłam apartament na sprzedaż. A potem wybrałam numer Jammy.

- Kiedy jedziemy do Włoch? - zapytałam.

## Rozdział 7

I oto jesteśmy w Rzymie, Jammy i ja. Właściwie czułam się jak tamta dziewczynka, kiedy wysiadłam z samolotu i wjechałam do Wiecznego Miasta, mijając po drodze zabytki i pomniki, imponujące aleje i labirynt ciasnych uliczek, tętniących życiem. To wszystko uświadomiło mi, dlaczego tak bardzo kocham to miasto. W innych miejscach idziesz do muzeum, żeby zakosztować historii; w Rzymie nią żyjesz. Jest na ulicach, w zniszczonych odwiecznych posągach. Kryje się w fontanelle, fontannach z wodą pitną, ukrytych w kamiennych murach, gdzie woda dopływa akweduktami zbudowanymi przez starożytnych Rzymian. Znajdziesz ją w siedmiu wzgórzach i w starych kościołach, kryjących dzieła największych artystów, tych znanych i tych nieznanymi. W niektórych niepozornych kościółkach, do dziś odwiedzanych przez wiernych, zapiera ci dech w piersi, gdy nagle dostrzegasz rzeźbę Michała Anioła, fresk Rafaela, mozaikę Torritiego, fontannę Berniniego. Historia drzemie na placach, takich jak Piazza Navona, podwyższanych z upływem wieków, żeby nie zalała ich woda, choć jeszcze w XVIII stuleciu była tu publiczna ślizgawka. Obcujesz z historią na co dzień, widząc w oddali kopułę Bazyliki Św. Piotra, spacerując w cieniu prastarych drzew, czy przesiadując w rozgadanych, rozplotkowanych kafejkach i barach. W rzymskim powietrzu jest coś, co dodaje sprężystości twoim krokom. Pamiętam to z dzieciństwa, gdy podświadomie oczekiwałam, że za każdym zakrętem odkryję nowy cud, nową przygodę.

Niestety, Matt nie mógł z nami przyjechać. Tłumaczył się nieprzewidzianymi kłopotami w firmie, choć moim zdaniem tak naprawdę chciał, żebym była tylko z Jammy, gdy zacznę szperać w przeszłości. Nie ukrywał też sceptycyzmu co do moich planów zbadania okoliczności, w jakich zginął Jon-Boy.

- Posłuchaj, kochanie - powiedział przed naszym wyjazdem i objął mnie ramieniem.

- Ile to już lat minęło? Ze dwadzieścia. Lamour, spójrz prawdzie w oczy: Jon-Boy popełnił błąd. Wypląnął w nieodpowiednim czasie i złapał go sztorm. Nie wiem, może był pijany... trochę za dużo grappy... - Wzruszył ramionami. Wiedział, że mnie nie przekonał, choć zdawałam sobie sprawę z

pociągu Jon-Boya do grappy. Z drugiej strony, nigdy nie widziałam go pijanego. I nigdy nie wypływał w morze.

Ale teraz jesteśmy z Jammy w hotelu d'Inghilterra, starym palazzo, w którym od 1850 roku mieści się przytulny hotel pełen antyków przy via Bocca di Leone, w sercu najelegantszej dzielnicy handlowej.

- Jak tu miło - stwierdziła Jammy z aprobatą, sącząc swoje pierwsze rzymskie espresso w hotelowej restauracji o uroczej nazwie Rzymski Ogród.

Zmęczone długim lotem, bo oczywiście nie oszczędzono nam tradycyjnych opóźnień w podróży, poszliśmy do pokoju, wykapałyśmy się i padłyśmy na łóżka. Już po chwili rozległo się chrapanie Jammy. Zawsze chrapała, pamiętałam to z dzieciństwa. Ja jednak nie mogłam zasnąć. Czułam niepokój i podniecenie. Czy Trastevere jest takie, jakim je zapamiętałam? A może czas uszlachetnił moje wspomnienia, jak to często bywa? Wtuliłam twarz w kocyk, pachnący moimi perfumami i dzieciństwem. Nawet Jammy nie wiedziała, że zawsze mam go przy sobie. A teraz potrzebowałam go bardziej niż kiedykolwiek.

Minęło zbyt dużo czasu, by moje przyszywane babcie nadal mieszkają w Trastevere. Ciekawe, kto wprowadził się do naszego dawnego mieszkania?

Czy obecni lokatorzy pozwolą mi wejść, jeśli zapukam do drzwi i wyjaśnię, że kiedyś tu mieszkalam i chciałabym jeszcze raz się tutaj rozejrzeć? Wystarczy chwila, jeden oddech powietrzem, którym oddychałam razem z Jon--Boyem, wystarczy charakterystyczny zapach starej, podupadłej kamienicy, a wspomnienia powrócą.

Sen nie przychodził. Nie mogłam dłużej czekać. Zresztą musiałam zrobić to sama. Wstałam, ubrałam się, po raz ostatni rzuciłam okiem na śpiącą Jammy i zbiegłam schodami na nagie ciche ulice.

W porze obiadowej Rzym zamiera na dwie, trzy godziny. Na Piazza di Spagna tłoczyli się tylko młodzi cudzoziemcy z plecakami. Złapałam taksówkę i pojechałam do Trastevere.

Serce waliło mi jak oszalałe, zarówno wskutek podwójnego espresso, jak i zdenerwowania, bo każda wąska uliczka, każdy pokonany korek przybliżał mnie do starego domu. W końcu wysiadłam z taksówki i spojrzałam w vicolo del Cardinale, ciemny, długi zaułek. W pierwszej chwili nie mogłam się ruszyć. Z jednego z domów wyszedł wysoki, szczupły mężczyzna. Nie

patrzył na mnie, od razu skreślił w stronę piazza. Na moment serce przestało mi bić. Miał długie ciemne włosy i kroczył powoli; wyglądał jak Jon-Boy, gdy wyruszał mnie szukać podczas moich samotnych wędrówek.

Odtąd co chwila widziałam ducha ojca; widziałam jego cień. Widziałam też tamtą chudą dziewczynkę z warkoczami, biegającą po ulicze, w którą teraz weszłam, zanurzając się w przeszłości.

Z nadzieją wpatrywałam się w stare kuchenne okna, ale z żadnego nie machała do mnie przyszywana babcia. A kamienice z opadającym tynkiem, za moich czasów mieszczące pół tuzina mieszkań, zastąpiły modne eleganckie domy z drewnianymi drzwiami. Mosiężne kołatki lśniły, zamiast starych dzwonek pojawiły się domofony. Nikt już tu nie suszył prania, a nad dachami kołysały się zadbane kwiaty w eleganckich doniczkach, a nie rachityczne drzewka.

Mało brakowało, a nie poznałabym mojej kamienicy. Pomalowano ją na jasnoróżowy kolor, okiennice i drzwi były ciemnozielone. Uważnie przeczytałam nazwiska przy przyciskach domofonu. Nikogo nie znałam. Cofnęłam się, zadarłam głowę i spojrzałam na najwyższe piętro, na okna zakryte okiennicami i małe balkoniki z kutego żelaza. Wychylałam się z niego, wypatrywałam Jon-Boya, czekałam, aż wróci na kolację. Czasami rzeczywiście wracał i wtedy byłam szczęśliwa. A czasami nie przychodził i wtedy siadałam na balkonie i sama zjadałam kanapki. Dopiero teraz, ze zdziwieniem przypominałam sobie, że tak było najczęściej. Wiecznie na niego czekałam.

Wiele razy zjadałam spaghetti u przyszywanych babć. Ściągały mnie z balkonu, mrużąc coś gniewnie po włosku, za szybko, żeby mogła je zrozumieć, ale i tak wiedziałam, że utyskują na Jon-Boya, że znowu zostawił mnie samą. A Jon-Boy przychodził po mnie do ich kuchni, uśmiechał się z błyskiem w piwnozłotych oczach i przyznawał im rację.

- Bene, bene - mówił. - Sì, lapiccolina e mio tesoro, mia bambina... Sì e unapreciosa, chiaramente, signora, ed io I 'adoro... Va bene, przyszedłem po nią.

Czarował je, aż w końcu się uśmiechały, a ja, jego tesoro, jego skarb, wracałam w kochające ramiona taty. I śmiałam się radośnie, bo wiedziałam, że mówił szczerze i że zawsze po mnie wróci, i zawsze będzie mnie strzegł.

Teraz z mojego balkonu przyglądał mi się bury kot, wyglądał, jakby to było jego mieszkanie. I tak było naprawdę. Po Jon-Boyu i mnie nie został tu żaden ślad.

Weszłam na piazza w słońcu i odetchnęłam z ulgą: przynajmniej kiosk i stragan z kwiatami zostały na dawnym miejscu. Na rogu jak kiedyś widniał szyld Pizzerii Vesuvio, gdzie podawali najsmaczniejszą pizzę w całym Rzymie, i, co najważniejsze, tuż obok był jak dawniej bar Marchetti, choć teraz dumnie błyszczał czerwoną farbą, a stoliki na dworze ocieniały eleganckie białe ombrellini.

Podeszłam do kiosku, ale za ladą siedział zdruzony młody mężczyzna. Obrzucił amerykańską turystkę obojętnym spojrzeniem. Przy straganie z kwiatami stała młoda kobieta; kiedy zapytałam o kwiaciarkę Adrianę, tylko wzruszyła ramionami: nikogo tu nie zna. Przez pamięć dawnych czasów kupiłam różowy goździk, wpięłam go we włosy i z duszą na ramieniu weszłam do baru Marchetti.

Mężczyźni, jedni w garniturach, inni w ubraniach roboczych, mierzyli mnie badawczym wzrokiem, jak to Włosi, a ja uśmiechałam się grzecznie i śmiało przepychałam do kontuaru, co chwila rzucając:

- Scusi, scusi, permesso.

Za kontuarem stał młody mężczyzna, nie Angelo. Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem, wytarł ladę i zapytał:

- Signora?

- Cappuccino, per piacere - powiedziałam. - Eun cornetto.

Uniósł brew i popatrzył na mnie sceptycznie: żaden Włoch nie zamówiłby cappuccino po jedenastej rano, a cornetto jada się tylko na śniadanie.

Rozejrzałam się i zauważyłam zmiany, które tu zaszły. Ekspres do kawy lśnił nowością, przy kontuarze wyrosły wysokie barowe stołki. Menu, nabazgrane kredą na tablicy, zawierało danie dnia i różne sałatki, zupy i smakowite panini, kanapki z szynką, salami, mortadellą i pecorino. Dawniej stoliki na dworze niemal zawsze świeciły pustkami, bo za jedzenie na siedząco trzeba było zapłacić więcej. Teraz zajęli je znużeni turyści, gotowi przepłacić, byle ulżyć zmęczonym nogom. Uśmiechnęłam się, słysząc znajomy zgrzyt metalowych krzeseł na kocich łbach placu.

Drugi mężczyzna, młodszy niż ten za kontuarem, przepasany białym kelnerskim fartuchem, uwijał się między gośćmi, roznosił na tacach karafki wina i smakowite kanapki. Ten za ladą podał mi cappuccino. Zamknęłam oczy i wciągnęłam nosem znajomy zapach świeżo parzonej kawy. A potem upiłam pierwszy łyk i natychmiast cofnęłam się w czasie. Znowu byłam małą dziewczynką, która wspina się na mosiężną poręcz i flirtuje z Angelem, nieświadoma, że na nosie ma piankę z kawy.

- Ciao, bella. - Na dźwięk znajomego głosu otworzyłam oczy. - Lamour Harrington, prawda? - Kiedy wyciągał do mnie rękę, uśmiechał się szeroko jak dawniej. Rozpromieniłam się.

- Witaj w domu, cara. Dlaczego tak długo cię nie było?

Zamknęłam jego dłoń w swoich. Nie mogłam w to uwierzyć. Oczywiście Angelo posiwiiał, oliwkową skórę przecinały liczne zmarszczki, a jego zęby nie były ani tak białe, ani tak lśniące, jak w moich wspomnieniach, ale spojrzenie piwnych oczu spod długich, prostych rzęs było równe ciepłe jak dawniej.

Nadal brakowało mi tchu, tak byłam zaskoczona.

- Angelo, kiedy ostatnio mnie widziałeś, miałam osiem lat. Jakim cudem mnie poznałeś?

Wzruszył ramionami.

- A która kobieta wpięłaby różowy goździk we włosy i zamówiła cappuccino i cornetto na lunch? - Z uśmiechem podał mi ciasteczko owinięte w pergamin.

- Zresztą jesteś równie piękna jak wtedy - dodał - jak tamta samotna piccolina, która biegała po piazza, troszczyła się o tatę i szalała w uliczkach Trastevere.

- Nigdy nie byłam samotna: byliście moimi przyjaciółmi, wy wszyscy, cała dzielnica... - Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że moje wspomnienia nie są tak piękne, jak uważałam.

- Eallora, dzielnica się zmieniła. Może tak jest lepiej, tak mówiąmo synowie, aleja nie jestem taki pewien. Dawniej sąsiedzi byli dla mnie jak rodzina; brakuje mi ich. Teraz moimi klientami są turyści. Zarabiam więcej, ale... - westchnął i znowu wzruszył ramionami.

- Tęsknię za dawnymi czasami.

Otarłam usta ze sproszkowanej czekolady i oblizalam palec.

- Tak, Angelo, dawniej byliśmy jedną wielką szczęśliwą rodziną. Spojrzał na mnie badawczo.

- Cara, nie szukaj tego, czego już nie ma. Pamiętaj, musimy iść z duchem czasu. A teraz opowiadaj, co u ciebie, Lamour. Wyszłaś za mąż? Masz dzieci? - Uśmiechnął się ciepło.

Odwrociłam głowę.

- Miałam męża - odparłam.

- Umarł. - Z moich zaciśniętych ust Angelo wyczytał więcej, niż potrafiłabym wyrazić słowami. Zmrużył oczy ze współczuciem.

- Biedactwo. - Poklepał moją dłoń. - Bardzo mi przykro.

- W porządku. - To była trudna chwila. Wbiłam wzrok w dno filiżanki. Angelo przerwał ciszę:

- Wiesz, ożeniłem się z Adriana. Pamiętasz ją? Sprzedawała kwiaty na piazza. Bardzo się ucieszy, kiedy jej o tobie powiem. A to nasi synowie. - Wskazał zajętych młodych mężczyzn.

- To porządni chłopcy. Mamy nadzieję, że niedługo obdarzą nas wnukami. - Zajrzał mi głęboko w oczy.

- Carina, może byłoby ci łatwiej, gdybyś miała dzieci. Poprzez nie życie trwa dalej.

Potrząsnęłam głową i różowy goździk, zapomniany, osunął się na podłogę.

- Lepiej, że ich nie mam.

Mądre oczy Angela obserwowały mnie uważnie i wiem, że widział, jak jestem nieszczęśliwa.

- A jednak, malutka - zmienił temat - twój ojciec, dottore, okazał się wielkim pisarzem, chociaż wszyscy się martwiliśmy, że o ciebie nie dba.

Uśmiechnęłam się słysząc, jakiego słowa użył mówiąc o Jon-Boyu. Dottore. W ten sposób Włosi tytułują wszystkich ludzi pióra, ludzi wykształconych.

- Nie było to takie złe - zauważyłam. - Żadne dziecko w Rzymie nie miało tyle swobody co ja. Chodziłam, gdzie chciałam, robiłam, co chciałam...

- ...zawsze sama. - Angelo wpadł mi w słowo. Nie dodał:, jak teraz", ale wiedziałam, że tak pomyślał.

- Przyjechałam do Rzymu z przyjaciółką - zauważyłam gniewnie. - Dopiero przyleciałyśmy. Jest zmęczona, śpi, ale następnym razem przyprowadzę ją ze sobą.

W barze robiło się tłoczno, Angelo musiał wracać do pracy. Życie toczy się dalej, pomyślałam, wzięłam torebkę, poprawiłam włosy.

- Domani, Angelo! - zawołałam, kierując się do drzwi, choć już wiedziałam, że tu nie wrócę.

- Poczekaj! Odwróciłam się.

- Zapomniałaś cornetto.

Wzięłam ciasteczko, uśmiechnęłam się i zaczęłam przepychać się przez tłum gości.

Na via del Corso złapałam taksówkę. Opadłam na siedzenie, wbiłam zęby w cornetto i rozkoszowałam się znajomym smakiem.

Popełniłam błąd. Rzym, mój Rzym, się zmienił. Nie ma już Jon-Boya, nie ma mojej rodziny: przyszywanych babć, sąsiadów... przyjaciół.

Ze smutkiem stwierdziłam, że starożytny filozof miał rację. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki.



## Rozdział 8

Jammy nalegała, żebym poszła z nią po zakupy na via Condotti, najelegantszej ulicy handlowej w Rzymie, która, zbiegiem okoliczności, była niedaleko naszego hotelu.

- Potraktuj to jako część terapii - poradziła, mierząc krytycznym wzrokiem moją czarną koszulkę, czarne spodnie i wygodne buty na płaskim obcasie.

Spojrzałam po sobie i doszłam do wniosku, że niewiele się różnię od moich włoskich przyszywanych babć. Popatrzyłam na eleganckie, seksowne rzymianki, chyba wszystkie w najnowszych kolekcjach, i ogarnęły mnie wątpliwości.

Odkąd się dowiedziałam o niewierności Aleksa, straciłam resztki wiary w siebie jako kobieta. Istniałam tylko jako profesjonalistka i dziękowałam Bogu, że przynajmniej w tym jestem dobra.

Z rozpaczą gapiałam się na wystawę Gucciego.

- Słuchaj, prawdziwa nowa ja to coś więcej niż eleganckie ciuszki.

- Oczywiście. - Jammy była lojalna jak zawsze.

Ale kiedy zobaczyłam posępne odbicie w szybie wystawy, pomyślałam: nic dziwnego, że Alex poszukał sobie innej.

- Jak myślisz, była ładna? - zapytałam. Jammy od razu wiedziała, o kogo chodzi.

- Chyba tak, ale nie ładniejsza niż ty czyja w dobry dzień. - Trąciła mnie w bok pokrzepiająco. - I może dzisiaj jest jeden z nich, co? Zobaczmy, czy uda nam się wywołać małą rewolucję w męskiej części populacji Rzymu - dorzuciła z zadziornym błyskiem w oku. Tym sposobem chciała dodać mi odwagi. Wzięłyśmy się pod rękę i skręciłyśmy w via Condotti.

Wieczorem zabrałam Jammy do Da Fortunato, trattorii przy via del Panteon, do której Jon-Boy zaprosił mnie na moje ósme urodziny. Jon-Boy nie należał wtedy do ludzi zamożnych i nie zwracał uwagi na takie szczegóły jak ubranie, więc nie miałam zbyt wielkiego wyboru kreacji. Musiałam wbić się w różowy sweterek, który był na mnie dobry rok wcześniej, podczas siódmych urodzin, i spódnicę w kratę - moją jedyną. Do tego włożyłam

nowiutkie białe adidasy. Wystrzeliłam w górę jak młode drzewo na wiosnę i rękawy swetra sięgały mi do łokci, a spódniczka okazała się prowokująco krótka. Tylko śnieżnobiałe adidasy były odpowiedniego rozmiaru.

Wtedy, w ten chłodny, zimowy dzień, usiedliśmy w środku, gdzie zaraz otoczyły nas smakowite zapachy sosów, przypraw i przekąsek. A teraz była ciepła letnia noc, usiadłyśmy więc z Jammy na tarasie z widokiem na piękną kopułę Panteonu. Pomyślałam, że przeszłam przez ten czas daleką drogę. Miałam na sobie nową jedwabną suknię, koralową, z głębokim dekoltem, w którym dało się dostrzec koronkę nowego, upiornie drogiego stanika La Perla. Kupiłam go, bo namówiły mnie Jammy i bardzo elokwentna sprzedawczyni - twierdziły, że po prostu muszę go mieć, bo robi istne cuda z moim małym biustem.

- A do tego jest bardzo kuszący, prawda? - dodała znacząco sprzedawczyni, jak przystało na prawdziwą rzymiankę.

To przeważało szalę. Miałam nadzieję, że naprawdę wyglądam pociągająco w koralowym jedwabiu, z widocznym skrawkiem czerwonej koronki, w klapkach na wysokich obcasach na wąskich, długich stopach.

Moje ciemne loki wyjątkowo zachowywały się przyzwoicie, a to za sprawą drogiej nowej fryzury. Spływały na ramiona, ujarzmione jak nigdy. Pamiętając o Adrianie, wpięłam w nie kwiat. Powoli zaczynałam czuć się choć trochę rzymianką, przynajmniej zewnątrz, choć w głębi duszy pozostałam - smutna i zraniona - sobą.

Jammy wyglądała uroczo w błękicie w odcieniu jej oczu i widziałam, że niejedną mężczyźna przygląda się jej z aprobatą.

- Właśnie tutaj, w Da Fortunato, Jon-Boy uczył mnie rozkoszować się dobrym jedzeniem - opowiadałam, kiedy kelner otwierał butelkę frescobaldi chianti, którą zamówiłam.

- Tu zjadłam moją pierwszą ostrygę.

- Smakowała ci? - Jammy jak zwykle umierała z głodu i łapczywie zjadała chleb, studiując kartę dań.

Zastanawiałam się, gdzie to wszystko się mieści; nadal była równie szczupła jak w wieku siedemnastu lat.

- Owszem, ale wolałam risotto z porcini; przepadam za grzybami. Już wtedy miałam wyrafinowany gust.

- Wiesz, dzisiaj się ucieszę, jeśli zjesz cokolwiek. - Jammy przyglądała mi się krytycznie.

- Choć przyznaję, że wyglądasz naprawdę nieźle. - Uśmiechnęła się i podniosła kieliszek.

- Za ciebie, kochana - powiedziała. - Za twój powrót do świata żywych.

Poprawił mi się humor, gdy stuknęłyśmy się kieliszkami i skosztowałam delikatnego wina o owocowym aromacie. Spojrzałam przed siebie i spotkałam wzrok mężczyzny siedzącego kilka stolików dalej. Starszy, świetnie ubrany, barczysty. I przystojny. Na pewno i jego los doświadczył. Uśmiechnął się, podniósł kieliszek i pochylił głowę.

Odwzajemniłam uśmiech i zaraz się odwróciłam, speszona. Zapomniałam, że Włosi to mistrzowie flirtu. Tłumaczyłam sobie, że nie chodziło tu o mnie; flirtują chyba z każdą, poza matką, oczywiście.

- Czy mnie oczy nie mylą? - Jammy się rozpromieniła.

- Tamten facet naprawdę się do ciebie przystawia!

Nonszalancko wzruszyłam ramionami.

- Skądże. On się tylko... uśmiechnął.

- Hm. - Jammy mi nie uwierzyła. Obejrzała się ponownie. Był w większym towarzystwie i wszyscy pogąrzyli się w rozmowie. Już o mnie zapomniał.

- Naprawdę przystojny. - Jammy z apetytem zaatakowała talerz fettuccine z masłem i parmezanem.

- Boże - jęknęła i przymknęła oczy.

- Prawie jak makaron z serem mojej mamy.

Roześmiałam się i stwierdziłam, że powinna się wstydzić tych słów, bo ta potrawa nie ma nic wspólnego z amerykańskim daniem.

- Niebo w gębie - mruknęłam, wskazując moje risotto z porcini. Powróciły wspomnienia. Dziękowałam losowi, że choć niektóre rzeczy były dokładnie takie, jakimi je zapamiętałam.

Później zamówiliśmy doradę z rusztu, najsłodsza rybę, jaką kiedykolwiek jadłam, zieloną sałatę i na deser - lody, dla mnie pistacjowe, a dla mojej na wskroś amerykańskiej przyjaciółki czekoladowe, ma się rozumieć.

Po kolacji siedzieliśmy rozleniwione, sącząc grappę z malutkich kieliszków. Rozparłam się wygodnie na krześle, zmarszczyłam nos, gdy alkohol zaszumił mi w głowie. Założyłam nogę na nogę, spojrzałam w rozgwieżdżone niebo i westchnęłam, przepelniona uczuciem, które chyba wzięłam za szczęście.

Ciesz się każdą szczęśliwą chwilą, powtarzałam sobie. Rozkoszuj się tą restauracją z widokiem na Panteon, podziwiaj blask księżyca. Szczęście jest w łagodnym nocnym powietrzu, w krokach rzymian, idących na codzienne passeggiata. W jednej dłoni trzymaj gelato, drugą ciągną dzieci. Szczęście jest w zawrocie skrzywiec gdzieś w pobliżu, w świetle latarni, w zapachu kwiatów, w kieliszku wina, w towarzystwie przyjaciółki.

Zmrużyłam oczy i w zadumie machałam czerwonym klapkiem na stopie.

- Mi scusi, signora...

Podniosłam głowę i napotkałam wzrok przystojnego mężczyzny, który przedtem się do mnie uśmiechnął. Patrzyłam na niego obojętnie. Nie wiadomo kiedy zatraciłam dziecięcą zdolność do flirtowania, nawet w takiej sytuacji. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

Grzecznie skinął głową zaintrygowanej Jammy i ponownie przeprosił, że nam przeszkadza.

- Signora. - Pochylił się i mówił tak cicho, że tylko ja go słyszałam. - Obserwowałam, jak machała pani nogą, przyglądałam się pani stopie, pani podbiciu, kiedy bawiła się pani czerwonym klapkiem. Dawno nie widziałem nic równie czarującego. Uważam się za konesera piękna i zapewniam, bella signora, że ma pani najpiękniejsze stopy w całym Rzymie.

- Grazie, signore, dziękuję - wykrztusiłam, a on nadal się uśmiechał. Wyprostował się, uklonił szarmancko, powiedział:

- Buona notte - i odszedł.

Jammy odprowadzała go podejrzliwym wzrokiem.

- Co ci powiedział? Uśmiechnęłam się skromnie.
- Że mam piękne stopy.
- Co? - Poczzerwieniła z oburzenia. - Co za zбочzeniec!
- Nie, koneser piękna. Spodobało mu się moje podbicie. - Uśmiechnęłam się.

Nagle poczułam się wspaniale. Spojrzałam na moje długie, blade nogi, na wąskie stopy w czerwonych kłapkach na wysokim obcasie, na paznokcie pomalowane koralowym lakierem. I wiedziałam, że Włoch chciał mi tylko dać do zrozumienia, że nieświadomie dałam mu chwilę zmysłowej przyjemności.

A on w rewanżu sprawił, że poczułam się seksowna i pociągająca. Poczulałam się kobietą, pomyślałam z uśmiechem. Do naszego stolika podbiegł kelner.

- To był wielki włoski dyktator mody, Giorgio Vivari - wyrzucił z siebie. Promieniał, zakładał, że wiemy, o kim mówi. I miał rację. Kto o nim nie słyszał? Wszyscy znali te nazwiska: Valentino, Armani, Vivari...

Nadal się uśmiechałam, gdy wychodziłyśmy z restauracji. Nigdy więcej go nie zobaczę, ale słynny, przystojny mężczyzna, prawdziwy znawca piękna, powiedział mi komplement.

Ze śmiechem wzięłam Jammy pod rękę. Więc jednak Włochy to moje miejsce na ziemi.

## Rozdział 9

Od razu następnego dnia polecałyśmy do Neapolu, wynajęłyśmy niedużego fiata i ruszyłyśmy słynną drogą do Amalfi, drogą, która straszy serpentynami i zachwyca widokami. Mijałyśmy wzgórza, gdzie pasły się kremowe krowy bufala - to z ich mleka powstaje najlepsza mozzarella. Mknęłyśmy obok przepaści i wąwozów, obok gajów oliwnych i cienistych winnic, wtulonych w strome, skaliste zbocza, obok wiosek i miasteczek pochyłonych nad spadzistym klifem, u którego stóp szumiało morze.

Z duszą na ramieniu nie odrywałam oczu od drogi i starałam się ignorować jęki przerażenia Jammy, ilekroć zza zakrętu wyjeżdżała ciężarówka.

Zakryła oczy rękami i dyszała ciężko, wystraszona. Uśmiechnęłam się, ciągle wpatrzona we wstążkę jezdni.

- Cicho bądź - mruknęłam.

- I wypatruj lusterek przymocowanych do skał, widać w nich, czy coś nie jedzie z przeciwka.

- Zawsze coś jedzie - warknęła. - A w tej chwili się zastanawiam, czemu ja się zgodziłam tu przyjechać.

- Bo jesteś moją przyjaciółką. - Usłyszała szczęśliwą nutkę w moim głosie.

- No, tak, ale zatrzymamy się niedługo? - jęknęła błagalnie.

- Za pięć minut będziemy na miejscu. - Czulałam na sobie jej wzrok, pełen wyrzutu.

- Jak to? Wiesz gdzie?

- Oczywiście. - Zauważyłam szyld hotelu Santa Caterina, skręciłam do kwitnącego sadu i zatrzymałam się przed niskim białym budynkiem na skraju urwiska.

Jammy wstrzymała oddech. Widać było, że jest zadowolona. Jęknęła z zachwytu, gdy weszłyśmy do holu pełnego kwiatów. Młody recepcjonista powitał nas uśmiechem.

- Spodziewaliśmy się pań - powiedział i oprowadził nas po małym, eleganckim hotelu pełnym secesyjnych mebli, pokazał bujne ogrody i cieniste sady.

Za budynkiem był basen i bar kryty strzechą. Z naszego pokoju rozciągał się widok na morze, widoczne pomiędzy drzewami. Westchnęłam szczęśliwa. Po raz pierwszy od dawna czułam, że wracam do domu.

- Zakochałam się. - Jammy rozłożyła szeroko ramiona. Stała pośrodku naszego pięknego, przestronnego pokoju i zachwycała się każdym szczegółem wystroju, dużą białą łazienką, widokiem z balkonu. Bryza miękka jak jedwab niosła zapach kwiatów. - Kiedy coś zjemy? - zapytała po chwili, praktyczna jak zawsze.

Niedługo później zeszliśmy na kolację w naszych najlepszych rzymskich kreacjach, w czerwonych klapkach i w ogóle.

Ale jeszcze przedtem dostałam wiadomość od mojej agentki nieruchomości w Chicago. Znaleźli się chętni na mój apartament, gotowi zapłacić prawie tyle, ile sobie życzyłam. Czy zaakceptuję ich ofertę?

Oczywiście, i to z radością. Czas skończyć z przeszłością. Wzniosłyśmy toast prosecco, włoskim winem musującym, które wcale nie podrabia szampana. Jest, jakie jest: dobre, musujące, lekkie. Później zjadłam najlepsze ziemniaczane gnocchi z sosem ze świeżych pomidorów, a Jammy znowu zamówiła fettuccine. Ryba, sałatka, sery... nie miałyśmy już miejsca na deser.

Zmęczona, najedzona, zadowolona, leżałam w ciemności i nasłuchiwałam chrapania Jammy i szumu morza. Myślałam o ojcu. O tamtej strasznej nocy i tamtej burzy, o przewróconym jachcie i ciele, którego nigdy nie znaleziono.

Wiele lat po jego śmierci dręczyły mnie koszmary, w których Jon-Boy niknie pod czarnymi falami. W tych snach błagalnie patrzył mi w oczy, wyciągał do mnie ręce, ale zanim go chwyciłam, zniknął w głębinie.

Budziłam się, spocona i drżąca, i modliłam się, by ten sen już nigdy nie wrócił. Starłam się zmusić siłą woli, by nie śnić więcej o jego śmierci. Nigdy nikomu nie wspominałam o tych snach, poza Jammy oczywiście, ale jej też nie mówiłam wszystkiego. Zacierałam to wspomnienie w pamięci, pozwalałam, by towarzyszyły mi tylko jasne myśli. Ale teraz byłam tu, gdzie zginał, i musiałam na nowo zmierzyć się z jego śmiercią.

Jon-Boy bał się wody. Zawsze mi powtarzał: „Skarbie, nie ma to jak stały ląd; to jedyna pewna rzecz w życiu”.

Nie znosił morza. Kiepsko pływał. W życiu nie wsiadł na jacht.

Więc dlaczego znalazł się na morzu sam, i to podczas burzy?

I dlaczego nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałam? To proste. Bałam się odpowiedzi. Ale teraz był mi bliższy niż podczas ostatnich lat. A jutro pójdę do domu, który kupił w Amalfi, domu, z którego wyszedł tamtej nocy i już nie powrócił.

Stał mi przed oczami, wyraźny jak na zdjęciu: wysoki, szczupły, przystojny, z niesforną ciemną czupryną opadającą na piwne oczy, z czarującym uśmiechem. Szedł, jak zwykle, powolnym, długim, rozkołysanym krokiem, za którym nie mogłam nadążyć. W moich wspomnieniach był młodym amerykańskim pisarzem w Rzymie - il dottore, jak go nazywali, co go zawsze cieszyło, uśmiechał się do mnie czule. Zawsze okazywał czułość kobietom, starym i młodym. Nigdy, przenigdy nie słyszałam z jego ust szorstkiego słowa. Był pełen ciepła i dobroci, także dla kumpi z baru.

Miałam zamknięte oczy, ale widziałam, jak unosi rękę w pozdrowieniu. I wiedziałam, że choć nic nie przywróci go do życia, między innymi dlatego tu przyjechałam, by dowiedzieć się, co tak naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. W jaki sposób zginął Jon-Boy Harrington.



## Rozdział 10

Tej nocy, po podjęciu decyzji, przespałam wszystkie koszmary. Od dawna nie spałam tak dobrze. Wczesnym rankiem powiedziałam Jammy, że chcę być sama, gdy po raz pierwszy ponownie zobaczę domek w Amalfi.

Zostawiłam ją, pałaszującą śniadanie, na cienistym tarasie z widokiem na morze.

- Musimy w ogóle stąd wyjeżdżać?! - zawołała za mną. I ją też dopadł czar.

Nawet po dwudziestu latach pamiętałam każdy odcinek drogi, wijącej się wzdłuż klifu, gdzie po jednej stronie wznosiło się wzgórze Pirata, a po drugiej - zbocze stromo opadało falą zieleni do morza.

Zaparkowałam tam, gdzie zwykł to robić Jon-Boy, przy przydrożnej kapliczce z gipsowym świętym. Wyciągał ręce w geście błogosławieństwa i przypominałam sobie, że to święty Andrzej, którego kości spoczywają w krypcie w katedrze, patron Amalfi i opiekun żeglarzy. Przed kapliczką stał wazon pełen świeżych kwiatów. Zaintrygowało mnie, komu chciało się przynieść kwiaty w ten zapomniany zakątek.

Na wzgórzu dumnie, jak od wieków, górował Castello Pirata, zamek rodziny Pirata. Na wieży trzepotała flaga: czaszka i skrzyżowane piszczele. Za kapliczką rozciągała się piaszczysta polana, a na jej skraju zaczynała się scalatinella; były to schody wyrzeźbione w litej skale, zygzakiem wiły się wzdłuż zbocza, wśród zielonych krzewów. Jakieś piętnaście metrów niżej turkusowe morze uderzało o skały i wzbijało w poranne powietrze leniwe tumany mgiełki.

Schodziłam powoli przez scalatinella i obserwowałam, jak ptaki z głośnym ćwierkaniem zrywają się do lotu z gniazd, a króliki z białymi ogonkami znikają w bujnych zaroślach. I wreszcie go zobaczyłam. Mały złoty domek, wtulony w zielone zbocze. Zamarłam w bezruchu, wpatrzona w cząstkę mojej przeszłości. Ciszę zakłócał jedynie szum morza i cykanie świerszczy. Pomyślałam, że mój domek wygląda równie samotnie, jak ja się czuję samotna.

Jon-Boy opowiadał, że zbudowano go w latach dwudziestych, dla kochanki bogatego właściciela Castello Pirata. Była to śliczna młoda

śpiewaczka operowa z Neapolu. Domek stał niedaleko zamku, a jednocześnie zapewniał niezbędną dyskrecję. Wyszczono litą skałę, by móc wznieść go na stromym zboczu. Koniec końców okazał się mniejszy, niż kochanka się spodziewała, ale tak piękny, że zakochała się w nim od razu i nie narzekała.

Był naprawdę malutki: zbudowany na planie kwadratu, na parterze miał czworo drzwi wychodzących na taras i pięć okien na piętrze. Płaski dach wieńczyła niewielka kopuła w stylu mauretańskim, błękitno-zielona jak morze. Smukłe kolumny, plecione jak laski lukrecji, podtrzymywały trzy łuki nad werandą i balkon na piętrze. Poniżej szerokie stopnie prowadziły do tarasowych ogródków i niewielkiej altanki.

Słyszałam cichy szum wodospadu i przypomniałam sobie miejsce, gdzie woda opada z klifu, kierowana szeregiem starannie ułożonych głazów, i wije się wśród ogrodów, ocienionych wiekowymi cedrami. Mniej więcej w połowie wzgórza była uroczą marmurową altanką, w której, jak to sobie wyobrażałam, młodziutka śpiewaczka operowa siadywała o zachodzie słońca i sączyła wino, podobnie jak Jon-Boy. Teraz oplatał ją gęsty powój, błękitny jak niebo.

Przyjrzałam się uważniej i zobaczyłam, że wiekowe cedry opierają konary o dach domku. Zimowe wiatry powykręcały ich gałęzie w przedziwne kształty. W zaroślach zamieszkały leśne stworzenia. Stare drewniane okiennice pokryły się srebrzystym nalotem i chwiały się niebezpiecznie na zardzewiałych zawiasach. Nad oknami na piętrze smętnie powiewały podarte markizy.

Zamknęłam oczy i przywołałam obraz, który od lat nosiłam w pamięci. Jon-Boy i ja siedzieliśmy na tarasie. Był wieczór i Jon-Boy jak zwykle popijał lokalne wino, campania, a ja sączyłam lemoniadę; zrobiłam ją sama z owoców zerwanych z naszych drzew. Przez całe lato biegałam boso i podeszwy moich stóp były twarde jak drewno, słońce nadało moim ciemnym włosom odcień miedzi, a na mojej skórze została jeszcze warstwa morskiej soli po kąpieli. Czułam jej zapach, i czułam zapach cytryn i jaśminu, który oplatał białe kolumnienki.

W tamtych czasach byłam małą dzikuską, nikt mi nie mówił, co mam robić, przed nikim nie musiałam się z niczego tłumaczyć. Szłam do łóżka, kiedy byłam zmęczona. Budziłam się i wstawałam, szczęśliwa, że nadszedł

następny dzień. Zawsze pierwsze kroki kierowałam do kuchni wyłożonej białą terakotą i smarowałam masłem kromkę czerstwego chleba. Czasami był sprzed dwóch dni - Jon-Boy i ja nie najlepiej radziliśmy sobie z zakupami. Na masło kładłam grubą warstwę konfitur figowych - smakowały słońcem i przyprawami - i włączałam ekspres, żeby kawa była gotowa, kiedy Jon-Boy się obudzi. A budził się czasami w południe albo jeszcze później, zależnie od tego, gdzie spędził noc. I z kim, oczywiście, chociaż na ten temat właściwie rzadko coś wiedziałam.

Nigdy go nie budziłam, nie zaglądałam do jego pokoju. Choć młoda i niewinna, jakoś wiedziałam, że nie powinnam, więc tylko czekałam. Czasami była z nim dziewczyna, młoda i ładna, turystka, którą poderwał w Amalfi nocą. Czerwieniałam z zazdrości i nie chciałam się do niej odzywać. Jon-Boy śmiał się, próbował mnie tłumaczyć, pił z nią kawę i odchodził. Nigdy nie pytałam dokąd, a on nigdy tego nie mówił. Nie prosiłam, żeby mnie ze sobą zabrał, ale zawsze wiedziałam, że do mnie wróci.

Zazwyczaj miałam już na sobie kostium kąpielowy. Pamiętam go do dziś: był jaskrawoczerwony, bardzo stary i zdecydowanie za mały. Pachniał latem i za żadne skarby nie chciałam innego. Zbiegałam tysiącami stopni do zatoczki i wpadałam do wody, płytkiej, chłodnej i tak przejrzystej, że widziałam tuziny malutkich rybek, ciekawie obserwujących moje stopy. A później rzucałam się w fale i prulałam w stronę horyzontu wzorowym kraulem, którego się nauczyłam w szkolnym basenie w Evanston.

Wspaniałe to było uczucie - wolność w najczystszej postaci: tylko ja i chłodne, kryształowe morze. Słońce rozpalało w kroplach miniaturowe tęcze. Mogłabym tak płynąć bez końca, nawet na Capri.

Przewracałam się na plecy i patrzyłam na zielony brzeg. Jeśli ktoś nie wie, że domek ukrywa się wśród zarośli, trudno go zauważyć, ale ja wiedziałam, że trzeba spojrzeć w prawo od scalatinella, ku powykręcanyemu cedrom. I wtedy dostrzegałam skrawek zielono-błękitnej kopuły, migał mi kawałek markizy i złotych ścian. Uśmiechałam się, uspokojona, i powoli wracałam do brzegu. I do domku, na świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy, który na mnie czekał, jeśli Jon-Boy już wstał i jeśli był w domu.

## Rozdział 11

Nowy odgłos sprowadził mnie z powrotem na ziemię. Usłyszałam za plecami szuranie sandałów. Odwróciłam się gwałtownie, niemal przekonana, że zobaczę Jon-Boya, ale zamiast niego zobaczyłam Japończyka tak starego, że wydawał się ponadwiekowy. Rzadka, siwa, krótka broda, krzaczaste siwe brwi, łysina. Chudy i muskularny, o skórze koloru piaskowca miał jasne, czyste spojrzenie kontrastujące z niechlujnym wyglądem. Był jak faun, uwieczniony w starożytnej rzeźbie, jak łagodny Bachus, a jednocześnie było w nim coś z kozic, które, jak pamiętałam, swobodnie skakały po stromych zboczach jednej z wysepek niedaleko stąd.

Należał do tego świata tak bardzo, że wydawało się, iż z niego pochodzi, z niego wyrasta. I w pewnym sensie tak było, bo to właśnie on, Mifune, stworzył przed wielu laty ten ogród. Na długo przedtem, zanim go zobaczyłam i pokochałam.

To Mifune zaszczerpił we mnie miłość do drzew i krzewów, do strumyków, fontann i głązów. To Mifune pokazał mi, jak pory roku współgrają z przyrodą, to Mifune mimowolnie sprawił, że wybrałam zawód architekta zieleni.

Mifune wywarł, oprócz Jon-Boya, największy wpływ na moje życie. Był tu moim jedynym przyjacielem. Spędzaliśmy razem godziny, dni, tygodnie, miesiące, wreszcie cały rok. Ukształtował moje życie prostymi słowami mądrości i do dzisiaj przy każdym nowym projekcie zastanawiam się, jak oceniłby go Mifune.

Zaniemówiłam, zaskoczona, widząc go teraz, po trzydziestu latach, w tym ogrodzie, w moim ogrodzie. Już wtedy wydawał mi się stary i byłam pewna, że nie żyje. Przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu.

- Mifune - odezwałam się pierwsza. - Pewnie mnie nie pamiętasz, ale ja ciebie nigdy nie zapomniałam.

- Va bene, la piccola Lamour Harrington. - Szeroki bezzębny uśmiech przeciął pergaminową twarz, w bezbarwnych oczach zapłonęły iskierki. - Czy to naprawdę ty? - zapytał po włosku.

- Po tylu latach wróciłaś do domu?

Miałam ochotę podbiec do niego i go uściskać, ale przypomniałam sobie sztywne japońskie konwenanse i tylko skłoniłam się nisko, okazując mu szacunek, na który w pełni zasługiwał.

- Mifune, mówiłeś, że chcesz wrócić do Japonii, że chcesz odnaleźć dawne zwyczaje, dawne życie, tamtych ludzi.

On także skłonił głowę, na której zostało jeszcze kilka kosmyków.

- Wróciłem, signorina. Ale przekonałem się, że świat, który zostawiłem jako młody człowiek, już nie istnieje. Wszystko się zmieniło, nic nie było prawdziwe. Więc wróciłem do domu. Do Amalfi.

Spostrzegawczy jak zwykle, dostrzegł brak obrączki na mojej lewej ręce i zwrócił się do mnie signorina.

- To jak ja, Mifune - zauważyłam. - Ale ja tu jestem tylko na wakacjach. Chciałam zobaczyć ten dom.

Roześmiał się cicho, niemal bezgłośnie.

- To miejsce rzuca czar na młodych. Nigdzie indziej nie będziesz naprawdę szczęśliwa. Jeszcze o tym nie wiesz, piccolinal

- Zapomniałam już, czym jest szczęście. Nie wiem, jak je odnaleźć. Nie wiem w ogóle, gdzie szukać. Ostatnio przypomniałam sobie chwile w Rzymie, z Jon-Boyem, szczęśliwe chwile. A później przywiózł mnie tutaj, do tego raj, paradiso, i tu znalazłam inne, prawdziwsze szczęście.

- Szczęście jest w duszy - zauważył Mifune.

- Ale twoje oczy mówią, że je utraciłaś. Po trosze odeszło razem z Jon-Boyem. O resztę nie pytam, bo to nieważne. Jesteś tu, gdzie twoje miejsce.

- Muszę odzyskać Jon-Boya - powiedziałam. - Muszę się dowiedzieć, co się wtedy stało. Chcę wiedzieć, jak zginął, żeby przegonić duchy i koszmary.

Poważnie skinął głową.

- Rozumiem.

Pomyślałam o gorączce chicagowskiego życia, o terminach zleceń, o garstce bliskich przyjaciół. O Aleksie i jego zdradzie. O Jon-Boyu i Mifune. Wszystkie moje dobre wspomnienia wiązały się z Włochami.

Sprzedalam mieszkanie. Nie mam już domu. Jestem sama na świecie; do czego mam wracać? Największą przyjemność daje mi tworzenie ogrodów w miejscach, gdzie to pozornie niemożliwe, jak tu, na stromym zboczu, gdzie Mifune pozwalał mi pomagać sobie przy przekształcaniu klifu w oazę zieleni.

Teraz była to burza chwastów, spływająca kaskadą do morza. Wiekowe cedry ugięły się pod ciężarem nieprzycinanych gałęzi, a złoty domek, mój prawdziwy dom, wydawał się smutny i opuszczony.

Potrzebowałam, jak ja, nowego życia, nowego tchnienia, i nagle zrozumiałam, że razem nam się uda. Zostawię przeszłość za sobą, zacznę wszystko od nowa. Będę samowystarczalna, posadzę na zboczu oliwki, cytrusy, pomidory, zadbam o ogrody. Kupię sobie krowę i będę wyrabiała własną mozzarellę; będę miała własne kury i zajadała prawdziwe zdrowe jajka, nie jakieś fermowe... Oszłomiła mnie ta wizja niezależności.

- Wróciłam do domu, Mifune - powiedziałam z uśmiechem, czując w żyłach przyływ czystego szczęścia. - Wróciłam tu, gdzie moje miejsce.

RS

## Rozdział 12

Pamiętam doskonale dzień, w którym poznałam Mifune. Jon-Boy i ja mieszkaliśmy w małym domku już od tygodnia i co rano biegliśmy do morza popływać. To znaczy ja pływałam, a Jon-Boy patrzył. - Nie za daleko, skarbie! - wołał. - Nie mam ochoty cię wylawiać.

Oczywiście wiedział, że dobrze pływam, o wiele lepiej niż on, i że w spokojnych wodach jest mała szansa, by musiał mnie wylawiać.

Tamtego ranka zastukałam do jego drzwi, ale nie odpowiadał. Zapukałam jeszcze raz, ale nie zajrzałam do pokoju. Nigdy tego nie robiłam. Wiedziałam, że gdyby był u siebie, zareagowałby na pukanie. Pobiegłam do kuchni: może już wyciska mi sok? Wyrzłam na taras, sprawdziłam w ogrodzie.

Doszłam do wniosku, że pewnie wstał przede mną i poszedł na targ do Piraty. Włożyłam czerwony kostium i pobiegłam do zatoki.

Dziś wiem, że Jon-Boy zapewne wyszedł już nocą, ledwie zasnęłam. Nie miałam mu tego za złe; nie można oczekiwać, że facet mający pod opieką siedmiolatkę będzie wiecznie siedział w domu. Tak przynajmniej wtedy uważałam.

Łódki kołysały się przy molo. Podniosłam rękę do oczu i spojrzałam na srebrzyste morze. Słońce wyjrzało zza chmur, zapowiadał się piękny dzień. Wbiegłam do wody i zanurkowałam.

Mniej więcej pół godziny później opuściłam mój wodny świat i zmęczona z powrotem pokonałam schody. Cieszyłam się już na mocną kawę, którą zaparzę dla Jon-Boya i dla siebie, na pyszny chleb z chrupiącą skórką, ale frontowe drzwi nie ustąpiły, kiedy je pchnęłam. Nie dawałam za wygraną. Na darmo. Były zamknięte.

Podbiegłam do drzwi na taras. Zamknięto je od wewnątrz. Wdrapałam się do okna kuchennego. To samo. Zastanawiałam się, czy nie wspiąć się po jednej z kolumn do okien na piętrze, ale miałam dość rozsądku, by uznać, że skończyłoby się to prawdopodobnie skreśleniem karku.

Nagle niebo się zachmurzyło, słońce znikło. Skuliłam się na schodach. Drżałam w mokrym kostiumie i marzyłam o kubku gorącej kawy.

- Co tu robisz całkiem sama, dziewczynko?

Nie słyszałam kroków. Trochę przestraszona spojrzałam na starszego mężczyznę. Już wtedy wydawał mi się stary. Chudy i drobny, z dziwnie jasnymi oczami i krzacastymi brwiami, wyglądał mi na ducha.

- Och! zawołałam, zaskoczona. - Jest pan duchem? Roześmiał się.

- Jeszcze nie, piccolina. A ty?

- Nie. - Przyglądałam mu się uważnie. Niósł wielką konewkę i grabie o długich zębach.

- A gdzie mieszkasz? - zapytałam. Nadal się go trochę bałam i zdawałam sobie sprawę, że w pobliżu nie ma Jon-Boya, który mógłby mnie obronić.

- W domku przy castello.

- Och! - Byłam pod wrażeniem. Widziałam castello z daleka. Zamek wyglądał jak miejsce odpowiednie dla księżniczki.

- Jestem ogrodnikiem, dziewczynko. Nazywam się Mifune.

- Mifune powtórzyłam z uśmiechem. Spodobało mi się to imię. - A ja Lamour.

Dygotałam z zimna.

- Wejdz do środka, Lamour, przebierz się, rozgrzej.

- Ale drzwi są zamknięte - wyjaśniłam. - Wszystkie. I Jon-Boya nie ma w domu.

Mifune nie zadawał żadnych pytań, ani o Jon-Boya, ani czemu siedmiolatka jest bez żadnej opieki. Powiedział tylko:

- Chodź ze mną, piccolina. Pójdziemy do kuchni w castello. Kucharka da ci ciepłe ubranie i coś gorącego do picia.

Zgodziłam się ochotczo, zaintrygowana nowym, dziwnym przyjacielem. Podskakiwałam koło niego i zadawałam miliony pytań. Skąd pochodzi? Dlaczego tu mieszka? Jak jest w Japonii? Czy jada tu japońskie potrawy?

Zatrzymał się w pół kroku, złapał mnie za rękę i nachylił się do mnie.

- Piccolina, czy ty kiedykolwiek milczysz? - zapytał. - Bądź cicho. Rozejrzyj się. Zobacz, ile tu piękna. Nie zawsze trzeba dużo mówić.

Patrzyłam na niego osłupiała. Tam, skąd pochodziłam, dzieciaki paplały bezustannie, najlepiej jedno przez drugie.

- Patrz - powtórzył Mifune. I patrzyłam.

Patrzyłam, a on pokazywał mi młode sadzonki w cieniu starych pinii i opowiadał, jak latem kwiaty rozkwitną. Patrzyłam na królicze nory koło



żywoplotu, na ptasie gniazda na drzewach, a Mifune uczył mnie nazw kwiatów, po angielsku i po łacinie. Powtarzałam za nim, zafascynowana, że mają dwie nazwy.

Wędrowaliśmy pod piniami, ścieżką, aż do Castello Pirata, a tam pokojówki wzruszyły się moją niedolą, że zostałam sama, na progu domu, tylko w mokrym kostiumie. Zaraz przyniosły mi ubrania - za duży sweter i szorty - i specjalnie dla mnie zrobiły gorącą czekoladę.

Podeksycytowana wielką przygodą, podziękowałam im, pożegnałam się i poszłam z Mifune przez ogrody, na które teraz patrzyłam zupełnie inaczej.

W małym domku drzwi były otwarte, a Jon-Boy szukał mnie w panice.

- O Boże, jesteś! Porwał mnie na ręce, przycisnął do piersi. - Przestraszyłaś mnie, Lamour. Zauważyłem, że nie ma kostiumu kąpielowego, a nie widziałem cię w morzu. Jezu! - Przycisnął mnie do siebie i czułam, jak mocno bije mu serce. Nagle się zorientował, że nie jesteście sami.

- Signore. - Mifune skłonił się uprzejmie.

- Signore. - Jon-Boy odpowiedział ukłonem.

- Jestem Mifune, ogrodnik w castello. Pańska córka była sama. Nie mogła się dostać do domu. Zmarła.

Jon-Boy wychwycił nutkę wyrzutu w głosie Mifune.

- Przepraszam cię, Lamour, i pana, Mifune - odparł grzecznie. - Musiałem wyjść, było to nieuniknione, ale też niewybaczalne.

- Mifune zabrał mnie do castello - przerwałam, ciągle podeksycytowana przygodą. - Dali mi tam gorącą czekoladę i te ubrania.

- Więc musimy podziękować Mifune, że ci pomógł.

- Mężczyźni spoglądali na siebie.

- Lamour to moja córka; jest dla mnie wszystkim.

Mifune skinął głową.

- To urocza piccolina, chociaż za dużo mówi - stwierdził, a Jon-Boy się roześmiał.

- Byłbym zaszczycony, gdybyście wypili ze mną herbatę, jutro, w moim domku przy castello, o czwartej - dodał.

Jon-Boy zapewnił, że przyjdziemy z przyjemnością.

Mifune skłonił się, pożegnał, i odszedł równie bezszelestnie, jak się pojawił. Jon-Boy stwierdził, że jego zaproszenie brzmiało jak królewski

rozkaz i że musimy iść, więc następnego dnia maszerowaliśmy pod wiekowymi piniami. Miałam na sobie najlepsze ubranie, czyli koszulkę i szorty, niewiele, ale lepsze to niż stary czerwony kostium, i niosłam prezent, ciasteczka arna-retto owinięte w różową bibułkę.

Nigdy nie widziałam niczego, co choć trochę przypominałoby domek Mifune. Wyglądał jak japońska świątynia. Dwie kolumny podtrzymywały spadzisty dach, który opadał gwałtownie i wywijał się ku górze. Weszliśmy po trzech niskich stopniach na werandę, gdzie wisiał mosiężny gong. Drewniane okiennice zabezpieczały okna z papieru ryżowego przed zimowymi włoskimi sztormami, ale poza tym był to dom na wskroś japoński.

Czułam się jak w bajce. Lekko uderzyłam w gong, żeby zaanonsować nasze przybycie.

Mifune podszedł do drzwi.

- Signore, signońna, wejdźcie, proszę. - Ukłonił się lekko. Patrzyłam na lśniącą podłogę z bambusa, na ścianki z papieru ryżowego

dzielące pomieszczenie, na maty tatami rozłożone dokoła niskiego stolika pośrodku. W pokoju znajdował się jeszcze tylko jeden mebel - długi, wąski stolik, na którym stał ołtarzyk z wiązu, a przy nim płonęła świeca. Jak mi później wyjaśnił Jon-Boy, w ten sposób Mifune oddawał cześć nieznanym przodkom.

Staruszek szykował herbatę, powoli, z namaszczeniem ustawiał porcelanowe czarki na czarnej tacy z laki. Nalał mocnego, zielonego naparu z im-bryka z bambusową rączką. On i Jon-Boy rozmawiali, a ja chłonełam wszystko wzrokiem.

Nigdy nie byłam w takim domu, nigdy nie znałam kogoś takiego jak Mifune. I mogłabym się założyć, że on też nie znał kogoś takiego jak ja. Spojrzałam na niego i się uśmiechnęłam. Wiedziałam, że się zaprzyjaźnimy.

Od tego czasu Mifune nade mną czuwał. Chyba zawsze wiedział, gdzie jestem i czy jestem sama. Zaczął mnie uczyć o roślinach, o kwiatkach, o ziemi, z której wyrastają, o potędze wody, o tym, jak potrzebne jest słońce, cień i wiatr. Od Mifune uczyłam się życia i nigdy nie zapomniałam jego nauk.

## Rozdział 13

Jammy przeciągnęła się leniwie na leżaku nad basenem przy hotelu Santa Caterina. Duży słomkowy kapelusz osłaniał jej twarz. Zerknęła w spokojny błękit nieba przez szparki w splocie. Gdzieś w oddali szumiało morze i krzyczały mewy.

Usłyszała kroki Lamour na stopniach; szybkie, nerwowe, lekkie. Rozpoznałaby je wszędzie.

- Jammy!

Sąsiedni leżak zaskrzypiał, gdy Lamour na nim usiadła.

- Tak? - spytała Jammy niby to obojętnie i modliła się, by Lamour nie krzyczała.

- Jammyyyyyy!

Uśmiechnęła się pod kapeluszem.

- Co? - zapytała.

Po chwili nie miała już kapelusza na głowie, a Lamour uśmiechała się od ucha do ucha.

- Jammy Mortimer Haigh, nie udawaj, że cię nie obchodzi, co robiłam! Jammy usiadła.

- Sądząc po twojej minie, było to coś przyjemnego. - Poprawiła paski kostiumu.

- Jam, on tam nadal jest! Mój złoty domek! Oczywiście nikt w nim nie mieszkał, odkąd Jon-Boy... odszedł. Jest trochę zaniedbany. A ogród... Cóż, powiedzmy, że wykorzystam cały mój kunszt. Ale to nie wszystko. Spotkałam kogoś wyjątkowego.

Jammy spokojnie słuchała opowieści Lamour o starym przyjacielu, o żalonym stanie ogrodów, o domu, póki nie usłyszała:

- Postanowiłam tu zostać. Odnowię dom, razem z Mifune przywrócę ogrodowi ich dawną urodę. Zamieszkać tu i znowu będę sobą... Będę uprawiała warzywa, hodowała kury, krowę...

- Oszalałaś! - Jammy zerwała się z leżaka. - Na miłość boską, Lamour, krowę? Widzę, że jesteś podekscytowana, ale nie trać głowy! Nie możesz tu zamieszkać. Twoje życie, twoje prawdziwe życie jest w Chicago... tam jest

twoja praca, twoi przyjaciele. Kupisz nowe mieszkanie i zaczniesz wszystko od początku. Sama wiesz, że zmarnowałaś aż nazbyt dużo czasu.

- Ja nie wracam, Jammy. - W oczach Lamour lśnił zapal neofity. - Zamieszkać w moim domku w Amalii. Będę samowystarczalna, na tyle, na ile to możliwe. No wiesz, nie mogę uprawiać winorośli na moim klifie, ale po drugiej stronie drogi jest łąka, na której będę pasła moją krowę...

- Powiedz mi, na jaką odległość kiedykolwiek zbliżyłaś się do krowy?

- Cóż, widziałam je, no wiesz, na farmach, na wsi...

- Z okien samochodu, tak?

- No tak, ale to nie znaczy, że nie mogę się wszystkiego o nich nauczyć, zresztą chcę mieć tylko jedną.

Jammy z powrotem opadła na leżak i nasunęła kapelusz na twarz.

- I będziesz ją doić dwa razy dziennie? O piątej rano i później jeszcze raz, koło siódmej wieczorem? Wtedy, kiedy normalni ludzie wybierają się na kolację do miłej knajpki, na lampkę dobrego wina? Wiesz co, może zacznij też wyrabiać mozzarellę i sprzedawaj przy drodze. I jeszcze jajka, zapewne z podwójnymi żółtkami. Jajka od twoich ślicznych kurek, które z ochotą ci je zniosą. I jeszcze lemoniada z twoich cytrusów... radziłabym ci też wypiekać własny pyszny chrupiący chleb, taki prosto z pieca, idealnie pasuje do jaj i sera. Co za cudowne życie, Lamour. Już to widzę. Żegnajcie, czerwone pantofelki, żegnaj, koralowa suknie, zgiń, przepadnij szanso na jakiegokolwiek życie erotyczne. Wkrótce będziesz zgryźliwą staruchą w czerni, w wiązanych półbutach, przepracowaną i wściekłą, że nie mieszka w eleganckim apartamencie w Chicago, gdzie zarabia na życie projektowaniem ogrodów. I to na dobre życie, Lamour. O tym chyba zapomniałaś, co? Z czego

ty właściwie będziesz żyła? Co tu dużo gadać, nie przywykłaś do surowych warunków. - Jammy odrzuciła kapelusz z twarzy i gniewnie spojrzała na przyjaciółkę. - Czasami jesteś strasznie głupia, Lamour. Nie rozumiem, jak z tobą wytrzymuję. Lamour spochmurniała, ale tylko na chwilę.

- Domek należał do Jon-Boya, więc teraz jest mój. Zamieszkać w nim za darmo. Wiem, że będę musiała pracować, nie jestem taka głupia. Ale już wszystko przemyślałam; kiedy sprzedam apartament, kupię sobie mniejsze

mieszkanie, żeby mieć gdzie się zatrzymać w Chicago, i będę tam wpadać, żeby realizować zlecenia. Nie rzucę pracy, przynajmniej póki nie będę pewna, że tutaj dam sobie radę.

Jammy nasunęła kapelusz z powrotem na oczy.

- I co ja mam z tobą zrobić, Lamour Harrington? No, co ja mam z tobą zrobić?

- Mogłabyś przynajmniej obejrzeć domek, zanim wydasz ostateczny sąd. - W głosie Lamour rozbrzmiała nadzieja.

- Przyznaję, trzeba go odmalować, i nie wiem jeszcze, jak wygląda wewnątrz, ale Mifune zostawi klucze pod doniczką przy drzwiach. Jutro mogłybyśmy go obejrzeć. Pojedziesz ze mną, Jammy? Błagam, powiedz, że tak.

Mało brakowało, a westchnienie Jammy zrzuciłoby jej kapelusz z twarzy.

- Przecież wiesz, że tak - mruknęła zrezygnowana. Lamour roześmiała się radośnie.

## Rozdział 14

Lorenzo Pirata skierował helikopter nisko nad ziemię niczyją, nad wieczorne morze barwy atramentu, jakby szukał tej tajemniczej linii, gdzie ciemniejące niebo łączy się z bezdenną tonią. Affare, jego brzydka biała suka, dzielnie trwała u jego boku. Po lewej stronie światła hoteli i pensjonatów rozjaśniały wybrzeże Amalfi. Dostrzegł czerwony reflektor na szczycie wieży castello i garstkę świateł, czyli miasteczko Pirata. Z westchnieniem ulgi sprowadził maszynę jeszcze niżej.

Rodzina Lorenza mieszkała tu od trzystu lat i znał każdą piędź tej ziemi. Znał wszystkich mieszkańców Piraty. Opiekował się nimi jak ojciec. Wracał do domu, najważniejszego dla siebie miejsca.

Widok Castello Pirata z lotu ptaka zawsze go urzekał. Kwadratowa wieża z kamienia wyglądała jak zamek Hamleta w Danii. Tylko ona została z pierwotnego castello, który w XVII wieku wznosił przodek o dobrym guście i zasobnym trzosie. Legenda głosiła, że wzbogacił się dzięki piractwu, stąd nazwisko, ale o tamtych czasach nie przypominało właściwie nic, chyba tylko flaga z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami i fakt, że do dzisiaj rodzina Pirata zajmowała się budową statków.

Kolejne pokolenia dobudowały nowe skrzydła i aneksy, zakładały nowe ogrody. Na olbrzymim tarasie pyszniły się drzewa cytrusowe w wielkich donicach i tuzin sfinksów, sprowadzonych z Egiptu na początku XX wieku. Posępnie spoglądały na poszarpane wybrzeże Amalfi.

Woda w błękitnym basenie, ozdobionym kamiennymi łukami, wzburzyła się od wirników helikoptera. Kąpiąca się młoda kobieta spojrzała w górę i pomachała na powitanie. Affare zaszczekała radośnie. Lorenzo uśmiechnął się zadowolony. Aurora, jego dwudziestojednoletnia córka, studentka uniwersytetu w Grenoble, nieoczekiwanie przyjechała na weekend.

Delikatnie posadził helikopter na ziemi i przez chwilę się nie ruszał, czekając, by jego uszy przywykły do naglej ciszy. Zakłócało ją jedynie dyszenie Affare, cykanie świerszczy i szum fontanny. Poczł, jak spada mu z ramion ciężar rzymskiego życia. Wrócił do domu, na swój skrawek ziemi, do miejsca, które kochał. Wysiadł z helikoptera i ruszył przez ogrody, a Affare

radośnie skakała dokoła niego. Pokonywał schody na taras, przeskakiwał co drugi stopień, po drodze rozluźnił krawat i zrzucił marynarkę.

Był wysokim, potężnym mężczyzną. Skończył sześćdziesiąt cztery lata, zawsze nienagannie się ubierał, gęstą, srebrzystą czuprynę zaczesywał do tyłu. Miał orli nos i silny podbródek, często pokryty jednodniowym zarostem. Lorenzo Pirata należał do tych mężczyzn, których sama obecność narzucała innym szacunek i przyciągała uwagę. Umiał sprawić, by wszyscy wokół go słuchali, umiał rozkochać w sobie każdą kobietę. A było ich niemało.

Lecz ożenił się tylko raz, ze swoją pierwszą miłością. Kiedy umarła, wiedział, że nic nie zdoła zastąpić tego, co ich łączyło. Lecz życie toczyło się dalej. Miał dwoje dorosłych dzieci. Był człowiekiem światowym, wyrafinowanym i zarazem prostym; wołał uprawiać ogród i pływać starą rybacką łodzią, niż oddawać się rozrywkom Rzymu czy Nowego Jorku.

Massimo, majordomus, który pracował dla rodziny Pirata od czasów, gdy on i Lorenzo byli mali, usłyszał już warkot helikoptera i otworzył ciężkie drewniane wrota. Z przestronnego holu rozlało się ciepłe światło, gdy powitał pana na progu i wyciągnął ręce po marynarkę i krawat. Lorenzo od razu ruszył do swojego pokoju i do łazienki.

- Scusi, signore, Mifune chce z panem rozmawiać! - zawołał za nim Massimo.

Lorenzo zatrzymał się w pół kroku. Odwrócił się i zobaczył starego Japończyka. Stał przy drzwiach, ze sfatygowanym słomkowym kapeluszem w dłoniach. Wydawał się bardzo kruchy, aż Lorenzowi ścisnęło się serce. Miał ochotę powiedzieć:

- Mifune, w moim domu nie musisz stać. Proszę, siadaj tu, w fotelu. Ale wiedział, że Mifune nigdy nie przekroczy niewidzialnej granicy między panem i sługą, choć dla niego był nie pracownikiem, tylko członkiem rodziny. Suka podbiegła do starego przyjaciela. Mifune pochylił się, żeby japońskaskać.

- Jesteś zdrowy, Mifune, prawda? - zapytał Lorenzo, zaniepokojony nieoczekiwaną wizytą i kruchością staruszka.

- Tak, signore, nic mi nie jest. - Mifune mówił bardzo cicho. Lorenzo podszedł bliżej, żeby lepiej słyszeć, i schylił głowę.

- Signore, dziewczyna wróciła - oznajmił Mifune.

Lorenzo podniósł głowę. Zamknął oczy i milczał przez dłuższą chwilę. Nie musiał pytać, kogo Mifune miał na myśli. W końcu się odezwał:

- Długo czekała, Mifune.

- Signore, nie jest szczęśliwa. Mówi, że musi zacząć nowe życie. Wróciła, żeby odnaleźć szczęście, którego zaznała tu z ojcem. - Wyblakłe oczy napotkały przenikliwy wzrok Lorenza. - I, moim zdaniem, chce się dowiedzieć, co się z nim stało.

Lorenzo przechadzał się po marmurowej posadzce z rękami na plecach i pochyloną głową.

- Nie powitam jej tu z otwartymi ramionami, Mifune - oznajmił w końcu. Wydawało się, że ramiona staruszka opadły lekko, jakby przygniecione

kolejnym ciężarem. Rzadka, siwa bródka oparła się o klatkę piersiową, krzaczaste brwi spotkały nad nosem.

- Więc ja to zrobię, signore - powiedział cicho. - To mój obowiązek. - Skłonił się i odwrócił.

Lorenzo odprowadzał go wzrokiem, patrzył, jak staruszek powoli schodzi ze schodów i oddała się w kierunku chatki, która stała się jego domem na długo przed tym, jak Lorenzo się urodził.

Obaj musieli się zmierzyć z pewnym dylematem i po raz pierwszy od dawna Lorenzo nie wiedział, co robić.



## Rozdział 15

Lorenzo zazwyczaj odprężał się pod prysznicem, lubił, gdy silny strumień zmywał trudy pracy. Lecz nie dziś. Ciągle myślał o szokującej nowinie Mifune, że wróciła córka Jon-Boya. Nie spodziewał się tego, nie po tylu latach, i bardzo żałował, że nie została w domu. Teraz musiał ją ostro potraktować, a to mu się nie podobało.

Odchylił głowę, pozwolił, by igiełki wody uderzały go w twarz, jakby chciał, by zmyły wspomnienia. Nie zmyły jednak i nie miał wyboru.

Mieszkał w starej wieży, najstarszej części castello. Na parterze mieścił się jego prywatny salonik, o ścianach pełnych książek i obrazów. Nie były to dzieła starych mistrzów, odziedziczone po przodkach, ale obrazy, które sam wybrał tylko dlatego, że mu się spodobały. Lubił patrzeć na każdy z nich. Często, jako mecenas ich twórców, zachęcał ich do dalszego malowania, pomagał organizować wystawy. Przeczytał każdą książkę w swojej bibliotece; ani jeden tom nie służył tam ozdobie.

Na jego biurku stały trzy fotografie w prostych srebrnych ramkach. Pierwsza z nich przedstawiała Marellę, jego żonę, w dniu ich ślubu. To była skromna uroczystość, zaprosili zaledwie setkę gości, tylko rodzinę i przyjaciół, bo Marella nigdy nie lubiła przepychu. Ślubowali sobie miłość w Duomo di Sant Andrea, katedrze w Amalfi, a później wrócili do castello na ucztę na tarasie, z którego rozciągał się fantastyczny widok na morze.

Marella spoglądała na niego ze ślubnego zdjęcia smutnymi piwnymi oczami. Jej włosy nikły pod rozwianym koronkowym welonem, upiętym pod wiankiem, a nie brylantowym diademem. Wyglądała słodko i młodo. Lorenzo bardzo lubił to zdjęcie. Jej śmierć była największą tragedią jego życia.

Nico, jego syn, był na zdjęciu dokładnie taki, jak w rzeczywistości: butny, otwarty, czarujący. Ale fotografia nie oddawała jego całkowitego braku odpowiedzialności, zarówno w życiu zawodowym, jak i osobistym. Jego niechęć do pracy w rodzinnej firmie zabolala Lorenza bardziej, niż to okazywał. Kiedy Nico mu to powiedział, potraktował go szorstko i przypomniał o ciężającej na nim odpowiedzialności wobec rodziny. Lecz Nico i tak poszedł własną drogą, zahaczył się w telewizji, później w agencji

reklamowej, i, o dziwo, był dobry w tym, co robił. Jednak zdarzało się, że całymi tygodniami nie przychodził do pracy, bo pod wpływem impulsu wyruszał na długie wakacje, a to niezbyt się podobało jego szefom. Gdyby nie to, że był synem Lorenza Piraty, pewnie byłby bezrobotny, nieważne, jak świetnie sobie radził w pracy.

Jego życie osobiste było równie niestabilizowane. Błyskawicznie się zakochiwał i równie szybko tracił zainteresowanie - mówiło się o nim, że zmienia kobiety jak rękawiczki. Lorenzo tego nie pochwalał i nieraz mu to mówił; na próżno. Miał tylko nadzieję, że Nico prędzej czy później wydorósł się.

I jeszcze Aurora. Czujnie patrzyła w obiektyw, jak sarna wpatrzona w reflektory samochodu. Była piękna urodą starej miniatury, miała delikatne rysy, wydatne kości policzkowe, wielkie piwne oczy i pełne usta. Tylko Lorenzo wiedział, że pod dumną miną kryje się niepewność.

Aurora zawsze wymagała uwagi. Towarzyszyła matce na każdym kroku, czepiała się jej spódnicy - po śmierci Marelli była przerażona i załamana. Przerzuciła całe uczucie na Lorenza, wymusiła na nim obietnicę, że nigdy jej nie opuści. Sprowadził rodzinę do palazzo w Rzymie, żeby zawsze byli razem, ale w weekendy wszyscy wracali do castello, do prawdziwego domu.

Aurora nigdy nie wyrosła z tej niepewności i lęków. Wśród rówieśników zachowywała się śmiało i arogancko, stąd opinia, skądinąd prawdziwa, że jest rozpuszczona i samolubna, lecz Lorenzo wiedział, że w głębi duszy pozostała przerażonym dzieckiem, i robił, co mógł, by ją chronić.

Wymarł się do sucha, włożył lnianą koszulę i spodnie i z Affare u boku poszedł na kolację z dziećmi.

Czekali w małym saloniku z wyjściem na taras. Rodzina spotykała się właśnie tutaj; wielkie, imponujące pomieszczenia zapełniały się ludźmi tylko podczas formalnych przyjęć.

Nico sączył whisky, wpatrzony w granatowe nocne niebo. Aurora siedziała w fotelu i od niechcienia przeglądała gazetę. Oboje podnieśli wzrok, gdy Lorenzo wszedł do pokoju.

- Papa! - Aurora zerwała się i podbiegła do niego. - Spóźniłeś się! Gdzie byłeś?

Lorenzo uściskał ją, aż się roześmiała, i wyjaśnił, że zatrzymały go sprawy zawodowe.

- Mam nadzieję, że wszystko załatwiłeś? - zapytała z takim niepokojem w głosie, że musiał się uśmiechnąć.

- Tak, kochanie. Wszystko w porządku.

Aurora odetchnęła z ulgą, a Lorenzo podszedł do Nica, który nadal stał przy otwartych drzwiach na taras.

- Cieszę się, że cię widzę, synu. - Lorenzo uściskał go. Nico nawet nie odstawił szklanki, tylko od niechcenia poklepał ojca po plecach. Wyczuwało się chłód między nimi.

- Już późno. - Nico znacząco spojrzał na zegarek. - Mieliśmy usiąść do kolacji godzinę temu. Wybieram się na przyjęcie i nie chcę, żeby wszyscy na mnie czekali.

- Przyjęcie? Gdzie? U kogo? - zainteresowała się Aurora, ale Nico zbył ją wzruszeniem ramion i mruknął, że to nie jej sprawa.

- Widziałem tu Mifune - zwrócił się do ojca. - Co się dzieje? Jest chory? - W jego głosie brzmiała autentyczna troska. Znał Mifune od dziecka, staruszek był jego przyjacielem. Aurory nie; zawsze trochę ją przerażały jego wyblakłe oczy. Nie znała go tak dobrze, jak Nico.

Lorenzo podszedł do barku i zrobił sobie drinka - campari z wodą sodową i lodem i ze świeżym listkiem bazylii, który potarł między palcami, żeby uwolnić aromat.

- Mifune mi powiedział, że córka Jon-Boya przyjechała z Ameryki - odparł. - Zjawiała się po raz pierwszy od jego śmierci, i szczerze mówiąc, żałuję, że to zrobiła.

Jego dzieci znały historię śmierci Jon-Boya, wiedziały, że ciała nigdy nie znaleziono. Zaintrygowała ich nieznana córka.

- Nazywa się Lamour Harrington - ciągnął Lorenzo. - A ponieważ ciąży na mnie przykry obowiązek poinformowania jej, że nie jest tu mile widziana, wolałbym, żebyście nie próbowali się z nią zaprzyjaźnić. Najlepiej będzie, jeśli w ogóle nie będziecie z nią rozmawiać.

Nico przyglądał mu się zdumiony.

- Mówisz poważnie? A co ona takiego zrobiła, na miłość boską?

- Nic. Po prostu nie chcę, żeby grzebała w przeszłości, o której lepiej zapomnieć. Rozumiesz? Nie chcę, żebyś się z nią zaprzyjaźniła.

- Ciekawe dlaczego - mruknął Nico. Aurora patrzyła to na ojca, to na brata.

- Jeśli papa tak uważa, ma swoje powody - zauważyła lojalnie. Massimo pojawił się w progu.

- Kolacja podana, signore - oznajmił.

Lorenzo skinął głową i wyszedł z dziećmi na taras.

Podczas posiłku, z wierną Affare u boku, słuchał, jak opowiadają o minionym tygodniu. Wolałby, żeby Aurora czasem się sprzeciwiła, ale jak zawsze zgadzała się ze wszystkim, co on mówił. Niekiedy chciałby, żeby się zbuntowała, żeby nie zdawała się na niego we wszystkim. Zdawał sobie sprawę, że powodem jest jej dzieciństwo, i że nic na to nie poradzi.

- Chcę iść z Nikiem na przyjęcie - powiedziała. Nico zmiażdżył ją spojrzeniem.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego? Papo, powiedz mu, że musi mnie zabrać.

- Powiedz jej, że jest rozpuszczonym bachorem - odciął się Nico. Lorenzo westchnął. Dzieci zawsze wybierają własną drogę. Jego także.

- Po kolacji zagramy w tryktraka - zaproponował. Wolałby, żeby nie szła na ten rodzaj przyjęcia, na jakie - podejrzewał - wybierał się Nico. A kiedy się nadąsała i upierała się, że musi iść, stanowczo powiedział, że zostanie w domu.

O wiele później, kiedy Nico już wyszedł, a Lorenzo pozwolił Aurorze wygrać dwie partie z rzędu, zawołał Affare, poszli do wieży i razem wspięli się krętymi schodami do jego sypialni. Była skromna, męska i zupełnie nie taka, jak ludzie sobie wyobrażają sypialnię bogacza: na łóżku zwykła biała lniana pościel, przy oknie skórzany fotel, na podłodze tani indyjski dywanik, na niskim stoliku stos książek, które właśnie czytał. Sufit podpierały poprzeczne belki. Okna były wąskie i wysokie.

Ilekcroć wchodził do swojej wieży, miał wrażenie, że cofa się w czasie. Jego przodek pirat zbudował ją za złoto i srebro zdobyte na morzu, w czasach, gdy Amalfi było kwitnącym ośrodkiem handlu. Po śmierci Marelli Lorenzo źle się czuł sam w ich sypialni w castello i przeniósł się tutaj.

Odpowiadał mu skromny wystrój, zresztą z tym pokojem nie wiązały się smutne wspomnienia. Wieża była jego azylem; tu, w ciszy i spokoju, dumał o swoim życiu.

Kiedyś dzieci odziedziczą castello; martwił się, bo uważał, że Nico nie jest tego godny - dla niego castello nie znaczyło nic, było po prostu świetnym miejscem na imprezy. Nie obchodziła go historia domu, nie dbał o przodków, którzy go budowali, upiększali i kochali. A dla Lorenza castello było członkiem rodziny.

Rozebrał się, narzucił szlafrok. Affare już drzemała na posłaniu przy drzwiach. Nalał jej czystej wody i rzucił psiego herbatnika. Usiadł w skórzanym fotelu i patrzył w nocne niebo, na którym półksiężyc i Wenus przypominały brylantową broszkę. Jego myśli pomknęły ku Mifune; czuł się, jakby dzisiaj zawiódł starego przyjaciela. Ale nie miał wyboru. Złożył obietnicę i tak musi być.

Z westchnieniem otworzył książkę, ale nie mógł się skupić na lekturze. Cały czas myślał o Lamour Harrington i dylemacie, przed którym go postawiła. Widział tylko jedno nieuchronne wyjście z sytuacji.

## Rozdział 16

Następnego ranka zabrałam Jammy do domku. Zaparkowałam przy oplecionej kwiatami kapliczce świętego Andrzeja i uśmiechnęłam się, bo wydawało mi się, że wyciąga do mnie rękę w powitalnym geście. Jammy wysiadła i zapatrzyła się na wzgórze i castello z błękitną flagą powiewającą nad wieżą.

- Powiedz mi, że się mylę - zaczęła z niedowierzaniem. - Czyja naprawdę widzę czaszkę i piszczele? Kto tam mieszka? Markiz de Sade we własnej osobie?

- To herb rodziny Pirata.

Spojrzała na mnie, jakby myślała, że żartuję, a potem wróciła wzrokiem do zielonego zbocza nad nami i stromego klifu poniżej. Błękitnej tafli wody nie przecinała nawet jedna żaglówka. Z naszego miejsca nie widać było domku, tylko strome skalne schodki.

- Wiesz, że oszalałaś, prawda? - rzuciła zmartwiona. Zatrzasnęłam drzwi, płosząc stadko królików.

- Jam, wyłazi z ciebie typowy mieszcuch - odparłam

- A z ciebie oczywiście nie - zachnęła się, ale króliki ją rozbroiły i uśmiechnęła się szeroko.

- I co, twoja krowa ma tu zamieszkać? - zatoczyła ręką łuk, wskazując strome zbocze.

Skinęłam głową.

- Oczywiście będę musiała zbudować jej jakąś oborę, żeby miała gdzie się schować przed deszczem i wiatrem.

- Jakim deszczem i wiatrem? Myślałam, że tu zawsze świeci słońce.

- Nawet w rajcu czasem pada - stwierdziłam wesoło. Cieszyłam się na myśl, że po deszczu urosnie świeża trawa dla mojej krówki.

- Oczywiście nazwę ją Daisy - dodałam. - We wszystkich książkach krowy mają na imię Daisy.

- A czemu nie jakoś po włosku? W końcu nie wiadomo, czy będzie znała angielski. - Jammy udzielił się mój radosny nastrój.

- Zapytam - zapewniłam, gdy ruszyliśmy w dół stromą scalatinella. Słyszałam, jak Jammy sapie i mruczy za moimi plecami:

- Chyba nie powiesz mi, że to jedyna droga do domu?

- Owszem. - Uśmiechnęłam się przez ramię. Powróciły wspomnienia i puściłam się biegiem po stromych schodkach, jak tamta dziewczynka sprzed lat, która pokonywała je kilkanaście razy dziennie.

Zeskoczyłam z ostatnich stopni i czekałam na ścieżce przy domku. Słońce przezierало przez gałęzie wiekowych cedrów, ptaki polatywały w czystym powietrzu i witały mnie śpiewem.

Jammy zasapana stanęła przy mnie.

- Mam nadzieję, że ten dom jest tego wart. - Poprawiła gumkę na włosach i odgarnęła kosmyki z oczu.

- No dobra, pokaż, co tu masz - rzuciła zadziornie.

- Zamknij oczy i chodź. - Wzięłam ją za rękę i pociągnęłam na patio. - Dobra, teraz możesz popatrzeć.

Szybko uniosła powieki. Przyłożyła dłoń do czoła, odwróciła się powoli i przyglądała uważnie mojemu złotemu domkowi o błękitno-zielonej kopule, plecionym kolumienkom, cienistemu patio; i obejmowała wzrokiem zarośnięty ogród, wodospad, i marmurową altankę oplecioną powojem koloru nieba. A poniżej morze, srebrzysto-błękitne, zlewające się z horyzontem.

Zamknęła oczy i stała bez słowa.

- Jammy? - Zmartwiłam się, że jej się nie podoba.

- Zamknij się - burknęła. - Wsłuchuję się w głos spokoju.

- Więc ci się podoba? - upewniłam się, szczęśliwa, że nie będę musiała wyklócać się o to, że chcę tu zostać.

- Jest cudowny, przyznaję - odparła. - Ale od lat stał pusty, pewnie jest w oplakany stan, nic w środku nie nadaje się do użytku. Nie możesz tu zamieszkać, Lam.

- Zobaczmy. - Dumnie pomachałam masywnym kluczem, który Mifune zostawił pod doniczką z cytrusem. Wsunęłam klucz do zamka i usiłowałam przekręcić, ale ani drgnął. Spróbowałam jeszcze raz, czując na sobie baczny wzrok Jammy. Wiedziałam, co jej chodzi po głowie: miała nadzieję, że mi się nie uda i damy sobie spokój. Spędzimy przyjemnie resztę urlopu, wrócimy do Chicago, ja znajdę sobie nowe mieszkanie i wszystko będzie jak dawniej.

Poruszyłam kluczem coraz gwałtowniej, modliłam się, żeby zamek ustąpił. Za wszelką cenę chciałam znowu zobaczyć, jak wygląda mój mały domek w środku. Lecz drzwi nie ustępowały. Zdenerwowana, tupnęłam nogą. Nie wiedziałam, co dalej.

RS



## Rozdział 17

Nico Pirata, w czerwonych kąpielówkach, mokry po morskiej kąpieli, rozparł się leniwie na siedzeniu motorówki, palił nonszalancko i przyglądał się, jak jego ojciec maluje kadłub starej łodzi rybackiej. Suka towarzyszyła mu jak zawsze, drzemała w cieniu. Nie był to pies o arystokratycznym rodowodzie - Affare to kundlica, którą ktoś porzucił w Amalfi. Odkąd ojciec przyprowadził ją do domu, chyba nigdy go nie odstępowała, przynajmniej tak myślał Nico.

W oczach takiego cynika jak Nico ojcowska łódź przypominała dziecinne zabawki, którymi w dzieciństwie pływał po basenie, zawsze ozdobione brodatym wilkiem morskim na plastikowym dziobie. Lecz Lorenzo malował drewnianą łajbę z wyraźnym uczuciem. Ba, Nico wiedział, że ojciec tak bardzo lubi starą łódź, jak on szybką srebrną motorówkę. Lorenzo powtarzał, że to część ich rodzinnej historii, że Pirata od wieków jest wioską rybacką i Nico powinien to uszanować. I na tym właśnie polegała różnica między ojcem i synem; Nico pragnął wszystkiego, co najnowsze, najmodniejsze. Lorenzo szanował przeszłość i historię.

Nico wyrzucił papierosa za burtę i rozsiadł się wygodnie na granatowych poduszkach. Był pięknym młodym mężczyzną; szczupły, opalony, o ciemnoblonde czuprynie, miał dwadzieścia osiem lat. Nie przepuścił żadnej kobiecie. Kręciły się wokół niego, ale nie zamierzał wpakować się w małżeństwo, jeszcze nie. Poczekaj, aż trafi się właściwa kandydatka.

Lato dopiero się zaczęło i przed nim jeszcze wiele takich słonecznych leniwych weekendów, kiedy wszyscy jego znajomi uciekają z Rzymu przed upałem i szukają ochłody nad morzem albo w górach. Oczywiście zazwyczaj przywoził grupkę przyjaciół ze sobą, zabierał też garstkę pięknych dziewcząt, żeby się nie nudzili.

Jeśli akurat nie balował w castello, pracował w Rzymie, jako dyrektor artystyczny w agencji reklamowej. Oczywiście ojciec wolałby, żeby przeszedł do rodzinnej firmy - sztuknictwo oraz branża nieruchomości - ale to nie w jego stylu. Potrzebował szybkiego tempa wielkiego miasta i hulaszczego trybu życia, a to gwarantowała mu praca w reklamie. Zresztą zawsze mógł komuś zapłacić, żeby wykonał za niego pracę.

Wyprostował się i sięgnął po kolejnego papierosa. Od niechcenia pomachał ojcu, który już skończył malować i szedł do windy na klifie. Żeby mogła powstać, wysadzono litą skałę, lecz na wybrzeżu Amalfi to nic szczególnego. Winda poniesie go trzydzieści metrów wyżej, na ścieżkę do ca-, Stello. Nico pomyślał, że w poplamionych szortach, z puszką farby i garścią pędzli, Lorenzo wygląda jak jeden z robotników, a nie ich pracodawca. Jednak nawet w takim stroju wyglądał dostojnie. Dumnie unosił srebrną głowę, był umięśniony, opalony i szczupły; przystojny i w świetnej kondycji; wciąż pokonywał Nica w ich cotygodniowych wyścigach pływackich przez zatokę. Jak zawsze. Ojciec zawsze był od niego we wszystkim lepszy i chyba to przeszkadzało Nicowi najbardziej. Rywalizował z nim, odkąd pamiętał, i może przez tę rywalizację nie chciał pracować w rodzinnej firmie.

Winda o szklanych ścianach płynnie mknęła w górę, wiozła Lorenza, jego farbę pędzle i psa. Nico pomyślał, że okazała się jednym z najlepszych pomysłów ojca. Dawniej musieli pokonywać niezliczone drewniane stopnie, przymocowane do skalistych zboczy metalowymi hakami, a później wspinać się stromą scalatinella, która prowadziła do opuszczonego domku, zwanego dawniej Domkiem Kochanki. Nico spojrzał w tamtą stronę i wydało mu się, że ktoś lub coś rusza się w zaroślach. To pewnie Mifune, ogląda zapuszczony ogród. Staruszek bardzo nad tym ubolewał. Nico odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na schody. Bał się wysokości. Zawsze.

Wyprostował się gwałtownie, wyrzucił niedopałek do morza, odcumował motorówkę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Z rykiem silnika mknął przez błękitną zatokę, do Piraty i kawiarni Amalfitano. Miał cudowną umiejętność spychania ponurych myśli na dno świadomości.

## Rozdział 18

Lorenzo zatrzymał windę w połowie urwiska i wyszedł prosto na platformę, która prowadziła do starej kamiennej scalatinella. Od lat nie był w Domku Kochanki, ale teraz, z powodu córki Jon-Boya, musiał tam zajrzeć.

Z puszką farby i pędzlami żwawo pokonywał kamienne stopnie. Czuł słońce na plecach; po chwili wzdłuż kręgosłupa zaczęły mu spływać krople potu. Tak naprawdę wolał schody od windy; lubił czuć swoją siłę.

Ledwie stanął na skraju zarośniętego ogrodu, dostrzegł dwie kobiety na tarasie. Jedna, wysoka i szczupła, w okularach przeciwsłonecznych, zebrała ciemne włosy w ciasny węzeł na karku. Druga, ładna blondynka, wierciła się niespokojnie, jakby nie chciała tu być.

Ten zamek zawsze się zaciął, pomyślał, i dlatego dawniej prawie zawsze drzwi były otwarte. To znaczy, do śmierci Jon-Boya, bo później mały domek zamknięto na dobre.

Kazał suce czekać, szybko przemierzył ogród i wbiegł na taras. Przez chwilę, nadal niezauważony, przyglądał się im.

Ciemnowłosa to na pewno Lamour, córka Jon-Boya. Była do niego podobna, zresztą Lorenzo pamiętał ją jako małą dziewczynkę: długonogiego elfa, chudego jak patyk; miała niesforne gęste włosy i wielkie piwne oczy. Właściwie się nie zmieniła. Spotkali się kiedyś, choć nie sądził, by to zapamiętała.

Nadał mocowała się z ogromnym kluczem, który, jak wiedział, dał jej Mifune. Wsunęła go do dziurki i usiłowała przekreślić. Klucz zazgrzytał w zamku. Drzwi ani drgnęły.

- Cholera - usłyszał. - Nic z tego, Jammy. Zaciął się. Zawsze się zaciął.
- Dzięki Bogu. - Blondynce najwyraźniej ulżyło. - To znak, że nie powinno nas tu być. Chodźmy stąd, Lamour.
- Nigdzie nie idę. - Lamour cały czas majstrowała przy zamku i z całej siły pchnęła drzwi.
- Czy zdają sobie panie sprawę, że znajdują się na terenie prywatnym? - odezwał się chłodno Lorenzo.

Przestraszone, krzyknęły i przywarły do siebie. Patrzyły na niego szeroko otwartymi oczami, przyglądały się starym szortom, puszcze farby i pędzłom.

- Kim pan jest? - zapytała Lamour. - I skąd się pan tu wziął? - dorzuciła wyniośle, chcąc zapewne dodać sobie odwagi, bo były tu same, a on je przestraszył.

- Bardziej mnie interesuje, kim pani jest - odparł. Oczywiście wiedział to doskonale, ale chciał, żeby poczuła się nieswojo. - We Włoszech obowiązują surowe kary za włamywanie się do cudzych domów.

Lamour poczerwieniała z oburzenia, jej oczy rozbłysły.

- Nie włamujemy się. - Pomachała starym metalowym kluczem. - To jest mój dom. Należał do mojego ojca. Mieszkałam tu jako mała dziewczynka.

Lorenzo przyglądał się jej uważnie. Miał wrażenie, że patrzy na swoje wspomnienia.

- Znałem pani ojca - powiedział w końcu. - Jest pani do niego podobna.

- Odwrócił się i ruszył do schodów. - Jeszcze jedno! - zawołał przez ramię.

- Radzę tu nie chodzić po ciemku. Można sobie zrobić krzywdę. Zagwizdał na psa i odszedł; wspinał się po stromych schodach zwinnie jak kozica.

## Rozdział 19

Przyglądałyśmy się obcemu arogantowi, który szedł przez mój ogród, jakby był u siebie.

- Jak myślisz, o co mu chodziło? - zapytałam niespokojnie.

- Że masz nie wtykać nosa w przeszłość Jon-Boya i wracać do Chicago, tak mi się wydaje.

- Ale dlaczego? Kto to był? I skąd mu przyszło do głowy, że jestem na cudzym terenie?

- Przecież nie wiedział, kim jesteś, póki mu tego nie powiedziałaś - zauważyła Jammy.

- Tak, i wtedy mnie postraszył. - Nie chciałam się do tego przyznać, ale naprawdę mnie zaniepokoił. Zadrzałam; czyżby miało to coś wspólnego ze śmiercią Jon-Boya?

- Nieważne. - Jammy się uśmiechnęła. - Przystojny facet. Może go zatrudnisz do malowania domku.

Ale mnie nie obchodził jego wygląd; nadal zastanawiałam się nad jego słowami. Zerknęłam na nieruchomy zamek w drzwiach i westchnęłam.

- Do cholery z tym wszystkim burknęłam, nagle zniechęcona. - Chodźmy coś zjeść.

Wioska Pirata leżała o dziesięć minut drogi od mojego domku. Wyglądała jak plan filmowy; wysokie pastelowe domy otaczały średniowieczny rynek, na którym królowała stara fontanna. Wzdłuż nabrzeża ciągnęły się malownicze kamienne arkady; były jak rama dla morskiego pejzażu. Na najbliższym z mórz kołysały się czerwone i zielone łodzie rybackie. Na rynku znalazłyśmy sklepik owocowo-warzywny i spożywczy, który w moich wspomnieniach kusił szynką i salami zwisającymi z wielkich belek pod sufitem. Nic się nie zmieniło; sprzedawano tam dalej najróżniejsze sery i smakołyki wyrabiane przez właścicieli: sosy pomidorowe, pesto, klopsiki, gnocchi i ravioli, tak delikatne, że niemal przezrocyste. Ślinka mi leciała na samo wspomnienie zapachu w tym sklepiku.

Sprzedawali tam także fascynujące przedmioty: maczety, młotki, gwoździe, misy do sałaty z drewna oliwkowego, talerze do spaghetti, wyciskarki do czosnku, praski do pomidorów, igły do szycia, szczotki do

zamiatania, mnóstwo najróżniejszych gadżetów, a także świeżo zmieloną kawę.

Po drugiej stronie placu mieściła się mała apteka, do której dawniej biegałam po plastry na moje liczne zadrapania i aspirynę dla Jon-Boya, jeśli przesadził z grappą. Po sąsiedzku był zakład fryzjerski, w którym ojciec czasami się strzygł. Przed zakładem wysoki pasiasty słup wyrastał w niebo.

Dokoła, na zielonych wzgórzach, przysiadły białe domki; w ogrodach kwiaty przyciągały wzrok żywymi kolorami. Nad zatoczką zakotwiczył śliczny kamienny kościółek z X wieku. Poniżej portu i starych rybackich chatek był piękny zakątek, skąd przy drinku podziwiano zachód słońca.

Wypuściłam powietrze z płuc. Pirata uniknęła inwazji turystów zapewne dlatego, że nie było tu miejsca na wielki hotel. Główna droga dojazdowa, oddalona kilka kilometrów w głąb lądu odciągała ciekawskich od tego skrawka wybrzeża. O dziwo, Pirata była dokładnie taka, jak w moich wspomnieniach.

- Chodź - skinęłam na Jammy i poprowadziłam ją przez mały placyk prosto pod arkady, do dawnej ulubionej knajpki Jon-Boya, kawiarni Amalfitano. Podobnie jak rzymski barek Angela, wypiękniała przez lata, nad tarasem rozpięto błękitną markizę, stare drewniane krzesła zastąpiono wygodniejszymi fotelikami. Ale w powietrzu unosił się ten sam co dawniej smakowity zapach świeżej pizzy - docierał z przestronnej kuchni - a w barze poczułam zapach piwa, które tak bardzo lubił Jon-Boy. Zauważyłam, że karafki łagodnego miejscowego wina, które pojawiały się na stole, ledwie ktoś przy nim usiadł, były identyczne jak przed laty, podobnie jak oszronione kubki lodowatej wody i masywne zielone kieliszki.

Natomiast właściciel był nowy. Młody, pogodny, flirtował z nami od pierwszej chwili. Przedstawił się jako Aldo, postawił karafkę wina na stole, zamaszystym ruchem wyjął ołówek i czekał na nasze zamówienie.

- Buona sera, signore - Uśmiechnęłam się i zamówiłam dużą pizzę margherite i półmisek calamari fritti, też duży.

Aldo odszedł, by po chwili wrócić z miseczką parmezanu, talerzem oliwek, półmiskiem małych pomarańczowych pomidorków - zrywanych tego ranka, jak nas zapewniał - i miseczką czosnkowo-cytrynowego aoli di kalmarów. Przyniósł też koszyczek świeżego wiejskiego chleba.

Nalałam wina do zielonych kieliszków i wzniosłam toast.

- Za mój domek w Amalfi - powiedziałam.

- Boże, Lamour, żartujesz, prawda? - Jammy wyraźnie się zmartwiła.

- Nie możesz tu zamieszkać. Zresztą nie wyobrażasz sobie nawet, ile pracy trzeba włożyć w ten dom. - Spojrzała na moją uśmiechniętą twarz i zrozumiała, że niczego nie wskóra.

- Przynajmniej daruj sobie tę krowę - dodała z westchnieniem.

- Dla Daisy jest już miejsce w mojej przyszłości - uparłam się. - Nie zapominaj też o kurach.

Jęknęła.

- Lam, musisz wracać do domu. Proszę. - Napila się wina. - Dobre - wyraźnie się zdziwiła.

Aldo przyniósł pachnącą bazylią pizzę wielkości koła młyńskiego i olbrzymi półmisek kalmarów, skwierczących smakowicie.

- Buon appetito - powiedział z uśmiechem.

Ledwie wzięłam do ust pierwszy kęs gorącej, pachnącej pizzy, ogarnął mnie spokój. Kochałam to miejsce. Kochałam tę kawiarnię. Kochałam malowniczy port i średniowieczną pazzę. Kochałam moje zbocze i mój złoty domek, kochałam tutejszą kuchnię. Oczywiście domek wymaga pracy, ale już się na to cieszyłam, podobnie jak na przywrócenie świetności ogrodowi z Mifune. I cieszyłam się, jak nigdy, perspektywą samotności i samowystarczalności. Wiedziałam, że dopiero kiedy będę niezależna, na nowo poczuję się kobietą, i to kobietą, która nie potrzebuje pomocy żadnego zdradzieckiego mężczyzny.

## Rozdział 20

Szybko uporaliśmy się z kalmarami i zabierałam się właśnie do trzeciego kawałka pizzy, kiedy usłyszałyśmy, jak do portu wpływa motorówka. Odwróciłyśmy się i patrzyłyśmy z zachwytem, jak srebrzysta łódka dobija do kamiennego nabrzeża. Obserwowałyśmy młodego mężczyznę za kierownicą - zwinnie zeskoczył na brzeg, przycumował motorówkę i wciągnął przez głowę starą różową koszulkę. Przeczesał jasne włosy palcami i szedł przez mały port prosto na nas. To znaczy, nie na nas osobiście, ale do kawiarni Amalfitano.

- Boże! - Jammy nie mogła oderwać od niego oczu. - Tutaj aż się roi od przystojnych facetów! Skąd oni się biorą?

Nie miałam pojęcia, ale musiałam przyznać, że jest boski, taki piękny i złocisty. Zauważyłam ciemniejszą plamę od potu na jego koszulce i kosmyki włosów w wycięciu Tshirtu. Spojrzał na nas z zainteresowaniem i poczułam coś, czego nie doświadczyłam od śmierci Aleksa: pociągał mnie. Zapomniałam, że mam nie myśleć o mężu.

Piękny nieznajomy skłonił się nam lekko.

- Buona sera, signore - powiedział, a ja widziałam, jak jego oczy rozbłysły podziwem i radością, kiedy na nas patrzył. Oczywiście od razu zorientowałam się, że to wytrawny flirciarz, ale i tak nie mogłam się oprzeć jego uśmiechowi i też się uśmiechnęłam. Jammy również, jak zauważyłam.

- Buona sera, signore - odparłyśmy jednocześnie. Zabrzmiało to jak kwestia z kiepskiej komedii broadwayowskiej.

Nieznajomy zatrzymał się przy naszym stoliku.

- Jestem Nico - przedstawił się. - Szkoda, że już panie zjadły, bo chciałem zaprosić na lunch. Ale może napijecie się ze mną wina? Albo, jeszcze lepiej, limoncello, naszego miejscowego drinka? I opowiecie mi o sobie.

Jammy zerknęła na mnie z ukosa, jakby chciała powiedzieć: Na co ty czekasz, dziewczyno? A potem, głosem bardzo uprzejmym, czarującym, ba, ciepłym, odparła:

- Z największą przyjemnością, signore, pod warunkiem, oczywiście, że i pan opowie nam o sobie.



Nico przysunął sobie krzesło i skinął na właściciela kawiarni.

- Ciao, Aldo. - Uścisnęli sobie dłonie. Widać było, że się dobrze znają i doszłam do wniosku, że Nico jest miejscowym.

Aldo postawił przed nami po szklaneczce limoncello i talerzyk małych migdałowych ciasteczek. Myślałam, że nie wcisnę w siebie już ani kawałeczka, a jednak skubałam słodkości i obserwowałam nowego znajomego spod rzęs.

Podniósł kieliszek, nagle poważny.

- Za dwie piękne kobiety, które na moje szczęście znalazłem w tej wiosce - powiedział.

Byłam przekonana, że mówił szczerze, a nawet gdyby nie zachował się szarmancko.

- I za naszego wspaniałego nowego przyjaciela Nica - dodała Jammy, ratując nasz honor, bo ja nie byłam w stanie nic powiedzieć: gorączkowo łapałam oddech po limoncello, które paliło w gardle jak czysta tequila.

- Jammy Mortimer - przedstawiła się. - A to Lamour Harrington. Zatrzymałyśmy się w hotelu Santa Caterina.

Wydało mi się, że na jego twarzy widzę cień zdumienia.

- Lamour, jakie piękne imię - mruknął, a ja, prawdziwa idiotka, zostawiłam dłoń w jego ręce odrobinę dłużej, niż powinienam.

Uśmiechnęłam się i ani się obejrzałam, już mu opowiadałam o mojej imienniczce, prababci z Nowego Orleanu.

- Pewnie prowadziła się jeszcze gorzej, niż nam o tym wiadomo - dokończyłam i upiłam kolejny łyżeczek limoncello. Zdziwiający, alkohol zdawał się mknąć z ust prosto do mózgu, jak paliwo rakietowe.

- A więc twoja praprababka była bardzo mądrą kobietą- zauważył z uśmiechem. - A skąd się wzięło imię Jammy? To chyba nie kolejne rodzinne dziedzictwo?

Roześmiana Jammy opowiedziała mu tę historię.

- Nie przedstawiłem się jak należy - stwierdził Nico po chwili. - Nico Pirata.

- Och! - zawołała Jammy. - Czaszka i piszczele! Markiz de Sade... Nico się uśmiechał, ale patrzył na mnie.

- Wiadomo mi tylko o pirackim przodku.

Spuściłam wzrok na kieliszek i zaraz znowu spojrzałam na niego zza zasłony rzęs. O Boże, flirtując z nim, uświadomiłam sobie. Jammy ma rację; oszalałam. Upiłam kolejny łyk cytrynowego paliwa rakietowego i uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

- Naprawdę mieszkasz w castello? - zapytałam.

- W weekendy, w lecie przyjeżdżam na kilka tygodni. Na stałe mieszkam w Rzymie. - Skinął na Aida: następna kolejka. Aldo postawił od razu całą butelkę. Nico dołał nam alkoholu.

- Castello jest zapewne bardzo piękne - zauważyłam i sięgnęłam po ciasteczko.

- Jest, ale wołę Rzym. Lamour, oczywiście wiem, kim jesteś. Córką Jon--Boya, prawda?

Szeroko otworzyłam oczy i przyglądałam mu się zaskoczona.

- Znałeś go? - zapytałam z przejęciem. - Niemożliwie, jesteś za młody... Wzruszył ramionami.

- Wszyscy w okolicy znali dottore, wszyscy go lubili. Zwłaszcza... - Nie wiadomo skąd wiedziałam, że chciał powiedzieć: zwłaszcza kobiety, ale ugryzł się w język.

- Przyjechałam obejrzeć domek mojego ojca - wyjaśniłam.

- Mieszkałam tu jako dziecko. Nie byłam tu od jego śmierci.

Pogłaskał mnie po rękę.

- To zrozumiałe, że chciałaś wszystko zobaczyć - zapewnił łagodnie.

A potem opowiedział nam o domku. Zbudowano go w latach dwudziestych XX wieku, dla ślicznej młodej śpiewaczki operowej z Neapolu, kochanki ówczesnego seniora rodziny Pirata. Tamten signor Pirata miał oczywiście żonę i pięcioro dzieci, choć biedna żona spędzała większość czasu w Rzymie i Neapolu, nie w castello.

- Gdyby castello było moje, nie wychylałabym stamtąd nosa, nigdy - oświadczyła Jammy i znów pociągnęła łyk limoncello.

Zerknęłam na nią zdumiona; przecież widziała tylko wieżę i flagę. Uznałam, że przemawia przez nią paliwo rakietowe. Miałam ochotę zapytać Nica o tamtą burzę, dowiedzieć się, czy słyszał, jak zginął Jon-Boy, ale nie był to odpowiedni czas i miejsce. Zresztą właśnie zbliżała się do nas śliczna

młoda dziewczyna z grymasem złości na twarzy. Ojej, rozgniewana ukochana, przemknęło mi przez myśl.

Zatrzymała się przy naszym stoliku i z rękami na biodrach gapiała się gniewnie na opróżnioną do połowy butelkę limoncello. Poczułam się winna, jak dzieciak przyłapany z ręką w pudełku z ciasteczkami. Musiałam jednak przyznać, że była oszałamiająca z tym ciemnym warkoczem, w krótkiej białej koszulce na ramiączkach i nieskazitelnie białych szortach, które świetnie podkreślały jej opaleniznę.

Zaborczo położyła dłoń na ramieniu Nica. Przechylił głowę do tyłu i uśmiechnął się do niej.

- Poznajcie moją siostrę Aurorę - powiedział. - Auroro, to signora Mortimer i signora Harrington.

Nie tyle zobaczyłam, co poczułam znaczące spojrzenie Jammy. Wiedziałam, co chciała powiedzieć: jak dobrze, że to jego siostra, nie ukochana. Wydało mi się, że i nasi nowi znajomi to zrozumieli, i poczerwieniałam. Udusiłabym ją gołymi rękami.

- Cześć, Auroro. - Jammy się uśmiechnęła, a ja skinęłam głową, ale odpowiedziało nam jedynie lodowate spojrzenie.

Aurora się naburmuszyła - i wyglądała jeszcze ładniej.

- Nico, wiesz przecież, że papa zabronił nam z nią rozmawiać. - Kiwnęła głową w moją stronę.

Wymieniłyśmy z Jammy zdumione spojrzenia. O czym ona mówi?

- To jeszcze nigdy nie powstrzymało mnie od rozmowy z kobietą - odparł Nico, cały czas patrząc mi w oczy. Nie zwracał uwagi na oburzoną Aurorę, która odeszła szybko.

- Wybaczenie jej zachowanie - mruknął. - Czasami zachowuje się jak rozpieszczony dzieciak.

Wbiłyśmy wzrok w kieliszki limoncello, ale nie chciałyśmy więcej pić. Po chwili Nico wstał.

- Jammy, Lamour, bardzo się cieszę, że was poznałem - powiedział. - Przed wyjazdem zapraszam na zwiedzanie Castello Pirata. Zadzwońię do was do hotelu i umówimy się.

Pochylił się nad dłonią Jammy. Kiedy wziął mnie za rękę, coś między nami zaiskrzyło. Tak, był ode mnie młodszy, może nawet o dziesięć lat, ale tego dnia nie miało to znaczenia.

- Wkrótce się zobaczymy, Lamour - powiedział miękko. A później pomachał nam na pożegnanie, idąc do srebrzystej motorówki, w której czekała na niego siostra.

RS

## Rozdział 21

Aurora Pirata nie wiedziała, dlaczego ojciec zabronił im rozmawiać z Lamour Harrington, ale to i tak nie miało znaczenia. Właściwie „zabronił” to zbyt mocne słowo; Lorenzo powiedział tylko, że wolałby, żeby z nią nie rozmawiali. Aurora była oburzona, że brat tak otwarcie sprzeciwia się woli ojca. Co więcej, on i te kobiety wyglądali tak, jakby się świetnie bawili, śmiali się, żartowali jak starzy przyjaciele. Pomyślała zazdrośnie, że taki właśnie jest Nico; zaprzyjaźnia się z każdym.

Ona tak nie potrafiła. Brakowało jej pewności siebie, i to mimo urody. Matka to wyczuwała i rozpieszczała ją, otaczała miłością i dobrocią. Umarła, kiedy Aurora miała zaledwie trzy latka. Jej śmierć sprawiła, że dziewczynka pograżyła się w rozpacz tak głębokiej, że ojciec obawiał się, iż nigdy nie dojdzie do siebie. Psychiatrzy i miłość ojca pomogły jej przetrwać długie, puste, trudne lata, w końcu stanęła na nogi, tym razem obdarzając całą miłością Lorenza.

To nie kompleks Elektry; ojciec był dla Aurory niezbędną opoką. Rozumiał jej obawy, znał jej fobie, wiedział, że trapią ją kompleksy, zdawał sobie sprawę z jej nieśmiałości wobec obcych. Aurora od dziecka wymagała więcej uwagi, więcej zaangażowania niż inne dzieci, i ojciec dbał, by nigdy jej tego nie brakowało. Nico także, jeśli akurat o tym pamiętał, bo, podobnie jak dzisiaj, często żył chwilą, zabawą.

Aurora wolała książki i muzykę klasyczną; kochała rodzinę, castello, wąskie grono przyjaciół w Rzymie, uniwersytet, na którym studiowała historię sztuki. W przyszłości chciała zostać kustoszem muzeum. Kiedy była w dobrej formie, chętnie wydawała kameralne kolacje dla przyjaciół, wśród których czuła się bezpieczna. Dyskutowali o sztuce i o polityce. Aurora brylowała mimo nieśmiałości. Kiedy była w złej formie, zamykała się sama w domu, często nawet nie wstawała z łóżka, pogrążona w rozpacz i złych przeczuciach.

Urodzie poświęcała najmniej uwagi. Przyjmowała do wiadomości, że jest ładna, ale wydawało się to jej nieistotne. Prawie się nie malowała. Choć dobrze ubrana, nie śledziła niewolniczo trendów w modzie. Wiązała się z różnymi mężczyznami, ale nie była kokietką, chętnie chodziła do kina i na

koncerty, najlepiej w większej grupie. Obserwatorowi z zewnątrz wydałaby się zapewne rozpieszczoną egoistką, i taka była naprawdę. Ojciec dokończył to, co zaczęła matka. Tylko Nico się jej sprzeciwił.

- Jak mogłeś rozmawiać z tymi kobietami, skoro papa nam zabronił? - złościła się, gdy motorówka mknęła przez zatokę.

Poczerwieniała ze złości, ale Nico nie zwracał na to uwagi. Nadal myślał o Lamour i Jammy. Spodobała mu się ich bezpośredniość, pogoda ducha i radość, z jaką cieszyły się chwilą. Zerknął na siostrę kątem oka i westchnął.

- Auroro, dorośnij wreszcie - mruknął.

Po powrocie do castello Aurora zaraz pobiegła do ojca, żeby mu opowiedzieć o całym zajściu.

Lorenzo siedział w gabinecie - przeglądał plany budowy nowego statku we francuskiej stoczni w Caen, ale podniósł głowę, żeby wysłuchać córki.

- Nie przejmuj się - poprosił, kiedy skończyła relację o nieposłuszeństwie brata. - Porozmawiam z Nikiem.

Z westchnieniem odprowadzał ją wzrokiem i po raz kolejny pożałował, że to Nico się buntuje, nie ona.

Jednak teraz widział wyraźnie, że musi coś zrobić w kwestii Lamour Harrington.

## Rozdział 22

W Amalfitano Jammy westchnęła dramatycznie. - Co jest z tutejszymi mężczyznami? Wszyscy wyglądają jak greccy, czy może raczej powinnam powiedzieć: rzymscy bogowie, i wszyscy mają nie po kolei w głowie. Może ty mi to wytłumaczysz, Lamour.

Skinęłam na Aida, poprosiłam o rachunek, na co usłyszałam, że wpisał wszystko na konto signora Nica. Sprzeczailiśmy się trochę i w końcu namówiłam go moim kiepskim włoskim, żeby dopisał do rachunku Nica tylko paliwo rakietowe, a za jedzenie zapłacimy same.

Wbiegłyśmy po schodkach na piazza i stamtąd, między wzgórzami, doszłyśmy do drogi.

- I co ty na to? - zapytała Jammy.

Poczułam się jak nastolatka; od razu wiedziałam, co ma na myśli.

- Jest... interesujący - odparłam.

- A rozpieszczona siostrunia? I władczy tatuś, który sobie nie życzy, żeby z tobą rozmawiali?

Wzruszyłam ramionami.

- Kto wie, co tu się dzieje? Zapytam Mifune.

Zastałyśmy go przy domku, przycinał gałęzie cedrów groźnie wyglądającą maczetą. Przypomniało mi się, że zawsze się nią posługiwał, i nawet teraz, stary i słaby, poruszał się płynnie i zwinnie, aż przyjemnie było popatrzeć.

Opowiadałam Jammy o moim nauczycielu; teraz miała go poznać. Skłonił się uprzejmie i spojrzał na nią wyblakłymi oczami.

- Witaj, przyjaciółko Lamour - odezwał się. A ona odpowiedziała:

- Dziękuję.

- Chodź - poprosił i pokazał jej cały ogród, tłumacząc cichym, słabym głosem, jak powinien wyglądać ogród japoński.

Jammy słuchała uważnie i podziękowała mu.

- Mifune, nigdy nie znałam nikogo takiego jak pan. - I choć nie do końca pojmowała, kim jest, powiedziała: - Jest pan dobrym człowiekiem.

- Więc mamy coś wspólnego, signora - odparł, skłonił się i wrócił do pracy.

Jammy spojrzała na mnie i podniosła ręce dłońmi do góry.

- Przynajmniej jedna osoba zdrowa na umyśle - stwierdziła z uśmiechem.

RS



## Rozdział 23

Wieczorem zostawiłam Jammy w hotelu z potężnym bólem głowy, zapewne skutkiem ubocznym dużych ilości paliwa raketowego podczas lunchu, i sama wróciłam do domku. Przyniosłam puszkę oliwy do zamka.

Ku mojemu zdumieniu zobaczyłam tam Mifune. Siedział po turecku na płaskim głazie przy wodospadzie. Wstał na mój widok i uśmiechnął się ze znużeniem.

- Mifune, nie spodziewałam się ciebie - zaczęłam.

- Przychodzę tu w chłodne wieczory, żeby medytować - odparł. - Lubię oczyścić umysł z nadmiaru wrażeń odchodzącego dnia i przygotować się na nowe doznania. To dla mnie źródło energii, jak studnia, która nigdy nie wysycha.

Nigdy nie postrzegałam kreatywności w ten sposób, ale widziałam sens w jego słowach. Oczyszczając umysł z problemów dnia, zostawiasz czystą powierzchnię, na której jest miejsce dla nowych pomysłów.

- Ja także spróbuję - powiedziałam, gdy razem szliśmy do domku. - Mam przeczucie, że kreatywność będzie mi bardzo potrzebna, kiedy zacznę nowe, niezależne życie.

Nie roześmiał się, jak tego oczekiwałam, tylko skinął głową.

- Miałaś dzisiaj kłopot z drzwiami, carina - zagadnął. Przyglądałam mu się zdumiona.

- Skąd wiesz?

- Signore mi powiedział, że cię tu spotkał.

- Signorel

- Si, U signor Pirata.

Oślupiałam. A zatem mężczyzna, którego wzięłam za robotnika, był właścicielem Castello Pirata. Pracodawcą Mifune. To jego dziadek sprowadził Mifune do Amalfi jako małego chłopca, ponad siedemdziesiąt lat temu.

Mifune opowiadał mi, jak to się odbyło. Grandę signore Pirata wyruszył w podróż do Japonii. W Kioto zachwyił go elegancki minimalizm japońskich ogrodów. Mifune, osierocony chłopiec, był czeladnikiem u ogrodnika. Grandę signore wyczuł w nim ogromny talent i pokłady duchowości.

Podziwiał chłopca i zapragnął zabrać go do Europy, żeby przekształcił jego bujny, zarośnięty włoski ogród w japońskie cacko. Chłopiec początkowo zamierzał wrócić do kraju, ale minął rok, dwa, trzy... kochał swoją pracę, a czas mijał niepostrzeżenie. Polubił nową „rodzinę” i został.

Kiedy byłam mała, Mifune często brał mnie za rękę i prowadził do castello, żeby mi pokazać cuda, które stworzył podczas minionych lat. Było to jedyne w swoim rodzaju połączenie bardzo prostego, ascetycznego japońskiego stylu z naturalną włoską bujnością. W ogrodach rosły pachnące zioła: rozmaryn, tymianek, mięta, oregano, werbena i bazylia; ich zapach czuliśmy wszędzie. Dalej ciągnęły się alejki cytrusów; bielone pnie kontrastowały z ciemnozielonymi liśćmi, wśród których kryły się jasne owoce. Podziwialiśmy zarośnięty trzcinami staw - pomarańczowe karpie rozjaśniały zielonkawą ciemność jak krople lawy z Wezuwiusza. No i oczywiście co jakiś czas były oazy japońskości; nagle, za zakrętem, u stóp marmurowych schodów, na szczycie wzgórza. Pozornie to tylko skrawek ziemi wysypanej żwirem, lecz każdy kamyczek wybrano starannie ze względu na rozmiar i kolor. W efekcie powstało dzieło sztuki, piękne, bo emanujące spokojem. Delikatna prostota skrywała się w cieniu trzystuletniego drzewa, sprowadzonego aż z Japonii, w eleganckiej rzeźbie, lśniącej w słońcu, w zwykłym drewnianym mostku. I ten wszechobecny szum wody: szept strumyka, plusk malutkiego wodospadu, mamrotanie fontanny. W ogrodach Mifune krył się skrawek rajy i bardzo się cieszyłam, że go odnalazłam.

Wróciłam myślami do obecnego signora Pirata. Przypomniała mi się jego arogancja i dziwne ostrzeżenie.

- Mifune, nie miałam pojęcia, że to signor Pirata z castello - odezwałam się. - Chyba byłam dla niego niegrzeczna.

Mifune skinął głową. Zapewne słyszał już o naszym spotkaniu.

- Signore lubi się oderwać od rzeczywistości i malować starą łódź - wyjaśnił i wskazał zatoczkę.

Nie byłam tam jeszcze, ale przypomniało mi się, że rodzina Pirata zawsze miała kilka łodzi. Przypomniała mi się też zwinna motorówka Nica; teraz już wiedziałam, gdzie ją zacumował. Szczęściarzem z niego, pomyślałam z odrobiną zazdrości, bo woda to mój żywioł. Od dziecka pływałam; do dzisiaj zostały mi szerokie ramiona, umięśnione plecy i silne nogi, pamiątka po

latach w drużynie pływackiej liceum w Evanston. Nagle zapragnęłam kupić sobie łódź. Będę nią pływała do Piraty po zakupy i opalała się nago z dala od brzegu. Sama nie wierzyłam, jak pięknie zapowiadało się moje nowe życie. Oby tylko starczyło mi sił i zapалу.

Mifune przyglądał mi się badawczo. Gubiłam się w jego bladym spojrzeniu, miałam wrażenie, że zagląda do moich myśli.

- Otwierając te drzwi, otworzysz przeszłość - powiedział cicho. - I to nie tylko twoją, ale i innych. Także Jon-Boya.

- Właśnie tego chcę - zapewniłam.

Uklonił się i odszedł. Odprowadziłam go wzrokiem. Szedł powoli przez ogród, na lekko ugiętych nogach, jak starzec. Byłam sama na progu domu ojca.

RS

## Rozdział 24

Drzwi zaskrzypiały, gdy lekko je pchnęłam. Ukośne promienie zachodzącego słońca wpadały do środka po raz pierwszy do dwudziestu lat. Charakterystyczny zapach niezamieszkanego domu uderzył mnie w nozdrza.

Stałam w malutkim holu wyłożonym terakotą. Po mojej lewej stronie był salone, największe pomieszczenie w domu, o wysokim suficie i trojgu drzwiach na taras, a po prawej mała biała kuchnia, w której, pamiętam do dziś, jadałam jedne z najlepszych posiłków w życiu.

Weszłam do saloniku i od razu ogarnęło mnie przyjemne uczucie: wróciłam do domu. To był jedyny prawdziwy dom, jaki kiedykolwiek miałam; inne tylko wynajmowaliśmy, a apartament w Chicago należał do Aleksa. Lecz ten domek w Amalfi należał do nas, do Jon-Boya i do mnie.

Na drewnianym stoliku pod oknem nadal poniewierały się jego papiery. Patrzyłam na niebieską kanapę z wgniecionymi poduszkami, na pusty kieliszek, na otwartą butelkę wina... Nagle to do mnie dotarło: w domu nie zrobiono niczego od śmierci Jon-Boya.

Z bijącym sercem wbiegłam na piętro i poszłam wąskim korytarzykiem do jego sypialni. Otworzyłam drzwi i w napięciu rozejrzałam się dookoła. Na półkach stały jego książki, w szafie wisiały jego ubrania, na stoliku leżał skórzany podróżny zegarek, który kupiliśmy razem, zanim wyjechaliśmy z Rzymu, a obok - zdjęcie z mojego rozdania świadectw maturalnych.

Wzięłam je do ręki. Pamiętam tamten dzień tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Jon-Boy powiedział mi, że wraca do Włoch, żeby napisać nową powieść, i że znowu zamieszkam z Mortimerami. Oczywiście błagałam, żeby mnie ze sobą zabrał, ale się nie zgodził:

- Lamour, nie możemy dłużej udawać, że jesteśmy dziećmi. Dorastasz. Musisz iść na studia.

Oczywiście miał na myśli, że to mnie nie wolno dłużej udawać dziecka. On za to mógł, czemu nie.

Oświadczyłam, że nie chcę iść na studia, chcę jechać z nim do naszego domku w Amalfi, ale on stanowczo pokręcił głową i stwierdził:

- Skarbie, czas, żebyś zaczęła żyć własnym życiem. - Nie dodał: a ja moim, wiedziałam jednak, że to miał na myśli. Chciał zacząć nowe życie, beze mnie.

Pogodziłam się z tym, bo takie były warunki życia z moim ojcem. Samotność to cena za cudowne chwile, zresztą wierzyłam, że naprawdę chce napisać nową powieść, i szanowałam jego potrzebę samotności. Oczywiście się myliłam. Nigdy jej nie napisał. Pewnie za bardzo go pochłonęło nowe życie.

Ale tamtego dnia, podczas rozdania świadectw, sprawił, że czułam się piękna i kochana.

Wyjątkowo włożyłam sukienkę, nie dzinsy. Była chabrowa, bez rękawów, z krótką, zwiewną spódniczką. Stałam się w niej kimś innym, jakaś taka bardziej elegancka i dorosła. Włożyłam togi i biret, a chwościk zawadiacko zwisał mi nad okiem.

Kiedy dyrektor wyczytał moje nazwisko, jak zwykle towarzyszyły temu śmiechy. Co tu dużo mówić, Lamour to dziwne imię dla siedemnastolatki, przynajmniej zdaniem chłopców. Dumnie szłam na podium, z podniesioną głową, żeby nie zsunął mi się biret. Kątem oka dostrzegłam Jon-Boya, siedział z Mortimerami, którzy stawili się w komplecie. Uśmiechał się promiennie i wykonał gest triumfu.

Odpowiedziałam uśmiechem, który niemal uniósł mnie nad podium, i po chwili było po wszystkim. Jon-Boy objął mnie ramieniem. Patrząc mi prosto w oczy, powiedział:

- Skarbie, jesteś piękna i nie pozwól, by ktokolwiek wmówił ci coś innego.  
- Po chwili dodał z krzywym uśmiechem: - Przecież twój ojciec jest ekspertem w tej dziedzinie.

## Rozdział 25

Po uroczystości poszliśmy z Jon-Boyem na kolację, tylko we dwoje. Byłam smutna, bo wyjeżdżał następnego dnia. Wiedziałam, że będzie mi brakowało zamieszania, które wprowadzał w moje proste życie, ilekroć się pojawiał. Przynosił ze sobą egzotyczny zapach dalekich miejsc: warzyw z Campo de Fiori, rybackich łodzi, pinii, morza, słońca na wybrzeżu Amalfi, rzymskich ruin. Szczerze mówiąc, wciąż się łudziłam, że powie:

- Do licha ze studiami! Jedź ze mną!

Na naszą uroczystą kolację wybrałam małą włoską knajpkę. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie i w milczeniu jedliśmy pizzę margherite, która, jak wiedzieliśmy oboje, w niczym nie przypomina prawdziwej rzymskiej pizzy, ale i tak nam smakowała. Jon-Boy pił wino, ja colę, a rozmawialiśmy, ma się rozumieć, o Rzymie. Nigdy nie widziałam nowego mieszkania, które tam wynajął, ale wiedziałam, że jest o wiele większe niż nasza stara dziupla w Tra-stevere.

- Nie tęsknisz za nim? - zapytałam.

- Za tamtą dzielnicą? - Uniósł brew. - Owszem, ale jednego się w życiu nauczyłem, skarbie; trzeba patrzeć do przodu. Oglądanie się za siebie nic dobrego nie daje. - Widział, że mnie nie przekonał, i dodał: - Cóż, może tylko w moim przypadku. - Oparł łokcie na stole i rozbawiony obserwował, jak zdejmuję pomidory z pizzy; robiłam to zawsze.

- Ale niektóre rzeczy się nie zmieniają - stwierdził ze śmiechem.

Podniósł głowę, gdy do naszego stolika podeszły dwie kobiety z kartkami i długopisami i poprosiły go o autograf. Przypatrywałam się dyskretnie, jak go zapewniały, że bardzo im się podobała jego książka i że jest jeszcze przystojniejszy niż na zdjęciach. Nigdy do mnie naprawdę nie dotarło, że mój ojciec jest znanym pisarzem, pewnie dlatego, że nigdy nie dzieliłam z nim tej części jego życia. Napisał pierwszą powieść już po moim wyjeździe i nie uczestniczyła w jego sukcesie. Mieszkałam w Evanston u Mortimerów, a on mieszkał w Rzymie i promował powieść na całym świecie. W każdym razie minęło już kilka lat i przymierzał się do kolejnej.

Kobiety prawiły mu komplementy, pławiąc się w jego blasku, a ja obserwowałam, jak łatwo je oczarował. Był przystojny i umiał sprawić, że

każda kobieta czuła się wybrana, miała wrażenie, że w danej chwili interesuje go tylko ona. Ta technika nigdy nie zawodziła. Jon-Boy zapytał je, jak mają na imię, nabazgrał swój podpis na karteczkach i dodał kilka słów o spotkaniu w „restauracji U Antonia”, podziękował, że przeczytały jego książkę, zapewnił, że nigdy ich nie zapomni. Odeszły zachwycone.

- Teraz kochają nie tylko książkę, ale i ciebie - zauważyłam odrobinę zazdrosna.

Roześmiał się.

- Ty też możesz się już zakochać - odparł.

Nie przyznałam się, że zdążyłam się już zakochać i odkochać z tuzin razy. Co on, zapomniał, że mam siedemnaście lat?

- Chyba tak - mruknęłam. - Tylko że nie mam w kim.

To prawda. Zaliczyłam już wszystkich możliwych kandydatów i nie miałam obiektów uczuć, podobnie jak Jammy. Poszłyśmy na studia - ja na Stanowy Uniwersytet Michigan, ona do Akademii Sztuk Pięknych na Rhode Island - bez zbędnego bagażu w postaci chłopaków.

- A ty? Jesteś zakochany? - zapytałam z nagłą podejrzliwością. Nie chciałam, żeby nagle przedstawił mi nową włoską „mamę”.

- Jak zawsze - odparł, wziął mnie za rękę i skrzywił się, kiedy zobaczył, że jest tłusta od pizzy. Ale dostrzegłam czujność w jego oczach i wiedziałam, że coś przede mną ukrywa.

- Poważnie, Jon-Boy. - Wytarłam rękę jego serwetką.

Przyglądał mi się uważnie, a to zdarzało mu się rzadko; zazwyczaj bez przerwy żartowaliśmy.

- Skarbie, dorastasz - mruknął. - Wkraczasz do świata dorosłych, do świata ludzi odpowiedzialnych. Musisz zacząć żyć własnym życiem, carina. Będziesz miała mnóstwo przygód i wrażeń: studia, wybór drogi na przyszłość...

Straciłam humor; więc jednak nie zaproponuje, żebym z nim wyjechała.

- A ty nową powieść i nową kochankę - wpadłam mu w słowo, urażona, że dla mnie nie ma miejsca w jego życiu.

- Przyjedziesz do Amalfi na wakacje - obiecał. - Domek należy do nas. Pomożesz mi go urządzić. Nadal wygląda tak, jak kiedy tam byłaś.

- To już tyle lat - mruknęłam. Pamiętałam go doskonale, jak zawsze. Przyglądał mi się dłuższą chwilę.

- Wiesz, wcale się nie zmieniłaś - stwierdził. - Te same wielkie piwne oczy, które chcą poznać moje tajemnice. Te same niesforne włosy, ta sama dziewczynka co dawniej. Moja dziewczynka - dodał i ścisnął moją dłoń.

Byłam wzruszona, nie mogłam wykrztusić słowa, ale wtedy podano spaghetti bolognese i właściwa chwila minęła. Później gawędziliśmy o szkole, studiach, moich przyjaciółach, rzymskich restauracjach... o wszystkim, tylko nie o tym, że następnego dnia mnie zostawia.

Czule objęci - byłam prawie jego wzrostu - wróciliśmy do domu. Jon-Boy wszedł do środka, żeby się pożegnać z Mortimerami i podziękować im po raz kolejny, że się mną zajęli, a potem ja go odprowadziłam do wynajętego samochodu. Położył mi dłonie na ramionach i zajął w oczy.

- Zawsze pamiętaj, że jestem twoim ojcem i bardzo cię kocham - powiedział. A potem pocałował mnie i odszedł, do nowego życia, w którym nie było dla mnie miejsca.

Wtedy widziałam go po raz ostami.



## Rozdział 26

Otarłam łzy z oczu. Jon-Boy nie przyjechał na rozdanie dyplomów w college'u. Nie poznał mojego męża. Ciekawe, jakiego byłby o nim zdania? Ostrzegłby mnie przed nim? Co tu dużo mówić, był ekspertem w tych sprawach.

Odłożyłam zdjęcie na zakurzony stolik.

Pociągnęłam nosem i wtedy poczułam męski zapach w pokoju. Otworzyłam szafę i nie wierzyłam własnym oczom; ubrania Jon-Boya nadal wisiały na drewnianych wieszakach. Elegancki garnitur, miękka kaszmirowa marynarka. Ubrania rzymskie, bo tutaj zazwyczaj chodził w szortach albo dżinsach. A obok - przepiękna suknia wieczorowa z czerwonego szyfonu.

Oczywiście w życiu Jon-Boya zawsze były kobiety. Ale ta? Mieszkała z nim? Kochał ją? Była tu tamtej nocy, gdy zginął? I gdzie jest teraz?

Nie mogłam oddychać. Podbiegłam do okna i otworzyłam je szeroko; wieczorne powietrze wpadło do pokoju po raz pierwszy od lat. Po chwili doszłam do siebie i powędrowałam korytarzem do mojego pokoju.

Bałam się do niego zajrzeć; a jeśli nie jest taki, jak w moich wspomnieniach? Bałam się niepotrzebnie. Był taki, jakim go zapamiętałam: skromne pomieszczenie pomalowane na biało, wypłowie niebiesko-zielone okiennice, wąskie, twarde łóżko z ozdobnym wezłowie z kutego żelaza, wiekowa drewniana komoda i sfatygowane krzesło przy oknie. Na stoliku stała lampka z niebiesko-zielonym kloszem, łóżko było starannie zasłane i przykryte narzutą. Kiedy tu mieszkiałam, pokój nigdy nie był tak schludny; wszędzie poniewierały się ubrania i książki, a gdzieś tam - również zapomniane kanapki.

W wysokim krześle przy oknie czekałam, aż Jon-Boy wróci do domu, czytałam w mdłym świetle lampy, aż piekły mnie oczy. Zabolały na samo wspomnienie. I znowu to samo: we wspomnieniach po raz kolejny czekam na Jon-Boya, jakbym nie przyjmowała jego śmierci do wiadomości. Nagle jednak powróciło coś jeszcze: strach, że po mnie nie przyjdzie, i uświadomiłam sobie, że właśnie to najczęściej czułam w dzieciństwie. I starałam się o tym zapomnieć. Zawsze sobie powtarzałam, że po mnie wróci. Aż kiedyś tego nie zrobił.

Z westchnieniem podeszłam do mojej szafy. Na samym dnie poniewierał się mój stary czerwony kostium kąpielowy. Podniosłam go, przyjrzałam się pęknięciom. Nosiłam go tak długo, aż z niego wyrosłam. Tamten czas to były jedne z najpiękniejszych chwil mojego życia.

Weszłam do łazienki. Na mydelniczce nadal leżało mydło, obok stała butelka szamponu. Na poręczy suszyły się ręczniki. Miałam wrażenie, że Jon-Boy i jego przyjaciółka, właścicielka czerwonej sukni, zjawią się lada chwila.

Pobiegłam na dół, do kuchni. Zawsze ją lubiłam, choć teraz należałoby tu posprzątać: białe kafelki były brudne, wielkowy piec nikł pod warstwą kurzu, a na półkach spiżarni wciąż stały skromne kawalerskie zapasy.

Zatrzymałam się przy sosnowym stole, dawniej centrum mojego wszechświata, i nagle się rozplakałam.

- Och, Jon-Boy - szepnęłam. - Co się z tobą stało?

- Lamour? - Męski głos ściągnął mnie z powrotem na ziemię. Zaskoczona, podniosłam głowę. Nico Pirata stał w drzwiach. Szybko się odwróciłam, nie chciałam, żeby zobaczył, że płakałam.

- Byłem w zatoce - wyjaśnił. - Zostawiłem motorówkę na nabrzeżu i pomyślałem, że może cię tu spotkam. Chciałem się tylko przywitać.

- Odejdź - poprosiłam, wciąż odwrócona do niego tyłem.

- Przykro mi, Lamour - powiedział miękko. - Wiem, co czujesz, i bardzo mi przykro.

Położył mi ręce na ramionach, odwrócił mnie twarzą do siebie i objął. Czulałam zapach jego potu i bicie jego serca. Był taki piękny, tak cudownie pełen życia, a do tego w jego objęciach zrobiło mi się lepiej.

- Wiem, carina - szeptał, głaszcząc mnie po włosach. - Teraz wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Zapomniałam już, jak łatwo się zagubić w ramionach mężczyzny, jak łatwo na nowo stać się małą kobietką. Zbyt łatwo, pomyślałam. Ale Nico to człowiek rodziny Pirata i nie wiedziałam, ze względu na jego ojca, czy mogę mu ufać.

Otarłam lzy wierzchem dłoni i z całą godnością, na jaką mogłam się zdobyć, mając czerwony nos i zapuchnięte oczy, zapewniłam:

- Nic mi nie będzie. Weszłam tu i zobaczyłam, jak to wszystko wygląda.

- Od śmierci twojego ojca nikt tu nie wchodził. Wszystko zostało, jak było. - Cofnął się, splótł ręce na piersi, obserwował mnie. Przez chwilę kusiło mnie, żeby się znowu do niego przytulić i wypłakać na jego ramieniu.

- Miło, że wpadłeś - powiedziałam. Zrozumiał aluzję, podszedł do drzwi. Zatrzymał się w progu, w blasku zachodzącego słońca.

- Spotkamy się jeszcze, Lamour? - zapytał.

- Jeśli ojciec ci pozwoli - odparłam. Tym razem udało mi się uśmiechnąć.

Pomachał mi i wyszedł.

Po pewnym czasie ja też wyszłam. Nie zawracałam sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz. Nie robiliśmy tego, kiedy tu mieszkałam, i nie zaczę teraz. Stałam na tarasie i czułam, jak mój mały złoty domek roztacza swój czar. A potem wróciłam do hotelu, żeby opowiedzieć o wszystkim Jammy.

RS

## Rozdział 27

Minęło kilka dni i nie widziałam Nica ani razu. Byłyśmy we Włoszech już ponad tydzień, Jammy musiała wracać następnego dnia, tymczasem jednak stała na drabinie i kremową farbą malowała sufit w saloniku.

- Czuję się jak Michał Anioł - stwierdziła. - Też wykręcam sobie kark.

- Skąd wiesz, że sobie wykręcał? - zdziwiłam się. - Czy on przypadkiem nie malował, leżąc na rusztowaniu? - Energicznie malowałam okiennice na morski kolor. Uporałyśmy się już ze ścianami, które teraz były bladeżółte, jak powietrze o świcie, i powoli czułam, jak domek staje się mój.

- A niby jakim cudem farba nie kapiała mu na twarz, skoro malował na leżąc?

Roześmiałam się.

- Jam, co powiesz na przerwę?

- Nie chciałam tego pierwsza proponować - przyznała. Niezdarnie zeszła z drabiny. - Nigdy w życiu już nie pisnę ani słowa na temat kosztów remontu. Fachowcy zasługują na każdego centa.

Usiadłyśmy na schodkach na taras z coca-colą. Prostowałyśmy obolałe plecy i z przyjemnością oddychałyśmy powietrzem wolnym od oparów farby. Pracowałyśmy od rana, a dochodziła już czwarta po południu. Proponowałam, żebyśmy już skończyły, ale Jammy się uparła, że dokończy sufit przed powrotem do Chicago.

- Nie podoba mi się, że wracam bez ciebie - mruknęła.

- Będę tutaj, po drugiej stronie kabla telefonicznego - odparłam lekko.

- Lam, jesteś na sto procent przekonana, że chcesz to zrobić? - Jammy nie dawała za wygraną. - Potraktuj ten domek jako azyl na wakacje. W lecie przyjedziemy tu wszyscy razem, nawet studentka będzie zachwycona. Mówię poważnie. Wyobraź to sobie, Lam: będziemy chodzić na pizzę, pływać w zatoczce, walczyć z tym piratem Pirata. - Zachichotała.

Zawtórowałam jej i zaproponowałam pożegnalną kolację w Amalfitano. Objęła mnie ramieniem, zajrzała głęboko w oczy.

- Lam, jesteś pewna?

Potwierdziłam ruchem głowy, ale w głębi serca ogarnął mnie strach. Wszystko było dobrze, póki miałam Jammy przy sobie; miałam z kim kpić z

problemów z rodziną Pirata, mogłam się jej poskarżyć na nawał pracy do wykonania.

Ale po jej wyjeździe wszystko będzie inaczej. Zostanę sama w obcym kraju. Nie będę miała komu się wyplakać, kiedy coś pójdzie nie tak, nikt nie poda mi pomocnej dłoni. Ejże, co za mazgajstwo, skarciłam się w myślach. Głowa do góry. Wybrałaś tę drogę i musisz nią iść. Sama. Dostrzegłyśmy Mifune. Szedł medytować. Jammy podbiegła do niego.

- Mifune, znasz Lamour od dziecka - zaczęła. - I wiem, że jest dla ciebie bardzo ważna. Czy obiecasz mi, że się nią zaopiekujesz po moim wyjeździe?

Mifune się skłonił.

- Signora Haigh, nie zawiodę pani zaufania.

Jammy też się ukloniła, podziękowała mu i wróciła do mnie, zadowolona, że póki jest tu Mifune, nic mi nie grozi.

Później, umyte, jeszcze z wilgotnymi włosami, w białych spodniach i koszulkach, usiadłyśmy w Amalfitano. Sączyłyśmy białe wino i zajadałyśmy sałatkę.

- Prawie żałuję, że wyjeżdżam - westchnęła Jammy. - Będzie mi tego wszystkiego brakowało.

- W każdej chwili możesz wrócić - zapewniłam szczerze, ale wiedziałam przecież, że ma własne życie.

- Przywiozę studentkę; będzie zachwycona.

Skończyły się nam tematy do rozmowy i po raz pierwszy wyczułam, że coś nas dzieli.

- Jam - złapałam ją za rękę. - Obiecuję, że jeśli mi się nie uda, jeśli będzie mi zbyt ciężko...

Rozpromieniła się.

- Tak? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Wtedy, jak mała świnka z bajki, będę próbować, aż do skutku - dokończyłam z uśmiechem i nagle śmiałyśmy się obie i znowu wszystko było dobrze.

Dostrzegłam Lorenza Pirate, zanim on mnie zauważył. Przyszedł z większą grupą; była tam jego córka, ale nie syn. Aldo i kelnerzy szybko zsunęli trzy stoliki, robiąc jeden długi stół. Uwijali się jak w ukropie, kładli przed gośćmi podkładki z mapką Piraty i włoską flagą, przynosili sztućce i

szklanki z serwetkami. W Amalfitano nie było luksusów, ale nowi goście różnili się od nas nawet strojem. Kobiety, ubrane w biały len, miały starannie uczesane włosy i złote bransoletki. Mężczyźni nosili koszulki polo, szorty i drogie mokasyny.

- Mamy towarzystwo - mruknęłam cicho.

Jammy dyskretnie zerknęła za siebie. Spojrzała na mnie, unosząc brwi.

- To jego teren. - Wzruszyła ramionami.

Widziałam, jak Aldo śpieszy przyjąć zamówienie, a inni kelnerzy stawiają na stole karafki z winem. Staralam się nie patrzeć w tamtą stronę, wbiłam wzrok w mój kieliszek, ale miałam nieprzyjemne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Napiłam się wina, próbowałam nie słuchać rozmów.

- Signora Harrington. Signora Haigh. Buona sera.

Lorenzo Pirata stał tuż obok mnie. Pytając uniosłam brew. Jammy wstrzymała oddech, ciekawa, co będzie dalej.

- Dobry wieczór, signor Pirata - odparłam chłodno.

- Mam nadzieję, że Aldo dobrze się paniami zajął - powiedział z uśmiechem. - Polecam bakłażana, to popisowe danie jego żony.

Nie miałam pojęcia nawet o tym, że Aldo ma żonę, a co dopiero, że to właśnie ona gotuje.

- Spróbujemy na pewno - odpowiedziałam uśmiechem na jego uśmiech i przemknęło mi przez myśl, że mój wróg to bardzo przystojny drań. Bo co do tego, że to mój wróg, nie miałam najmniejszych wątpliwości.

- Życzę paniom miłego wieczoru. - I wrócił do swojego stolika. Czułam na sobie wzrok Aurory, ale nie zwracałam na to uwagi. Bakłażan

był rzeczywiście przepyszny, rozplýwał się w ustach. Wolałam nie myśleć, ile ma kalorii, zapiekany z miejscową mozzarellą. Chyba od lat nie jadłam nic równie kalorycznego... oczywiście poza pizzą, kalmarami i chlebem... Westchnęłam.

- Nie przejmuj się, powinnaś trochę przytyć. - Jammy zamówiła kolejną karafkę wina.

To prawda. Moja chudość nieładnie kontrastowała z wyrafinowaną smukłością towarzyszek Lorenza.

- Jakim cudem ze ślicznego dziecka wyrosło coś takiego? - mruknęłam. Dołożyłam sobie bakłażana i znowu oparzyłam język.

- Zanedbanie. - Jammy podniosła głowę znad smażonej ryby, którą pałaszowała z zapalem. Przyjrzała mi się krytycznie.

- I tak teraz wyglądasz lepiej niż przez ostatnie lata. Do twarzy ci w tej fryzurze. Wreszcie nie jesteś taka blada. Wydaje mi się nawet, że się gdzieś zaokrągliłaś.

Uśmiechnęłam się.

- To te wszystkie makarony i pierożki. Mam nadzieję, że to gdzieś jest we właściwych miejscach?

- Tak, małe, ale zgrabne - zapewniła i obie się roześmiałyśmy. Czułam, że wszystko będzie dobrze.

Nieco później ukloniliśmy się grzecznie gościom Lorenza i poszliśmy na parking. Zatrzymałyśmy się, żeby spojrzeć na wioskę oświetloną żółtymi kulami latarni.

- Wygląda jak z pocztówki - stwierdziła Jammy, wskazując oświetlony kościółek i arkady nad brzegiem morza.

Następnego dnia wstałyśmy wcześniej, zapakowałyśmy walizki Jammy do samochodu i pojechaliśmy do Neapolu, na lotnisko Capodichino. Nadałyśmy jej bagaż i sączyłyśmy kawę, pogryzając sfogiatelle, ciasteczka z kremowym nadzieniem, neapolitański przysmak. Ja oczywiście paplałam o domku. Powiedziałam, że chcę sprowadzić architekta i inżyniera, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku, zanim na poważnie wezmę się do remontu. Tylko ogród nie może dłużej czekać.

- Oczywiście Mifune mi pomoże - dodałam. - On najlepiej wie, co się kryje pod chwastami i zaroślami.

Po chwili już się żegnałyśmy. Jammy odeszła szybko, jak zawsze, i odwróciła się tylko raz. Pomachała mi. Uśmiechała się, ale widziałam troskę w jej oczach. Wybrałam nowe życie i teraz musiałam ponieść tego konsekwencje.

## Rozdział 28

Moim zdaniem domek nie wymagał szczególnej pracy. Co innego klif. Odkryliśmy z Mifune uszkodzone erozją miejsca, gdzie usunięto krzewy. Według mnie nie było to nic poważnego, zwłaszcza że zamierzałam zasadzić je tam znowu, ale na wszelki wypadek ściągnęłam specjalistę z Sorrento.

Zbiegał ze scalatinella na drobnych stopkach, niski, okrągły, z zaciśniętymi ustami pod cieniutkim wąsikiem, w dużych okularach w ciemnej oprawce, które dodawały mu powagi. Miał na sobie obcisły czarny garnitur, srebrny krawat i kapelusz, panamę. Za nim spieszyła grupka znużonych młodszych asystentów. Nieśli jego aktówkę, parasol i różne przyrządy.

Il'architetto rzucił mi łaskawe:

- Buon giorno.

Na jedno skinienie jego bladej dłoni asystenci rzucili się do pracy, żeby się przekonać, jak mi wyjaśnił, czy całe zbocze nie osunie się do morza. A potem zapytał mnie z wyższością, jakby rozmawiał ze służącą, gdzie jest U signore.

- U signore ? - zdziwiłam się.

Il'architetto wyglądał na zniecierpliwionego.

- Si, U signore, właściciel domu. Ten, z którym mam omówić kwestię bezpieczeństwa.

- Ależ to ja.

Zeszytywał i po raz pierwszy przyjrzał mi się uważnie.

- Signora?

- Jestem signora Harrington. To ja pana sprowadziłam, żeby ocenił pan stopień zniszczeń. Dottore - dodałam po chwili z uśmiechem, w nadziei, że go ułagodzę. Nie chciałam przecież mieć przeciwko sobie rady miasta, nie chciałam też wydać majątku na rozwiązywanie nieistniejących problemów. Już żalowałam, że w ogóle zwracałam sobie głowę inspekcją.

Il'architetto wyprostował się na całą imponującą wysokość metra sześćdziesięciu pięciu centymetrów, wyduł wąskie usta i przyjrzał się zza okularów.



- Perdona, signora, ale miałem powody przypuszczać, że wezwał mnie Il' signor Pirata.

Pokręciłam przecząco głową; Il'architetto był wyraźnie rozczarowany, że jego klientką jestem tylko ja, a nie gran signore.

- Dottore, ustaliliśmy już, że to ja panu płacę. Czy może pan teraz rzucić okiem na dom?

Wprowadziłam go do środka i szybko pokazałam wszystkie pomieszczenia.

- Interesuje mnie przede wszystkim, czy dom jest w dobrym stanie - wyjaśniłam. - Nie robiono w nim nic, odkąd go zbudowano w latach dwudziestych.

Stał w holu, zajął do saloniku i do kuchni. Zmarszczył nos z niesmakiem.

- To bardzo mały domek, signora - mruknął. - Dla gości, prawda?

- Nie - odparłam stanowczo. - To mój dom i zależy mi, żeby wszystko było w porządku, zanim zabiorę się do pracy.

- Hm... - Zamyślił się, wyszedł na dwór, zawołał swoich pomocników. Wygłosił do nich coś, co brzmiało jak wykład przeplatany obelgami. Ciekawe, czy nakrzyczał na nich za to, że go nie uprzedzili, iż nie pozna Ugran signore. A może pytał, czemu ściągnięto go aż z Sorrento, żeby dokonywał inspekcji domu, który nadaje się wyłącznie dla służby. W końcu zwrócił się do mnie.

- Moi ludzie dokonają inspekcji pani posiadłości. W odpowiednim czasie przedłożymy raport - powiedział.

Zrobiło mi się słabo. „W odpowiednim czasie” mogło oznaczać zarówno przyszły tydzień, jak i przyszły rok.

- A teraz, signora, pożegnaj panią. - Znacząco spojrzął na zegarek, zapewne żeby dać mi do zrozumienia, że stracił przeze mnie mnóstwo swojego cennego czasu, rozłożył parasol i oddalił się przez scalatinella, grubiutki, bładny i spocony. Wyglądał jak Dirk Bogarde spacerujący po Lido w filmie Śmierć w Wenecji.

Westchnęłam i weszłam do kuchni. Wyjęłam z wiekowej lodówki prawie zimne butelki piwa Peroni i wyszłam z nimi na taras. Zawołałam jego „ludzi” i na wypadek, gdyby mój włoski okazał się niezrozumiały, pomachałam

butelkami. Spojrzeli najpierw na mnie, potem na scalatinella. Szeff zniknął; z uśmiechem przyjęli piwo i z ulgą pokiwali głowami.

Byli młodzi, śniadzi, mieli podkrążone oczy, zapewne z przepracowania, ale piwo poprawiło im humory.

- Ma pani piękny dom - powiedział z nieśmiałym uśmiechem ten o nastroszonych włosach.

- Grazie, signore. Też tak uważam - odparłam skromnie. Sprawił mi wielką przyjemność.

Usłyszałam kroki, odwróciłam się i zobaczyłam Nica. Zbiegał ze schodów. Miał na sobie kąpielówki, więc domyślałam się, że chce popływać motorówką.

- Carina! - zawołał z promiennym uśmiechem, który zawsze sprawiał, że też się uśmiechałam. - Minął mnie bardzo dziwny jegomość. Wyglądał, jakby się wybierał na uroczystą kolację Anno Domini 1927. Kto to był?

Roześmiałam się głośno; doskonale opisał Il'architetto. Wyjaśniłam, kto to był, poczęstowałam Nica piwem i powiedziałam, że muszę zabrać się do pracy.

- A nie wolałabyś popływać ze mną motorówką? - spojrzał błagalnie. - Jest tak pięknie, moglibyśmy skoczyć na Capri na lunch.

Nie byłam na Capri od czasów Jon-Boya.

- Muszę się nimi zająć - wskazałam geodetów, którzy rozstawiali sprzęt na klifie. - Poza tym miałam pomalować mój pokój.

- Daj spokój, Lamour, praca może poczekać. Nie wolno marnować takiego pięknego dnia.

Pomyślałam o morelowej farbie i pędzlach w sypialni.

- No, a oni? - Jeszcze nie uległam.

- Nie przejmuj się, załatwię to. - Zawołał: - Ciao, amid - i podszedł do nich.

Wiedziałam, że ich oczaruje i że koniec końców zrobią tak, jak zechce. To chyba przyjemne mieć taki dar i świadomość, że wszyscy cię kochają i ci ulegają. Miłość; nie wiem, skąd ta myśl pojawiła się w mojej głowie. Wolałam się nad tym teraz nie zastanawiać; pobiegłam na górę przebrać się w coś odpowiedniego na przejażdżkę motorówką i lunch na Capri. Wybrałam białe szorty i zieloną koszulkę, spięłam włosy. Na wszelki wypadek

wrzuciłam kostium kąpielowy do plecionego koszyka, który kupiłam w Piracie. Bez namysłu włożyłam też do niego kapelusz, krem do opalania i błyszczki do ust. Byłam gotowa w ciągu niecałych pięciu minut.

Nico siedział na patio. Geodeci zniknęli bez śladu.

- Poszli do Amalfitano na lunch - wyjaśnił. - Powiedziałem, że mogą zjeść na mój rachunek.

Pokręciłam niespokojnie głową. Aż za dobrze wiedziałam, ile trwają obiady w Amalfitano.

- A kiedy będą pracować?

- Obiecali, że przyjadą jutro. Załatwię to z ich szefem. Znam ten typ; oszaleje ze szczęścia, jeśli zadzwoni do niego ktoś z rodziny Pirata.

Roześmiałam się; znowu miał rację.

- Teraz jesteś wolna. - Wziął mnie za rękę i poprowadził do windy. Staliśmy blisko siebie w drewnianej kabinie i patrzyliśmy przez szklane drzwi. Unikałam wzroku Nica.

- Ostatnio byłam na Capri jako ośmiolatka - powiedziałam, chcąc jakoś wypełnić palącą ciszę. Chciałam jeszcze dodać: czyli trzydzieści lat temu, ale ugryzłam się w język, nagle boleśnie świadoma, że dziesięć lat to ogromna różnica wieku.

- Jesteśmy na miejscu! - zawołał Nico, gdy drzwi windy się otworzyły. Wziął mnie za rękę i pobiegliśmy na kamienne nabrzeże, do jego motorówki.

Pomógł mi wsiąść, odcumował i wskoczył do środka. Łódź się zakołysała, a po chwili silnik zaryczał i wypłynęliśmy z małej zatoczki. I pomknęliśmy przez morze z wiatrem we włosach, w deszczu drobniutkich kropli. Płynęliśmy wzdłuż pięknego wybrzeża, mijaliśmy ciche wioski, do których można dotrzeć tylko od strony morza, malutkie hoteliki, ciemne jaskinie i lazurowe zatoczki.

Było tak cudownie, że roześmiałam się w głos, upojona chwilą. Wiatr porwał mój śmiech i gumkę z włosów, które otoczyły moją głowę ciemną chmurą.

- Jak Meduza! - zawołał Nico, a ja roześmiałam się jeszcze głośniejsze. Co tu dużo mówić, szczęście to chwila.

## Rozdział 29

Po mniej więcej trzydziestu minutach wyspa pojawiła się na horyzoncie. Poszarpane wapienne skały odcinały się od błękitu morza.

- Cudownie! - krzyknęłam.

- Poczekaj! - Nico uniósł moją dłoń do ust i pocałował.

Poczułam, że się rumienię, i odwróciłam głowę. Dużo czasu upłynęło, odkąd całował mnie mężczyzna. Rozkoszowałam się chwilą, czułam, jak pulsują we mnie bąbelki szczęścia.

- Popatrz teraz, carina. - Zwolnił. Odwróciłam się i spojrzałam wprost w słynną Grotta Azzurra, Lazurową Grotę.

Nieruchoma woda była ciemna, winna, granatowa z plamami akwamaryny. Nie do wiary, że morze ma taki kolor.

- Według legendy przed setkami lat przepływał tędy statek z ładunkiem purpury. Ten kolor mogli nosić tylko cesarze rzymscy. Statek zatonął, stąd woda ma ten odcień.

Zanurzyłam w niej palce i przyglądałam się lśniący ścianom grotty, mieniły się wszystkimi kolorami morza jak gigantyczny opal. Piękno natury budzi we mnie, architekcie krajobrazu, pokorę i podziw; tylko Bóg i czas mogli stworzyć coś równie wspaniałego.

A potem Nico nagle przyspieszył i znowu mknęliśmy jak wiatr.

Zacumował motorówkę w Marina Grandę, obok innych równie zwinnych łodzi, a później, trzymając się za rękę, poszliśmy śladem turystów na piazzetta, główny plac, tętniący życiem.

Zapomniałam, ile uroku ma to małe białe miasteczko o ulicach brukowanych kocimi łbami, z placykami i wąskimi schodami łączącymi poszczególne budynki. Pod arkadami kolorowe kwiaty eksplodowały kolorami, kręte uliczki prowadziły do willi ukrytych za białymi murami wśród oleandrów.

Nico cały czas trzymał mnie za rękę. Włóczyliśmy się bez celu, zaglądaliśmy do sklepów, pełnych pokus: były tam plecione ręcznie sandały, biżuteria, kostiumy kąpielowe i suknie od najlepszych projektantów, torby, szale i pościel, która zapraszała, by się w niej ułożyć do snu.

Zatrzymałam się przed sklepem jubilerskim Alberto i Lina. Mój wzrok przyciągnęła delikatna bransoletka z koralami.

- Kup ją, carina - zachęcił Nico, jakby spełnianie takich kaprysów i kupowanie drogich drobiazgów było najnormalniejszą rzeczą na świecie.

Zawahałam się. Kawalki koralu zdawały się dosłownie wyrastać ze złotej bransoletki. W swojej prostocie była piękna.

- Może później - rzuciłam lekko i pozwoliłam, by mnie odciągnął od wystawy jubilerów. W końcu czekają mnie poważniejsze wydatki.

Nico nie puszczał mojej dłoni. Było to bardzo naturalne i bardzo mi się spodobało. Miałam wrażenie, że do kogoś należę.

Poszliśmy do La Campannina, uroczej knajpki niedalekopiazzetta. Właściciel serdecznie powitał Nica (Witaj! Ten stolik co zwykle?) i wskazał na stolik na werandzie. Nico nie usiadł naprzeciwko, tylko obok mnie. Znowu wziął mnie za rękę. Spojrzałam na niego pytająco. Roześmiał się i uniósł moją dłoń do ust.

- Baw się dobrze, carina - szepnął, patrząc mi w oczy. Obserwowaliśmy pozostałych gości, bardzo eleganckich w kreacjach od

Dolce & Gabbany i Versace. Byli barwni jak stado papug. Nico zamówił bellini, koktajle z brzoskwiń i szampana. Sączyliśmy je powoli; nawet nie otwierając karty dań, zdecydował, co zamówimy. Z Nikiem łatwo wcielić się rolę małej kobietki, pozwolić, by podejmował decyzje: gdzie dzisiaj pójdziemy, co zamówimy, co wypijemy, co kupimy... Byłam rozpuszczoną kokietką, sączyłam powoli moje bellini, więc gdy Nico roześmiał się głośno, zdumiona podniosłam głowę i zapytałam, co go tak rozbawiło.

- Dzisiaj jesteś zupełnie inna wyjaśnił. - Nie został nawet ślad po kolczastym nastawieniu. Prawie uwierzyłem, że się dobrze bawisz.

Puścił moją rękę, kiedy podano nam insalata caprese, sałatkę ze świeżych pomidorów, mozzarelli i świeżej bazylii. Skomponowano ją tu, na Capri, i zawdzięcza wyspie swoją nazwę. Jadłam ją tysiące razy, ale nigdy nie smakowała jak teraz. Po pierwsze, przyrządzono ją z serem burratta, bardziej kremową wersją mozzarelli. Po drugie, pomidory zerwano - tego ranka z krzaka tu, na wyspie, a bazylię - dosłownie przed chwilą. Odrobina oliwy z tutejszych oliwek, trochę czarnego pieprzu i powstało najbardziej ożywcze połączenie pod słońcem. Nie miałam ochoty na nic więcej, zwłaszcza że Nico

znowu wziął mnie za rękę, co bardzo mi się podobało. Teraz popijaliśmy mocno schłodzone różowe wino.

Uśmiechaliśmy się do siebie, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym: o innych gościach, o kolorze nieba, o tym, czy naprawdę powinnam kupić tę bransoletkę z koralem. Zanim się zorientowałam, opowiadałam mu o moim życiu w Chicago, o pracy. Spoważniał, kiedy mówiłam o śmieci Aleksa. Na szczęście zachowałam tyle zdrowego rozsądku, by mu się nie poskarżyć, że Alex chciał mnie zostawić dla innej.

- Biedna Lamour - gładził moją dłoń. - Pewnie było ci bardzo ciężko. Zasłużyłaś na urlop.

Podano linguine eon lo scorfano, śliczne jak malowane, choć ryba wyglądała dość groźnie.

Przypomniał mi się tamten zimny, deszczowy wieczór w Chicago, gdy poszłam z Jammy do włoskiej knajpki i wspominałam Włochy przy butelce chianti. I oto siedzę tu teraz, w towarzystwie bardzo przystojnego młodego mężczyzny, który ani na moment nie spuszcza ze mnie oczu i sprawia wrażenie, jakby miał w życiu jeden cel: sprawiać mi przyjemność. Chciało mi się mrużyć ze szczęścia.

- Nico, caro, tu jesteś! - Przy naszym stoliku stanęła dziewczyna szczupła jak modelka, w minispódniczce, która odsłaniała kolczyk w jej pępku i cudownie opalone uda. Odrzuciła na plecy długie jasne włosy i spojrzała na nas niecierpliwie. Nico wstał.

Położył jej rękę na ramieniu.

- Cara, nie spodziewałem się ciebie tutaj - powiedział miękko. - Myślałem, że nadal jesteś w Rzymie.

- A niby po co miałabym tam siedzieć bez ciebie? - zdziwiła się. Nico spojrzał na mnie, przeprosił i odszedł z nią na bok. Odłożyłam sztućce. Nagle dzień stracił cały urok. Dziewczyna była nie

tylko śliczna; była też młodzianka, wyglądała na najwyżej dziewiętnaście lat i najwyraźniej łączyło ją z Nikiem coś więcej niż przyjaźń. Zrobiło mi się głupio. Dolałam sobie wina i sączyłam je ze wzrokiem wbitym w talerz.

Poszli na piazza. Widziałam, jak objął ją ramieniem. Stali tak blisko siebie, że dotykali się udami. Nico ujął jej twarz w dłonie i przytknął usta do jej warg. Przez moment tak stali, a potem ją pocałował. Długo.

Po chwili odsunęła się od niego. Uśmiechała się. Powiedział coś i odeszła, machając mu na pożegnanie. Począł i dopiero kiedy już jej nie widział, wrócił do stolika.

- Przepraszam, cara - rzucił beztrosko. - To stara przyjaciółka z Rzymu.

- Chyba nie stara - prychnęłam ostrzej, niż zamierzałam. - Przecież to jeszcze dziecko.

Spojrzał na mnie zdziwiony i parsknął śmiechem.

- Daj spokój, Lamour; dokończmy nasz pyszny lunch. - Rozlał resztkę wina i zamówił następną butelkę.

Ale coś się zmieniło i Nico to wiedział.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, nie trzymaliśmy się już za ręce. Co jakiś czas raczej czułam niż widziałam jego spojrzenie. Milczał, odezwał się dopiero, kiedy mijaliśmy jubilera.

- Poczekaj! - zawołał. - A co z twoją bransoletką? Pokręciłam przecząco głową.

- Nie, jednak jej nie chcę. - Zachowywałam się jak rozpuszczone dziecko, którym chciałam być. Chciałam znowu mieć osiem lat, mieszkać z Jon-Boyem i niczym się nie przejmować.

W drodze powrotnej tym razem nie krzyczeliśmy do siebie radośnie, słycać było jedynie szum wiatru i ryk silnika. Wyrzucałam sobie, jaka byłam głupia - cóż za absurd myśleć - nawet tylko przez chwilę - że mężczyzna w wieku Nica mógłby się mną zainteresować?!

W zatoce zacumował i pomógł mi wysiąść.

- Dziękuję za uroczy dzień - powiedziałam grzecznie, podając mu rękę. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Mówię szczerze, carina - dodał. Zarzuciłam koszyk na ramię i odeszłam szybko.

- Jeszcze raz dziękuję! - zawołałam przez ramię. - Nie musisz mnie odprowadzać do domu. Poradzę sobie.

Wtedy sobie przypominałam, o co chciałam go zapytać. Odwróciłam się na schodach.

- Co wiesz o śmierci Jon-Boya? - zapytałam. Znieruchomiał, a po chwili na mnie spojrzał.

- Nic. Absolutnie nic. Musisz zapytać o to mojego ojca. Odwróciłam się i odeszłam. Nawet przez chwilę mu nie wierzyłam. I dlaczego kazał mi zapytać ojca?

RS



## Rozdział 30

Pokonałam pędem stopnie prowadzące do domku. Złamałam własną zasadę i pozwoliłam sobie uwierzyć w komplementy Nica. Dopiero widok młodziutkiej dziewczyny sprowadził mnie z powrotem na ziemię, na szczęście zanim byłoby za późno. Dla niego jestem tylko miejscową okazją do flirtu.

Ja z moimi potrzebami. Zbyt wrażliwa. I za stara, do licha!

Weszłam na taras i położyłam się na starym szezlongu. Usta miałam słone od morskiej wody, a ramiona piekły, spalone słońcem; jedyne pamiątki po pięknym dniu. Nie mam prawa osądzać zachowania Nica. Na pewno zna wiele dziewcząt i nic dziwnego, że się w nim kochają. Chodzi jednak o to, że ta, którą dzisiaj spotkaliśmy, była młoda i *sliczna*, ale to już mój problem.

Chyba zasnęłam, bo kiedy otworzyłam oczy, było już ciemno. Usiadłam i spojrzałam na mój domek. W oknach nie paliły się światła, Jon-Boy nie czekał na mnie na progu. Nagle poczułam się bardzo samotna. Skuliłam się, objęłam kolana ramionami, spuściłam głowę, pogrążona we wspomnieniach. Do niedawna byłam pewna, że tutaj również terażniejszość będzie cudowna, ale powoli zaczynałam w to wątpić.

Brakowało mi Jammy, żalowałam, że jej tu nie ma, że nie tłumaczy mi swoim dziecinnym głosikiem, dlaczego nie powinnam tu mieszkać. Po raz pierwszy pomyślałam, że może miała rację, ale zaraz się skarciłam za ponuractwo. Pozwolić, żeby jeden nieudany flirt wpłynął na zmianę moich planów? Bzdura!

Podniosłam plecioną torbę, otrzepałam ją z kurzu i poszłam do domu. Na terakocie w holu leżała koperta. Ktoś zapewne wsunął ją pod drzwi. Weszłam do saloniku, zapaliłam lampę i zaczęłam czytać.

Adres skreślony stanowczym pismem: Signora Harrington. Otworzyłam kopertę; ze środka wypadł pojedynczy arkusik ręcznie czerpanego papieru z nagłówkiem CASTELLO. Liścik napisano po angielsku.

Szanowna signora Harrington, chciałbym omówić sytuację w Domku Kochanki. Bytbym zaszczycony, gdyby przyjęta pani zaproszenie na lunch w castello, w piątek o 13. Jak mnie poinformował Mifune, jest pani architektem krajobrazu. Z największą przyjemnością pokażę pani mój ogród.

Z poważaniem, Lorenzo Pirata.

Pomyślałam, że uprzejmość i propozycja zwiedzenia ogrodów to zapewne osłoda dla gorzkiej pigułki, czyli głównego powodu spotkania. Zanim Jon-Boy kupił domek, należał on do rodziny Pirata i czułam, że Lorenzo chce go odzyskać. I że chce się mnie stąd pozbyć, wyrzucić też z życia swojej rodziny. Powtarzałam sobie: wkrótce się przekona, że zadarł z niewłaściwą osobą, i szybko napisałam liścik, w którym przyjmowałam zaproszenie. Dam go jutro Mifune, żeby przekazał signore Pirata. I zapytam go, co jego zdaniem Lorenzo chce ze mną omówić, bo podejrzewałam, że Mifune wie o wszystkim, co tu się dzieje. Może nawet wie, co spotkało Jon-Boya.

Powtarzałam sobie, że to bzdura, przecież by mnie nie okłamał. Po prostu zaczynam użalać się nad sobą.

Włączyłam dawno nieużywany adapter, nalałam sobie wina, usiadłam na kanapie i słuchałam, jak tęskne dźwięki skrzypiec rozbrzmiewają smętnie w pokoju.

Najbardziej potrzebna mi psa, stwierdziłam ponuro.

## Rozdział 31

Następnego ranka wstałam wcześniej; słuchałam szumu fal, piłam kawę i czekałam na Mifune. Wiedziałam, że przyjdzie, bo najwyraźniej przypadła mu rola listonosza między mną a Lorenzem Pirata. Przestałam w ogóle myśleć o Nicu i postanowiłam żyć dalej, jak gdyby nigdy nic.

Tego dnia, na przykład, zamierzałam pomalować moją sypialnię na odcień dojrzałych brzoskwiń. Małe łóżeczko mego dzieciństwa było zbyt wąskie, powinienam zamówić większe. Pojadę do Amalfi i kupię tanią, ale pięknie haftowaną pościel i grube, mięsiste ręczniki, i jeszcze nowy dywanik do sypialni. Kupię też sobie nowe sandały. Teraz żałowałam tych robionych ręcznie, na Capri. I, co najważniejsze, sprawię sobie łódkę. Małą, ma się rozumieć, i tanią. Nazwę ją „Lady Lamour” i będzie moją wodną taksówką. Przypomniałam sobie, jak samotna poczułam się w nocy, i pomyślałam, że może nawet rzeczywiście kupić sobie psa.

Uśmiechnęłam się: nie ma to jak zakupy, żeby poprawić kobiecie humor. Zobaczyłam Mifune i zaprosiłam go na kawę.

Odmówił i poniewczasie przypominałam sobie, że pija wyłącznie japońską zieloną herbatę. Opowiadał mi kiedyś, że rodzina Pirata sprowadza ją specjalnie dla niego, podobnie jak inne japońskie przysmaki, które od początku jego pobytu we Włoszech osładzały mu życie z dala od ojczyzny. Teraz jadał to, co wszyscy, chociaż zauważyłam, że ostatnio bardzo mało, głównie warzywa, które sam uprawiał w castello.

Il'architetto przesłał sprawozdanie o erozji, ale na razie nie chciałam o tym myśleć. Zgadaliśmy się z Mifune, że wszystko będzie dobrze, kiedy usuniemy chwasty, wysypiemy świeżą ziemię i zasadzimy młode drzewka i krzewy, których silne korzenie wzmocnią osłabiony klif.

- Podobało ci się na Capri, Lamour? - zapytał.

- Było bardzo przyjemnie - odparłam. - Wyspa jest wciąż tak piękna, jak ją zapamiętałam, a ludzie? Pretensjonalni kosmopolici, jak wszędzie.

- Capri to wyspa starożytnych bogów, jeszcze sprzed czasów rzymskich - powiedział cicho. - Pod pokładami hedonizmu zawsze była miejscem magicznym. Nic się nie zmieniło.

To prawda. Płynąc wzdłuż wapiennego wybrzeża, czujesz ukrytą naturę wyspy, wiesz, że nie zmieniła się ani odrobinę od tysięcy lat, a letnie życie to tylko chwilowy kaprys. Już wkrótce przyjdzie zima i Capri opustoszeje. Wyspa daje przybyszom dokładnie to, czego szukają. Jeśli są wystarczająco mądrzy, znajdują coś więcej pod tym, co powierzchowne - mity i starożytność, historie o driadach, centaurach i nimfach, księżętach, piratach i dworskich intrygach, o syrenach i poetach, pisarzach i malarzach. Serce Capri nigdy się nie zmienia.

- A czy w Nicu znalazłaś to, czego szukałaś? - zapytał Mifune.

Nie musiałam mu tłumaczyć, co się stało; wyczuł, że popełniłam głupstwo.

- Nico to uroczy młody mężczyzna - odparłam z rezerwą. - Cudowny towarzysz na jedno popołudnie.

- Czasami mądrość przychodzi powoli i boleśnie - zauważył. - Twój ojciec o tym wiedział.

Przyglądałam mu się zdumiona.

- Jon-Boy się zakochał i cierpiał? - spytałam.

- Twój ojciec był tak samo urokliwy jak Nico - usłyszałam w odpowiedzi.

- Kochał wiele kobiet. A kobiety kochały jego.

Czekałam, aż powie coś jeszcze, ale nie zrobił tego. Dałam mu kopertę zaadresowaną do Lorenza Piraty.

- Zaraz zaniosę ją do castello - powiedział. - Później wrócę, przejdziemy się po twoim ogrodzie i porozmawiamy o jego przyszłości. - Uśmiechnął się po raz pierwszy tego ranka. Był to cudowny bezzębny uśmiech, który rozjaśnił jego zamglone oczy i ożywił pomarszczoną twarz, wyglądał teraz prawie tak jak Mifune z moich wspomnień.

- Ale teraz to ty jesteś artystką- zażartował. - Teraz Lamour nauczy Mifune nowych sztuczek.

- Ciebie nikt nigdy niczego nie nauczy - odparłam. - Będę zaszczycona, jeśli po południu napijesz się ze mną herbaty. A później obejdziemy ogród i wszystko omówimy.

Przyjął zaproszenie, uklonił się i odszedł, cicho jak kot, chwiejnym krokiem, przez ogród, do windy, bo wreszcie przyznał, że schody za bardzo go meczą.

## Rozdział 32

Jammy wyjechała kilka tygodni temu i już za nią tęskniłam. Kupiłam sobie laptopa, ale poczta elektroniczna to nie to samo co kontakt z żywym człowiekiem. Nie miałam cierpliwości do malowania, wsiadłam do samochodu i pojechałam do Piraty, do Amalfitano. Aldo powitał mnie radośnie, odsunął mi krzesło i strzepał okruszki z mojego ulubionego stolika.

- Signora Lamour? - Uśmiechnął się zawadiacko. - Teraz znamy się już na tyle dobrze, że chyba mogę tak do pani mówić. No i mieszka tu pani na stałe.

- To prawda, Aldo. - Zamówiłam cappuccino i sfogliatelle. Od wyjazdu Jammy przytyłam trzy kilograpy, ubrania już na mnie nie wisały, ba, zaokrągliłam się nawet, zapewne wskutek pochłaniania olbrzymich ilości makaronu.

Popijałam cappuccino, jak zwykle ubrudziłam się pianą i rozmyślałam o tym, co Mifune powiedział o moim ojcu, że był taki jak Nico. Jon-Boy miał ten sam wdzięk, był równie przystojny i kobiety zawsze zwracały na niego uwagę. Oczywiście nie szukałam go w Nicu; po prostu potrzebowałam męskiego zainteresowania, komplementów, pocałunków w rękę.

Pożegnałam się z Aldem i pojechałam do Amalfi po zakupy. Byłam w miasteczku na tyle wcześnie, że znalazłam miejsce do parkowania. Potem poszłam na piechotę wąskimi uliczkami w stronę morza. W ciemnym zaułku znalazłam wymarzoną pościel. Była piękna, z białej bawełny, obszytej na brzegach niebieską i zieloną nicią, i pomyślałam, że będzie się świetnie komponowała z moją wkrótce brzoskwiniovą sypialnią. Kupiłam też sobie malinowe plecione sandały. Zjadłam lody pistacjowe w gelateria przy porcie. Jasnozielony kolor świadczył o tym, że to oryginalny produkt, bez dodatku sztucznych barwników. Na rogu staruszka sprzedawała jajka. Śliczne nakrapiane jajka, dokładnie takie, jakie w moich marzeniach nosły moje kury.

- Signora, poproszą dwanaście tych pięknych jajek - powiedziałam. Uśmiechnęła się do mnie serdecznie, starannie owinęła każde w kawałek gazety i ułożyła je w koszyku. Nagle coś mi przyszło do głowy. - Signora chciałabym kupić kury, które znoszą takie piękne jajka.

Tym razem w jej uśmiechu był spryt. Zapewniła mnie, że akurat ma kilka takich kur na sprzedaż i oczywiście muszę też wziąć koguta, bo wszyscy wiedzą, że bez koguta kury się nie nosą. Nie miałam o tym pojęcia, ale przyznałam jej rację. Szybko dobiłyśmy targu; miałam kupić cztery kury i koguta za, moim zdaniem, bardzo rozsądną cenę. Umówiłyśmy się, że przyjadę po moje kurki następnego dnia, o siódmej rano, na parking. Uścisnęłyśmy sobie dłonie, staruszka wymamrotała błogosławieństwo pod nosem, a ja zabrałam moje jajka i wróciłam do Piraty, do sklepu Umberto, po siatkę i kołki do mojego kurzego wybiegu. Zamówiłam też mały kurnik, żeby miały gdzie mieszkać.

Wychodząc ze sklepu, wpadłam na Aurorę. Spojrzałyśmy sobie w oczy, po czym przepchnęła się obok mnie i nie powiedziała nawet ciao. Westchnęłam. Aż nazbyt wyraźnie odczułam, że uważa mnie za wroga. Nie pojmowałam, czym zasłużyłam na jej nienawiść. Nie zależało mi na jej ojcu. Na bracie też nie. Zresztą miłość, czy to rodzinna czy romantyczna, też ma pewne granice. Nie znałam osoby równie zrównoważonej jak ta dziewczyna.

Wróciłam do domu i przez całe popołudnie wbijałam kołki w kamienistą ziemię za domkiem. Rozpięcie siatki okazało się trudniejsze, niż sądziłam. Ciągle wszystko mi się plątało, ale nie dawałam za wygraną, choć byłam już podrapana i brudna. Skończyłam i oceniłam moje dzieło krytycznym wzrokiem. Efekty były żalosne. Siatka zwisała smętnie, kołki sterczały pod przedziwnymi kątami. Westchnęłam. Na razie to mi musi wystarczyć.

Wzięłam długi, przyjemny prysznic, zakleiłam skaleczony łokieć plastrem i ubrałam się. Byłam bardzo zadowolona z pracowitego dnia.

Mifune przyszedł na herbatę w starym słomianym kapeluszu, z butelką sake w pięknej drewnianej skrzynce i drewnianymi miseczkami do picia tej wódki.

- Wspaniale! - ucieszyłam się i po raz pierwszy przyjąłm gościa w moim nowym domku.

Najpierw obeszlśmy ogród, ustalaliśmy, gdzie wyciąć krzewy, jak wszystko uprościć, jak przywrócić temu miejscu spokój i wdzięk.

Później podgrzałam sake i Mifune wlałjdo drewnianych misecek. Wznieśliśmy uroczysty toast.

- Za nasze ponowne spotkanie - powiedziałam. - To dla mnie najpiękniejsze wydarzenie w ciągu ostatnich lat. - Wiedziałam, że wyczuje szczerłość w moich słowach.

- Za ciebie, Lamour - odparł. - Za twoje przyszłe szczęście, gdziekolwiek będziesz.

Spojrzałam na niego zdziwiona, bo w moich planach nie było mowy o „gdziekolwiek”. Będę tutaj.

Sake rozwiązała mi język i rozmawiałam z nim o życiu w Chicago, o moim małżeństwie.

- Miłość to odwieczny problem, Mifune - stwierdziłam z powagą.

- Zawsze przynosi rozczarowanie. Spójrz tylko na Jon-Boya. Kochałam go, ale mnie opuścił. Wrócił tutaj, żeby żyć własnym życiem, i kazał mi zrobić to samo. Powiedz, czy tak postępuje dobry ojciec?

Ubierałam w słowa uczucia, których od lat nie dopuszczałam do siebie. Bardzo często czułam się porzucona, zarówno jako mała dziewczynka, kiedy ciągle na niego czekałam, jak i wtedy, kiedy jako młoda kobieta wyruszałam na studia.

- Widzisz, nic się nie zmieniło - ciągnęłam. - Znowu jestem sama. Może to mi pisane, Mifune. Samotność.

- Jon-Boy chciał, żebyś była szczęśliwa, cara - zapewnił mnie cicho. - Wiesz, że kochał wiele kobiet, ale prawdziwą miłością jego życia była jego córeczka.

- Chciałabym w to uwierzyć - westchnęłam tęsknie. - Cudownie byłoby mieć pewność, że byłam dla niego najważniejsza.

- Byłaś. - Mifune milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał, co może mi powiedzieć. - Jon-Boy bardzo kochał pewną kobietę, ale, jak to Jon-Boy, wybrał niewłaściwą.

- Opowiedz mi o niej - poprosiłam gorąco. Wreszcie się czegoś dowiem.

Znowu długo rozmyślał, zanim się odezwał. A ja popijałam sake, słuchałam szumu morza i czekałam, aż stary przyjaciel odnajdzie właściwe słowa, choć skręcało mnie z ciekawości.

- Poznał ją w Rzymie - zaczął. - Była bardzo piękna. Miała długie czarne włosy, spływały aż do pasa. Myła je, a potem siadywała na tarasie, żeby wyschły w słońcu. Twój ojciec patrzył na nią takim wzrokiem, jakby nigdy w

życiu nie widział nic piękniejszego. Oszałał dla niej, stracił głowę z miłości. A ona... cóż, ona się nim bawiła. Znałaś Jon-Boya. Był przystojny, dowcipny, czarujący... dlaczego nie? Ale miłość? O nie. Nie, chyba nigdy go nie kochała. I tu twój ojciec popełnił wielki błąd. Kobiety zawsze go kochały; nie mieściło mu się w głowie, że ta jedna nie. Owinęła go sobie dookoła małego paluszka.

Dopił sake jednym łykiem i wstał powoli. Poderwałam się, żeby mu pomóc.

- I co? - dopytywałam się niecierpliwie. - Co się z nią stało?

- Skończyło się. Jednego dnia tu była, drugiego wyjechała i już nigdy jej nie widziałem.

- A Jon-Boy?

Wzruszył chudymi ramionami. Szliśmy razem do windy, która zabierze go na górę, do castello.

- Nie wiem, Lamour. Byłem tylko ogrodnikiem. Nic nie wiem.

- Powiedz mi przynajmniej, jak się nazywała.

Mifune wsiadł do windy. Wymieniliśmy uprzejme ukłony. Błagalnie spojrzałam mu w oczy.

- Musisz mi powiedzieć - nalegałam. - Chcę to wiedzieć.

Ale on tylko pokręcił przecząco głową, drzwi się zamknęły i uniósł się w powietrzu, w stronę nieba, bo zawsze w ten sposób myślałam o ogrodach przy Castello Pirata. Zostałam sama, a przede mną była długa bezsenna noc rozmyślań o czarnowłosej piękności, którą pokochał Jon-Boy.



## Rozdział 33

Zerwałam się przed świtem i punktualnie o siódmej byłam na parkingu w Amalfi; czekałam na moje kury. Przechadzałam się niespokojnie, jak pies gończy węszyłam w rześkim porannym powietrzu, rozkoszując się jego chłodem. Dziesięć po siódmej spojrzałam na zegarek. Było już późno, ale pomyślałam, że może mieli kłopoty z wyłapaniem kur. Kwadrans po siódmej przestępowałam już z nogi na nogę i zastanawiałam się, czy staruszka z szerokim uśmiechem i zmysłem handlowym dobrze mnie zrozumiała. Albo ja ją. A może chodziło o inny dzień? Nie, na pewno mówiła o dzisiejszym ranku. A może przyszły tydzień? Co jeszcze poplątałam? A jeśli zjawi się tu z piątką martwych kur, które będę musiała oskubać i ugotować? Wpadłam w panikę, ale wtedy na parking wjechała brudna, poobijana półciężarówka. Wysiadł z niej staruszek w niebieskich ogrodniczkach i cyklistówce. Usłyszałam głośne gdakanie. Podbiegłam do staruszka.

- Signore, to ja kupiłam kurczaki! - zawołałam z uśmiechem.

- Si, si, signora. - Podał mi dłoń.

Była twarda i zrogowaciała, prawdziwa ręka rolnika.

- Gdzie pani ciężarówka? - zapytał.

Wskazałam malutkiego fiacika i widziałam, jak jego brwi niemal dotykają czapki.

- Pomyślałam, że umieścimy je na tylnym siedzeniu - wyjaśniłam, choć szczerze mówiąc, w ogóle się nie zastanawiałam, w jaki sposób dowiozę do domu cztery kury i koguta.

Mamrocząc pod nosem: *va bene, va bene*, poszedł na tył półciężarówki i wziął kury. Wsadził sobie dwie pod pachy, mimo głośnych protestów, i ruszył do mojego samochodu.

Biegłam za nim przerażona. Myślałam, że dostarczy mi je w zgrabnej klatce, a teraz się okazało, że czeka mnie przejażdżka w towarzystwie puszczonej wolno kur!

- Chwilę, chwilę! - wołałam, ale on już otworzył drzwi, i wrzucił kury do środka i zatrzasnął drzwiczki. Przyglądały mi się przez szybę, chyba równie jak ja zaskoczone obrotem wydarzeń. Chyba na znak protestu zadarły pierzaste kupry i załatwiły się na siedzenie.

- Nie, nie! - Jak wariatka wymachiwałam ramionami. - Proszę je zabrać, signore. Musimy wymyślić coś innego! - Ze zdenerwowania włoski całkiem wyleciał mi z głowy. Staruszek przyglądał mi się obojętnie.

- W porządku - mruknął po chwili. - Necessitan un plastico a delia cor-da. - Pomaszerował z powrotem do ciężarówki, a ja biegłam za nim, krzycząc, że potrzebna mi klatka, una gabbia.

Wzruszył ramionami i powiedział, że klatki nie ma. Wyjął kolejne dwie kury spod ochronnej siatki, szybko związał im nogi i położył na ziemi. Patrzyliśmy przez chwilę, jak się miotają. Z kabiny wyjął kilka plastikowych toreb, mruknął:

- Va bene, va bene - i ruszył do mojego samochodu.

Pobiegłam za nim. Jak mam jechać ze stadem oszalałych kurza plecami? Przecież zdemolują mi wynajęty samochód! Jak ja to potem wytłumaczę w wypożyczalni?

Staruszek tymczasem skrępował dwie pierwsze kury i rozłożył plastik na tylnym siedzeniu. Cztery ptaki przyglądały mi się z oburzeniem, a on poszedł po koguta.

Słyszałam go, jeszcze zanim wyjął go z samochodu. Kogut protestował stanowczo, walił mocnymi skrzydłami, ale staruszek uparcie trzymał go za nogi. Wstrzymałam oddech, przekonana, że kogut wyrwie się na wolność, wzbije w powietrze i zniknie nad dachami Amalfi, ale staruszek wygrał, wepchnął go sobie pod pachę i poszedł do mojego samochodu. Cisnął koguta między kury, które nagle ucichły, zatrzasnął drzwi i wyciągnął rękę.

- Va bene, signora - powiedział. - Il' dinaro.

Starannie złożone pieniądze trzymałam w kieszeni spodni, jak w dzieciństwie, kiedy biegałam na Campo de Fiori po zakupy dla Jon-Boya. Nagle coś sobie przypomniałam. Zapytałam, co jadają moje kury.

Przyglądał mi się ze zdumieniem.

- To, co wszystkie kury - odparł. - Chodzą sobie i szukają czegoś do jedzenia w trawie, na polu...

- Dobrze - powiedziałam szybko. - Dziękuję.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Wsiadłam do samochodu i przekreśliłam kluczyk w stacyjce przy akompaniamencie dzikich wrzasków moich producentek jaj i ich męża.

Kogut wściekle trzepotał skrzydłami i piał gniewnie. Nerwowo zerkałam we wsteczne lusterko i modliłam się, żeby się nie wyzwolił z więzów, bo to by była nowa wersja Ptaków Hitchcocka. Już widziałam dramatyczne nagłówki: Amerykanka zadziobana w wynajętym samochodzie.

Musiałam wstąpić do Piraty, bo nie miałam karmy dla mojego stadka. Nie mogłam pozwolić tym potworom chodzić, gdzie chcą - na pewno mi uciekną i zostaną bez jaj. Muszę je trzymać w zagrodzie, póki się nie nauczą, że teraz tu jest ich dom.

- Umberto! Zdyszana wpadłam do sklepu. - Potrzebna mi karma dla kur.

Umberto wyglądał jak emerytowany bokser, miał złamany od dawna nos, podkrążone ciemne oczy i potężne muskuły. Dobiał pięćdziesiątki i jak prawie wszyscy w Piracie przejął sklep po ojcu, który przejął go po swoim ojcu i tak dalej. W mrocznych czeluściach jego królestwa kryły się przeróżne skarby, od podków po wałki do włosów. Miałam nadzieję, że znajdzie się i kanna dla kur.

- Ah, signora, kury powinny chodzić, gdzie chcą - stwierdził poważnie.

- Wtedy znoszą lepsze jajka, czasami nawet z dwoma żółtkami.

Wyjaśniłam mu, na czym polega mój problem. Zamyślił się na chwilę, mruknął:

- Scusi, signora, scusi - i zniknął na zapleczu.

Stałam w drzwiach i nerwowo spoglądałam na samochód i jego pasażerów. Oczywiście, jak troskliwa matka, uchylłam okno, żeby nie było im za gorąco.

Umberto wrócił z zaplecza, taszcząc sporą paczkę z napisem „Karma dla papug”.

- Mam tylko to, signora - wyjaśnił. - Może na razie wystarczy. Później niech pani zadzwoni do sklepu w mieście i zamówi karmę z dostawą.

- Ale dla papug?

- Ptaki to ptaki. - Wzruszył ramionami. - Zresztą mam tylko to - powtórzył z uśmiechem.

Niby racja. Zapłaciłam i pobiegłam do samochodu, do kur.

## Rozdział 34

Dopiero kiedy zaparkowałam przy kapliczce świętego Andrzeja dotarło do mnie, że będę musiała znieść moje kury stromą scalatinella. Zerknęłam na nie przez ramię. Nadal gdakały gniewnie. Nie wiedziałam, kogo mogłabym poprosić o pomoc.

Odetchnęłam głęboko, choć nie najlepszy to pomysł w samochodzie pełnym kurzych odchodów, rozkaszałam się i wysiadłam, zatraskując za sobą drzwi. Nerwowo łapałam świeże powietrze i układałam plan działania. Uznałam, że najłatwiej mi będzie znieść je po jednej. Uchyliłam odrobinę drzwi, wsunęłam rękę i złapałam kłęb piór. Kura wrzasnęła i dziobnęła mnie mocno. Puściłam ją, zabrałam rękę i zatrzasnęłam drzwi. Spojrzałam na czerwony ślad. Dziób nie przebił skóry, ale i tak bolało.

- Potwór - syknęłam, teraz już naprawdę zła.

- Nie dam się wam, dranie. - Znowu wsadziłam rękę do środka, złapałam kurę, wyciągnęłam i jednym szybkim ruchem wsadziłam sobie pod pachę, jak staruszek.

Była o wiele silniejsza, niż się spodziewałam, szarpała się i dziobała przez całą drogę. Cisnęłam ją do zagrody, przecięłam sznurek krępujący jej nogi, zatrzasnęłam furtkę i zamknęłam na haczyk. Niespokojnie obejrzałam prowizoryczny zamek. Kura siedziała naburmuszona w tym samym miejscu, w które ją rzuciłam. Nawet nie zagdakała, więc szybko pobiegłam na górę i wyciągnęłam następną.

Po czterech takich wycieczkach wszystkie były w zagrodzie i czujnie czekały na mój ruch. Czy raczej, czekały na ruch swego przywódcy, bo nie miałam wątpliwości, że to kogut wiedzie prym w tym towarzystwie.

Czaiłam się przy samochodzie i obserwowałam brązowe ptaszysko, które bez przerwy darło się gniewnie i bezczelnie załatwiała na siedzenie samochodu. Nie pojmowałam, jakim cudem tyle tego się w nim mieści. Uznałam, że tego już za wiele, otworzyłam drzwiczki, złapałam go za szyję i szarpnęłam. Piał tak, że obudziłby umarłego, ale nie dawałam za wygraną. On też nie; wbił szpony w siedzenie i nie mogłam go wyciągnąć.

- No dawaj, draniu, wylaż! - syknęłam wściekle, zdecydowana nie ustąpić.

- Czy mogę pomóc? - odezwał się ktoś za mną. Odwróciłam głowę: Lorenzo Pirata. U jego stóp siedział paskudny biały pies i łakomie zerkał na mojego koguta.

- Nie mogę spokojnie patrzeć, gdy kobieta mocuje się z kogutem - dodał rozbawiony. - A zwłaszcza gdy przegrywa.

Miał na sobie niebieskie szorty, białą lnianą koszulę i miękkie skórzane mokasyny; wyglądał jak z włoskiej reklamy: Jak dojrzały mężczyźni ubierają się latem. A ja byłam spocona, brudna, oblepiona piórami i kurzymi odchodami.

Wzięłam się w garść. Ten człowiek zabronił swoim dzieciom ze mną rozmawiać. Jutro idę do niego na lunch, mamy omówić sprawę mojego domu. Nie ufałam mu za grosz.

- Dziękuję bardzo, poradzę sobie - odparłam wyniośle, starając się wyglądać na tyle godnie, na ile to możliwe podczas walki z kogutem.

- Musi go pani złapać za skrzydła - powiedział Lorenzo. Odsunął mnie na bok, otworzył szerzej drzwiczki i szybko złapał koguta za skrzydła.

- To źródło jego siły - wyjaśnił i wyjął nagle spokojnego ptaka z samochodu.

- Teraz wie, że został pokonany. Gdzie mam go pani zanieść?

Wskazałam schody.

- Przygotowałam dla kur zagrodę za domem.

Zbiegł scalatinella, pies deptał mu po piętach, a ja zamykałam pochód z paczką ziarna. Szybko otworzyłam furtkę. Lorenzo wyjął scyzoryk z kieszeni, przeciął sznurek krepujący koguta i wrzucił go do zagrody. Zagniewane ptaszysko, strosząc pióra, uciekło w najdalszy kraniec.

- Będzie pani miała z nim kłopoty - stwierdził Lorenzo Pirata, przyglądając się mojej trzódce.

- Swoją drogą, co panią podkusiło, żeby kupić akurat rasę Rhode Island? Zdziwiona spojrzałam na moje stadko. Dla mnie to tylko kury.

- Nie mam pojęcia - przyznałam. - Chciałam tylko mieć świeże jajka.

- O wiele prościej jest je kupować na rynku - zauważył rozbawiony.

- Będzie im potrzebny kurnik, choć najlepiej, żeby chodziły, gdzie chcą.

- Mam tu dla nich karmę - poklepałam worek. Nie wierzyłam własnym uszom: rozmawiam z Lorenzem Pirata jak gdyby nigdy nic.

Tym razem roześmiał się na całe gardło.

- Umberto sprzedał pani żywność dla papug? - Pokręcił głową. - Proszę się nie martwić, przyślę do pani kogoś z karmą dla kur. Chyba nie chce ich pani wykończyć, zanim zniosą pierwsze jajka.

- No, nie. - Poczerwieniałam. Cała ta zabawa w samowystarczalność okazała się trudniejsza, niż sądziłam. - Dziękuję.

Stał z rękami splecionymi na piersi i przyglądał mi się. Nerwowo strzepnęłam pióro z policzka.

- Dziwię się, że pan mi pomógł, signor Pirata - powiedziałam. - Przecież zabronił pan córce rozmawiać ze mną.

Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie bez słowa. Zauważyłam, jak intensywnie niebieskie są jego oczy. Był wysoki, silny, potężny. Bardzo przystojny. Zapewne doskonale o tym wiedział. Pewnie kobiety uganiają się za nim tak samo, jak za jego synem.

- Przepraszam za to - odezwał się w końcu. - To był błąd. Kiwnęłam głową. Nadal nie wiedziałam, czym się kierował, prosząc dzieci, żeby ze mną nie rozmawiały.

- Cieszę się na jutrzejszy lunch - dodał. Zapewniłam, że ja też.

- Powodzenia z kurami. - Uśmiechnął się. - Zaraz przyślę kogoś z karmą.

Energicznie wbiegał do góry. Brzydki biały pies dotrzymywał mu kroku.

Nieważne, jak wygląda, ważne, jak postępuje... przypomniało mi się powiedzonko matki Jammy. Mawiała tak, kiedy wzdychałyśmy do przystojniaków z drużyny piłkarskiej. Tłumaczyłyśmy to sobie w ten sposób: ważne, żeby mieli też dobry charakter, bo jak nie, pani Mortimer już im pokaże. Żałowałam, że nie ma jej teraz przy mnie.

Zostawiłam moje stadko w posepnym milczeniu i poszłam do domu. Byłam zgrzana, brudna i zmęczona, a jeszcze musiałam posprzątać w samochodzie. Westchnęłam. A co tam. Sprzątanie może poczekać.

Usiadłam na leżaku i podziwiałam kojący błękit przede mną. Usłyszałam ryk silnika i zobaczyłam, że do zatoczki wpływa motorówka Nica. Nie spojrział w stronę domku i doszłam do wniosku, że już zapomniał o starszej kobiecie, której towarzystwo bawiło go przez kilka godzin.

I wtedy zobaczyłam małą paczuszkę na stoliku. Na pudełku widniał napis: ALBERTO E LINA, CAPRI. A w środku leżała śliczna bransoletka z koralem, która tak bardzo mi się spodobała.

Uśmiechnęłam się. Więc jednak Nico o mnie nie zapomniał.

RS

## Rozdział 35

Nie zaglądałam do pokoju Jon-Boya od tamtego wieczoru, gdy stwierdziłam, że w domku nic się nie zmieniło. Teraz, mając w perspektywie lunch z Lorenzem Pirata i konieczność omówienia pewnych spraw, pomyślałam, że rozejrzę się jeszcze raz - może znajdę jakieś dokumenty domku.

Zostawiałam otwarte okna i po zatęchłym zapachu nie było śladu. Teraz miałam wrażenie, że Jon-Boy lada moment stanie w drzwiach.

Na półkach piętrzyły się jego książki, przy oknie stało ładne, zgrabne biurko. Tym razem spokojniejsza i myśląca logicznie w jasnym świetle dnia, dostrzegłam, że to antyk, prawdopodobnie włoski, chyba z XVIII wieku, na pewno bardzo cenny. Wcześniej tego nie zauważyłam.

Na biurku poniewierał się stos papierów i kubek z napisem PAMIĄTKA z SORRENTO", a w nim kolorowe długopisy. Jon-Boy pisał innym kolorem każdego dnia tygodnia; twierdził, że dzięki temu wie, gdzie jest w powieści.

Usiadłam na jego krześle, zwykłym stołowym krześle pożyczonym z jadalni na wieczne nieoddanie. Otworzyłam najwyższą szufladę i zobaczyłam żółty blok, zapisany jego drobnym pismem. Były w niej też dwa sfatygowane słowniki i księga cytatów. I dziennik w niebieskiej skórzanej oprawie.

Przyglądałam mu się. Zapewne zawierał odpowiedzi na wszystkie nurtujące mnie pytania, ale brzydziła mnie myśl, że miałabym szperać w przeszłości ojca, a nie ma nic bardziej intymnego niż dziennik. Jednak musiałam się dowiedzieć, co się działo w miesiącach poprzedzających jego śmierć. Z poczuciem winy przeczytałam pierwszy zapis.

1 stycznia, Rzym - napisał u góry strony. - Nie spałem dwie noce. O północy padał śnieg, wielkie srebrne płatki lśniły jak kryształy, zlewały się z fajerwerkami, błyszcząły w świetle latarni, topiły się na języku, piekły jak nadmiar szampana. C. w czerwonym szyfonie, otulona futrem, z twarzą wysuniętą spomiędzy kołnierza jak lisi pyszczek. .. Spotkaliśmy się na tłoczonym przyjęciu Orlanda w Palazzo Rosati-Contini - Orlando jak zawsze wybiera to, co najlepsze, nie wyłączając kobiet. Poszedłem tam w złym humorze po kolejnej awanturze z I. na nic nie liczyłem - i ani się obejrzałem, a odprowadzałem lisicę do domu. Oboje wiedzieliśmy, co nas czeka po



spacerze przez opustoszały Rzym, i miałem nadzieję, że po dwóch bezsensownych nocach, po ciągłych awanturach i dyskusjach z I., po próbach pisania, po picciu i balowaniu stanę na wysokości zadania...

2 stycznia, 18.00. C jest niesamowita, taka piękna... uwiodła nawet mnie, znużonego pisarza, sprawiła, że poczułem się jedynym ważnym mężczyzną w jej życiu. Chciałbym, żeby to była prawda. Chyba się zakochałem. Cóż za początek nowego roku. Życie nagle nabrało kolorów.

Zamknęłam dziennik. Nie powinnam była tego czytać. Nie interesują mnie szczególnie romansów Jon-Boya. Przez chwilę zastanawiałam się niezdecydowana. W tym dzienniku jest jego życie. Muszę to przeczytać. Otworzyłam go ponownie i znalazłam ostami zapis. 30 października. Tego dnia zginął.

I tu była; wiem to. Po powrocie z Amalfitano zobaczyłem, że poprzestawiała niektóre rzeczy. Zapaliła lampę na biurku, zostawiła otwartą szufladę, uchylone drzwi szafy. Nie tknęła czerwonej sukni C, ale na pewno ją widziała. Kto wie, do jakich doszła wniosków? Chyba powinienem zamykać drzwi na klucz, ale nikt tego tu nie robi, zresztą nie chcę jej wyrzucać. Przekonałem się na własnej skórze, że miłość nigdy nie umiera, poza tym nadal mi na niej zależy, choć szaleję za C. Może jedyna bezinteresowna, prawdziwa miłość to ta, którą obdarzamy nasze dzieci. Nie wolno mi o tym zapomnieć. Może na Boże Narodzenie polecę do Chicago i zrobię niespodziankę Lamour, największej miłości mojego życia. To mnie poświęcił ostatnie słowa. Oparłam głowę na blacie, zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie mojego ojca, jak tu siedzi i to pisze. - Ja też cię kocham, Jon-Boy - szepnęłam

Odłożyłam dziennik do szuflady i zamknęłam ją na klucz. Nie mogłabym węszyć dalej; to nie w porządku. Podeszłam do szafy, wyjęłam czerwoną szyfonową suknię, przyłożyłam do siebie. Pachniała perfumami, ale nie mogłam rozpoznać zapachu. W miękkim rąbku była ręcznie wyszywana metka: Giorgio Vivari. Ten projektant, którego spotkałam w Rzymie; zachwycił się moją stopą! Pomyślałam, że C. była nie tylko piękna i seksowna; ale także droga. Zdecydowanie za droga jak na warunki finansowe Jon-Boya - pieniądze za pierwszą książkę roztrwonił równie szybko, jak je zdobył.

Nigdy nie wiedziałam, na co właściwie je wydał. Wynajął w Rzymie elegancki apartament w palazzo, na jaki nie było nas stać w czasach, gdy z nim tam mieszkałam. No i oczywiście kupił ten domek, tę oazę spokoju, w której zamierzał pisać następne dzieła. Ciekawe, czy C. położyła kres tym planom? A może I.? O niej wiedziałam jeszcze mniej, domyślałam się jednak, że to wzgardzona kochanka, a zazdrość popycha kobiety do różnych czynów, o czym wszyscy wiemy.

Czyż i mnie nie ogarnęła zazdrość, gdy Jammy powiedziała o zdradzie Aleksa? I to już po jego śmierci? Doznałam upokorzenia kobiety zdradzonej, porzuconej. Wiem, co to gniew. Ciekawe, jak zareagowałabym, gdyby Alex żył?

Nie zabiłabym go, to pewne. Prędzej chciałabym sama skoczyć z balkonu. „Porażka” to gorzkie słowo, zwłaszcza w miłości. Ostry dzwonek telefonu wyrwał mnie z zadumy. Pobiegłam do sypialni i podniosłam słuchawkę.

- Gdzie byłaś? - Głos Jammy od razu poprawił mi humor.

- W przeszłości. Czytałam dziennik Jon-Boya.

- Nie należy czytać cudzych dzienników.

- Wiem. I uwierz mi, mam wyrzuty sumienia, ale pomyślałam, że może znajdę tam jakąś wskazówkę...

- I znalazłaś?

- Dowiedziałam się tylko, że w jego życiu była kobieta, bardzo piękna, seksowna i droga...

- W takim razie trafiła kosa na kamień.

- Tak, ale była też inna, którą zostawił, i chyba zżerała ją zazdrość. Jammy westchnęła i zrozumiałam, że ma już dosyć przeszłości Jon-Boya.

- A co u ciebie? - zapytała. - Jak twoje życie erotyczne wśród tylu pięknych Włochów?

- Mówisz o rodzinie Pirata? - domyśliłam się. - Z jednym byłam wczoraj na Capri, a drugi zaprosił mnie jutro na lunch.

- Capri? Cudownie. Opowiadaj po kolei.

Opowiedziałam jej więc o dniu z Nikiem, o tym, jaki jest czarujący, jaki z niego miły towarzysz, wspomniałam o bransoletce.

- Ale... - zakończyłam. Jammy się roześmiała.

- Z mężczyznami zawsze jest jakieś „ale”. Jeszcze tego nie wiesz? A ten drugi Pirata? Ten malarz, który zabronił dzieciom z tobą rozmawiać?

Opowiedziałam o kurach i o tym, jak Lorenzo pospieszył mi z pomocą.

- Przeprosił, że zabronił dzieciom ze mną rozmawiać. Spodobało mi się, że potrafi się przyznać do błędu. No wiesz, człowiek o jego pozycji mógł po prostu kazać mi się nie wtrącać i nie wtykać nosa w sprawy rodziny Pirata.

- Owszem, mógł. - Jammy się zamyśliła. - Ciekawe, o co mu chodzi? Powiedziałam, że zaprosił mnie na lunch, żeby omówić sprawę domku.

- No, to wyszło szydło z worka - stwierdziła. - Jak myślisz, czego chce? Przyznałam, że choć bardzo mi się to nie podoba, prawdopodobnie będzie chciał go ode mnie odkupić, żebym na zawsze zesłała mu z oczu.

- Możesz wrócić do domu - podsunęła Jammy z nadzieją. Roześmiałam się.

Zapytałam o Matta i studentkę i obiecałam, że zadzwonię zaraz po lunchu i opowiem jej wszystko ze szczegółami. Na dole zastałam mężczyznę - stał w progu.

- Signor Pirata przysłała karmę dla kur, signora - wyjaśnił grzecznie. Wniósł mi do kuchni dwie spore paczki. Podziękowałam mu i wręczyłam napiwek. Uprzejmie uchylił czapkę i odszedł.

Otworzyłam worek, nabrałam ziarna do miski i pobiegłam do kur. Siedziały w rzędki przy siatce, nadąsane. Ledwie otworzyłam furtkę, kogut ruszył do ataku. Cisnęłam ziarno, cofnęłam się, nalałam wody do miski, wstawiłam ją szybko, zamknęłam furtkę i uciekłam. Kury rzuciły się na karmę.

Może po prostu były głodne, pomyślałam. Najedzą się i będą zadowolone, uwiją sobie gniazda i zabrają się do pracy.

Wróciłam na taras. Koronowa bransoletka nadal leżała na stole. Włożyłam ją, kręciłam nadgarstkiem i myślałam o Nicu. Powiedział, że mi ona pasuje; ale oczywiście nie mogę przyjąć takiego prezentu. Wypiszę czek i pošlę do castello. W głębi ducha jednak byłam zachwycona. Nico Pirata mi się podoba, a ja jemu. Żeby każdy romans choćby tylko na tym się opierał.

## Rozdział 36

Starannie się ubrałam na spotkanie w interesach z Lorenzem Pirata, bo miałam świadomość, że właśnie tym jest lunch w castello. Nie pochlebiałam sobie, ludząc się, że uwiodły go moje wdzięki. Ten pirat pływał na znacznie szerszych wodach niż jego przodkowie i był poza moim zasięgiem.

Włożyłam spódnicę, którą kupiłam z Jammy w Rzymie, choć zazwyczaj noszę spodnie. Zachwycił mnie jej kolor, soczysta zieleń młodego jabłka. Do niej koszulkę i malinowe sandały z Amalfi. Wyglądałam jak lody owocowe, ale było za późno, żeby się przebierać. Upięłam niesforne włosy w kok, bo ta fryzura dodawała mi powagi, włożyłam złote kolczyki, spryskałam się kwiatowymi perfumami od Jo Malone. Już wcześniej się umalowałam, delikatnie jak zwykle: tylko róż, puder, tusz do rzęs. Zastanowiło mnie, czemu zadaję sobie tyle trudu dla mężczyzny, który nawet mnie nie lubi.

Byłam już przy drzwiach, gdy przypomniałam sobie o bransoletce. Zawróciłam i włożyłam ją. Przecież pirat nie wie, że dostałam ją od jego syna.

Mifune czekał na tarasie, miał mi towarzyszyć w drodze do castello. Szłam tak wolno jak on.

Zapewniłam, że nie mogę się doczekać, kiedy ponownie zobaczę jego ogrody.

- Przykro mi, że nie pokazałem ci ich do tej pory, cara - powiedział.
- Ale nie są moje i nie mogłem cię zaprosić bez pozwolenia.

Przyglądałam mu się zdumiona.

- Chcesz powiedzieć, że zabroniono ci pokazać mi ogrody?

- Nie zabroniono, Lamour. Usłyszałem tylko, że to byłoby niewłaściwe. W moich uszach zabrzmiało to jak zakaz, tyle że wyrażony na sposób

rodziny Pirata. Oburzona, szłam alejką ocienioną cedrami, przez gaj oliwny, dzięki któremu rodzina Pirata ma własną oliwę, sprzedawaną także w Rzymie i Londynie. Zatrzymaliśmy się na chwilę i podziwialiśmy wdzięczny łuk drewnianego mostka nad stawem z karpiami. Pomarańczowe ryby wyglądały z wody - a może dostaną coś do jedzenia?

Tak dokładnie pamiętałam te ogrody, że mogłabym naszkicować ich mapę, ale nie przyszłam tu dla przyjemności. Szłam coraz szybciej ścieżką

wysadzaną ziołami. Niedaleko domu dostrzegłam helikopter. Rodzina Pirata musi być naprawdę bogata, skoro stać ją na takie zabawki. Mifune odprowadził mnie do szerokich kamiennych schodów.

- Nie bierz sobie do serca wszystkiego, co dzisiaj usłyszysz - poradził spokojnie. Nie wszystko jest takim, jakim się wydaje.

Odszedł, a ja zastanawiałam się nerwowo, co do licha miał na myśli.

Lokaj w białej marynarce otworzył ciężkie drzwi. Przedstawił się, miał na imię Massimo.

Przywitałam się i weszłam do twierdzy klanu Pirata.

Rozejrzałam się po przestronnym holu w pięknym odcieniu ochry, który widuje się na starych freskach. Na jasnoniebieskim suficie wśród chmur unosiły się cherubinki, na ścianach wisiały złożone kinkiety, pewnie na sto świec. Podłoga wyłożona była biało-czarnym marmurem. Alabastrowe schody wznosiły się po obu stronach holu i spotykały na galerijce pośrodku.

Zamarłam z podziwu, gdy w ślad za Massimem przeszłam przez podwójne drzwi do eleganckiego salonu. Był równie przestronny jak hol, w wysokich oknach wisiały jedwabne zasłony, i sprawiał wrażenie, jakby rzadko kogoś gościł.

- Witam w Castello Pirata, signora Harrington - odezwał się Lorenzo Pirata za moimi plecami.

Odwrociłam się zaskoczona. Wyciągnął rękę - podałam mu swoją, bo nauczono mnie, że trzeba być uprzejmym wobec każdego, przyjaciela czy wroga. Był jak zwykle nieskazitelnie ubrany. I te jego intensywnie błękitne oczy, ta srebrna czupryna. Wyglądał jak lew. To silny mężczyzna i trudny wróg. Paskudny biały pies siedział obok niego. Nie podszedł do mnie się przywitać.

- Ma pan bardzo piękny dom, signor Pirata - powiedziałam. Skinął głową.

- Dziękuję, choć to nie moja zasługa. Castello zbudowali moi przodkowie, miałem jedynie szczęście je odziedziczyć. Moja żona urządziła ten salon i, według mnie, spisała się znakomicie.

No tak, że też wcześniej nie pomyślałam; na pewno ma żonę. Od razu sobie wyobraziłam blond piękność, która w tej chwili puszcza jego majątek.

- Znakomicie - potwierdziłam. Przyglądałam się kanapom obitym brokatem, jedwabnym dywanom, złotym lampom i stolikom, na których stały

piękne drobiazgi. Ten pokój nie pasował do Lorenza, którego zobaczyłam po raz pierwszy, do mężczyzny w szortach poplamionych farbą.

- Czego się pani napije? - zapytał idealny gospodarz. - Szampana? A ja, idealny gość, odparłam:

- Bardzo chętnie. - Szampan to trunek na specjalne okazje - dodałam nerwowo, żeby zapelnąć ciszę, a współczesny pirat z uśmiechem przyznał mi rację.

Przycupnęłam na krześle wyściełanym złotym brokatem, on wybrał kanapę.

- Jak kury? - zapytał.

- O Boże, zapomniałam panu podziękować za karmę! - zawołałam, targana wyrzutami sumienia. - Żyją tylko dzięki panu, bo nie otrułam ich karmą dla papug! Chyba wszystko w porządku, tak sędzę. W każdym razie już tak bardzo nie protestują. Niestety jeszcze się nie odważyłam do nich wejść. Panicznie boję się koguta.

Roześmiał się i zauważyłam, jak w kącikach oczu robią mu się zmarszczki. Kiedy się śmiał, wyglądał zupełnie inaczej, był bardziej przystępny. Zapewne jest fascynującym mężczyzną, choć ja się o tym nigdy nie przekonam.

- Miły psiak - zauważyłam, kiedy suka do mnie podeszła. - Jak się wabi? Lorenzo się roześmiał.

- Och, proszę się nie krępować: to najbrzydszy pies, jakiego pani widziała, prawda? Wabi się Affare, to po włosku „okazja”, bo nie dałem za nią ani grosza i to najlepsza okazja, jaka mi się w życiu trafiła. Oczywiście jeśli pominąć rachunki od weterynarza za postawienie jej na nogi. Znalazłem ją na ulicy, niedaleko biura. Chyba potrącił ją samochód, bo chudzina leżała zakrwawiona, z połamanymi żebrami i łapą. Nikt nie chciał takiego brzydactwa. Spojrzała na mnie, ja na nią... - Wzruszył ramionami.

- Co miałem zrobić? Była moja.

- A pan jej - dokończyłam.

Nie spodziewałam się, że wzruszy mnie ta opowieść. Jeszcze raz spojrzałam na Affare. Siedziała u stóp swojego pana, węszyła długim białym nosem, kikut ogona spokojnie leżał na ziemi. Miała najmniejsze ślepia, jakie w życiu widziałam u psa, długi pysk, szorstką białą sierść i krótkie łapy.

Nielatwo doszukać się w niej piękna, ale Lorenzo Pirata dostrzegł chyba piękno psiego serca.

- Perdona, signore, podano do stołu - odezwał się Massimo od drzwi. Przeszliśmy do jadalni, niemal równie obszernej jak salon - jasnożłota,

kominki z rzeźbionego zielonego marmuru, wysokie okna i drzwi na taras. Ogromny taras, strzeżony przez egipskie sfinksy, wpatrzone w morze. Przy długim stole było miejsce dla najmniej dwudziestu osób i nasze dwa nakrycia na jednym końcu wyglądały dość samotnie.

Lorenzo odsunął mi krzesło i usiadłam.

- Czuję się tu jak w Pałacu Buckingham - wyrwało mi się i poczułam się jak głupiotka ośmiolatka, a nie współczesna kobieta światowa, za jaką się uważałam.

Pirat jednak się uśmiechnął i odparł, że Pałac Buckingham jest z pewnością o wiele bardziej imponujący, zresztą rodzina rzadko korzysta z tych pomieszczeń poza świętami i hucznymi przyjęciami. Pomyślał, że chciałabym je zobaczyć.

- Dziękuję - odparłam. - Jestem pod wrażeniem. Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego, a co dopiero mówić o jedzeniu.

Massimo podał małe ravioli z krabami w sosie maślanym. Były pyszne i powiedziałam to na głos. Rozkoszowałam się jedzeniem mimo zdenerwowania.

- Cieszę się, że docenia pani uroki dobrej kuchni - stwierdził pirat. -Choć trudno się tego domyślić, patrząc na panią.

- Sugeruje pan, że jestem za chuda? - oburzyłam się i zaraz tego pożałowałam, ale on się roześmiał.

- Jest pani piękna, Lamour Harrington - powiedział i zupełnie zbił mnie z tropu. Spodziewałam się po nim wszystkiego, ale nie tego.

Jakimś cudem wzięłam się w garść.

- Mój ojciec zawsze mi to powtarzał, ale nigdy mu nie wierzyłam, sądziłam, że przemawia przez niego ojcowskie uczucie.

- Ojcowie zawsze widzą piękno w córkach - zgodził się. Przypomniała mi się Aurora i zauważyłam, że jego córka naprawdę jest piękna.

- Szkoda tylko, że sama o tym nie wie - skomentował, gdy pokojówka w jasnoniebieskiej sukience i białym fartuszku przyszła po talerze.

- Mówi pan jak typowy ojciec. - Uśmiechnęłam się. - Nigdy nie chcę oddać córki innemu.

- To prawda. - Dolał mi wina. Massimo przyniósł kolejne danie: smakowite małże w białym winie i czosnku, z szalotką.

- Pycha - zachwyciłam się. Straciłam nad sobą kontrolę. Pociągnęłam kolejny łyk wina. Bawiłam się coraz lepiej. Znad brzegu pucharu spojrzałam piratowi w oczy. Uśmiechał się.

Dopijałam trzeci kieliszek i już się nie denerwowałam. Przysunęłam się bliżej, podparłam na łokciu.

- Co pana tak bawi? - zapytałam, widząc błysk w jego oczach.

- Nigdy nie znałem kogoś takiego jak pani.

Uniosłam brew.

- Mężczyzny, kobiety czy dziecka?

- Och, zdecydowanie kobiety. - Tym razem roześmiał się głośno.

Pokojówka zabrała talerze, a Massimo podał sałatkę i na drewnianej, otoczonej srebrną ramą, desce sery. Zachowałam dość rozsądku, by podziękować za kolejną lampkę wina, choć czułam, że chyba już za późno. Byłam na siebie zła, że straciłam nad sobą kontrolę, a przecież jeszcze nawet nie przeszliśmy do interesów. Nie chciałam już jeść serów.

- Może wypijemy kawę na tarasie? - zaproponował. - Chciałbym pokazać pani widok.

Na tarasie zmieściłoby się kilka moich domków. Otaczał od przodu całe castello, w cieniu pergoli oplecionych jaśminem, bugenwillą i powojem. Wąski płytki basen ciągnął się wzdłuż krawędzi, odbijał niebo, a z wody łukami tryskały strumienie. Pomyślałam o słynnych fontannach Alhambry w hiszpańskich ogrodach Granady. Pod pasiastymi markizami ustawiono wygodne fotele i stoliki, a na nich leżały książki i różne gry. Dostrzegłam piękną szachownicę i planszę do tryktraka. Architekt krajobrazu we mnie zachwycił się swobodą, naturalną mimo przytłaczającej urody budynku. Taras był jak salon pod gołym niebem i na pewno rodzina Pirata spędzała tu mnóstwo czasu.

Oparłam się o balustradę i podziwiałam zatokę Salerno, zielone wybrzeże i morze koloru akwamaryny, przechodzące w lazurowe niebo.



- Ma się ochotę tego dotknąć - stwierdziłam z uśmiechem, gdy Lorenzo stanął koło mnie. - Żeby się upewnić, że to nie malowane tło.

- Nawet Hollywood nie wymyślił nic takiego - przyznał, ale patrzył na mnie, nie na zatokę.

- A sfinksy? Co zrobili pana przodkowie? Wysłali kogoś do Egiptu? Roześmiał się i przyznał, że o ile mu wiadomo, sfinksy rzeczywiście przybyły z Egiptu, kupił je jego pradziad na długo przed modą na antyki.

- W archiwach jest rachunek - opowiadał. - Nie pamiętam, na jaką sumę, ale z całą pewnością zapłacił za nie mniej, niż były wtedy warte. W pewnym sensie więc jest to piracki łup.

Massimo nalał nam kawy, podnieśliśmy filiżanki i sączyliśmy gorący napój, nadal wpatrzeni w zatokę, w której mój ojciec utonął podczas burzy. Teraz nie wiał nawet najłżejszy wiatr, morze lśniło jak tafla błękitnego szkła.

- Nigdy nie widziałam tu burzy - zauważyłam. - Jaka jest? Wzruszył ramionami.

- Bardzo włoska. Dramatyczna i gwałtowna: grzmoty, pioruny, zawrośnięcie wiatru, który wrywa drzewa z korzeniami, zrywa dachy, sieje zniszczenie. Na szczęście zdarzają się rzadko, zazwyczaj tylko zimą.

Patrzyłam na zatokę, ale czułam na sobie jego wzrok.

- Mój ojciec zginął podczas takiej burzy - powiedziałam.

- Pamiętam. To był wielki sztorm, i wyjątkowo wcześnie.

- Znał pan mojego ojca? Skinął głową.

- Znałem Jon-Boya. Mieliśmy umowę dotyczącą domku.

- No właśnie, domku - mruknęłam. Przypomniałam sobie, że przecież dlatego tu jestem.

- Moja żona też go znała - ciągnął. - Bardzo jej się podobała jego powieść. Pamiętam, jak powiedziała, że to okno do duszy mężczyzny.

- Miała rację. - Spojrzałam na niego i pomyślałam, że w innych okolicznościach mogłabym się nim zainteresować. Zapragnęłabym poznać go lepiej, dowiedzieć się, co się kryje pod elegancką powłoką. Przekonać się, czy drzemią w nim burze i wulkany, czy może na zewnątrz jest chłodny i opanowany. Patrząc mu w oczy, gubiłam się w domysłach. Z nieznaných powodów, nawet myśląc, że to mój wróg, chciałam uwierzyć, że ogląda i

wdzięk to tylko powłoka, w głębi kryje się prawdziwy Lorenzo, który najbardziej lubi malować stare łodzie w towarzystwie brzydkiej suki.

- Chciałabym poznać pana żonę - powiedziałam.

- Marella zmarła siedemnaście lat temu. Aurora miała wtedy trzy lata. Powinnam była ugryźć się w język.

- Bardzo mi przykro.

- Nie mogła pani wiedzieć - odparł spokojnie. - A Jon-Boy jest rzeczywiście tylko jednym z powodów, dla których panią zaprosiłem.

- Tylko jednym? - zapytałam drwiąco, bo wiedziałam, że jego uprzejmość to osłoda przed strzałem z grubej rury. Zaraz zaproponuje mi, że odkupi domek.

- Jedynym z dwóch - uściślił. - Pierwszy to chęć lepszego poznania kobiety, która zdecydowała się hodować kury i w której towarzystwie świetnie się bawiłem. Drugi jest poważniejszy, jak się obawiam.

- Ja też się obawiam - przyznałam. - Nie mam pojęcia, co pan powie, ale domyślałam się, że nie będzie to nic przyjemnego.

Rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Nie mam wyboru. Co prawda nie jest to koniec świata - dodał oschle. Nagle stał się zupełnie inny niż jeszcze przed chwilą. - Lamour, z przykrością stwierdzam, że popełniła pani poważny błąd, wracając do Amalfi. Oczywiście, rozumiem, że chciała pani zobaczyć miejsca znane sobie z dzieciństwa, gdzie czuła się pani szczęśliwa z ojcem. I dlatego pozwoliłem pani tu zostać. Do tej chwili. Podniosłam ręce.

- Chwileczkę! Co to znaczy: pozwolił mi pan tu zostać? Jakim prawem pan tak mówi? Domek należał do mojego ojca, więc teraz jest mój.

Staliśmy twarzą w twarz.

- Przykro mi, Lamour, ale domek nie należał do Jon-Boya. Wynajmował go od rodziny Pirata. Umowa wygasła z jego śmiercią.

Nogi ugięły się pod mną, osunęłam się na krzesło. Domek, który uważałam za mój prawdziwy dom, nie był mój. Ale przecież Jon-Boy mówił, że jest nasz, że zostanie nasz na zawsze. Czy Lorenzo Pirata chce mnie oszukać? Pozbawić należnego dziedzictwa? Jeśli tak, dlaczego?

- Najlepiej niech pani wraca do Chicago, do swojego życia - ciągnął.

-Samotna cudzoziemka nie ma co robić w Amalfi.

Zerwałam się na równe nogi, nagle wściekła. Za kogo on się, do cholery, uważa, że mi mówi, co mam robić, jakbym była głupiotką kobietką? Jakim prawem każe mi wracać do Chicago? Niech go piekło pochłonie! Tu chodzi o coś więcej.

- Chce pan, żebym stąd wyjechała - stwierdziłam najspokojniej, jak umiałam. - A ja chcę wiedzieć dlaczego? Jaki skrywa pan sekret? Czy to ma związek ze śmiercią mojego ojca? Człowieka, który nie znosił wody, bał się łodzi, nigdy nie wypływał w morze? I niby to samotnie popłynął w czasie sztormu? O to chodzi, signor Pirata? Miał pan z tym coś wspólnego? A może to sobie wszystko tylko wyobrażam, jak to my, kobiety mamy w zwyczaju?

Affare wstała i warknęła cicho.

- Bardzo mi przykro, Lamour - powiedział. - Ale takie są fakty.

- Mówi mi pan tylko tyle, ile chce - burknęłam. - Ale ja coś panu powiem, signor Pirata. Nigdzie się nie wybieram. Zostanę tutaj. I nie obchodzi mnie, ile dokumentów podsunie mi pan pod nos.

Wbiegłam z tarasu do domu, czując na sobie jego wzrok. Przy drzwiach się odwróciłam. Stał w tym samym miejscu przy balustradzie.

- Dziękuję za wspaiały lunch - powiedziałam, uprzejma do końca. Pani Mortimer byłaby ze mnie dumna.

## Rozdział 37

Zdjęłam nowe sandaalki i zbiegłam scalatinella najszybciej, jak mogłam. Od tej pory będę chodziła boso, jak w dzieciństwie. Podeszwy moich stóp stwardnieją; ja też.

Wpadłam do domu, po drodze zrywając z siebie wyjściowe ciuchy. Na gorze włożyłam stare szorty i koszulkę i rozejrzałam się wokół.

To jest mój pokój, mój dom. Nikt mnie stąd nie wyrzuci. Jakby na potwierdzenie tych myśli otworzyłam puszkę brzoskwiniowej farby i zaczęłam malować.

O siódmej zrobiłam sobie przerwę i wzięłam prysznic, żeby rozmasować bolące plecy. Potem niespokojnie przechadzałam się po ogrodzie, zapamiętywałam, co trzeba zrobić, obiecywałam sobie, że dłużej nie będę z tym zwlekać i od jutra zabieram się do pracy.

Kogut zapiał - głośno jak zwykle. No tak, czas na kolację. Kury przysiadły na ziemi i patrzyły na mnie nieufnie, a kogut groźnie pofrunął do siatki. Cofnęłam się odruchowo. Naprawdę muszę mieć koguta? Nadal nie wiedziałam, czy bez koguta kury znoszą jajka, co dowodzi, jak marna była moja znajomość życia erotycznego drobiu.

Otworzyłam furtkę i nasypałam im ziarna. Kury rzuciły się na nie jak wygłodniaли więźniowie, a mnie od razu ogarnęły wyrzuty sumienia. Nie po raz pierwszy dotarło do mnie, że nie mam zielonego pojęcia o hodowli kur. Krów zresztą też nie. Ale przecież krowy są spokojne i łagodne, prawda? Może powinnam była zacząć od Daisy, a nie od tych potworów?!

Kury się uspokoiły, przynajmniej chwilowo, więc ponownie wzięłam się do malowania. Za wszelką cenę chciałam chociaż jedno doprowadzić do końca. Było już po pierwszej kiedy, obolała i brudna, odłożyłam pędzel.

W pokoju pachniało farbą. Wzięłam prysznic i zbiegłam na dół.

Stara kanapa przyjęła mnie serdecznie, jakby mnie pamiętała, i na kilka godzin świat przestał dla mnie istnieć, nie śniłam nawet o Lorenzu. Kiedy jednak się obudziłam, był pierwszym, który stanął mi przed oczami.

Zastanawiałam się, jakiej rady udzieliliby mi Jon-Boy. Nie miałam ochoty znowu zaglądać do jego dziennika, ale przecież musiałam sprawdzić, czy nie napisał czegoś o kupnie domu. Jeśli tak, gdzie jest akt kupna?

Włożyłam szlafrok, poszłam do jego pokoju i usiadłam przy ślicznym biureczku z rzeźbami zwojów i muszli. Idealnie się nadawało do nadmorskiej willi. Wyobrażałam sobie Jon-Boya, jak wynajduje je w obskurnym antykwariacie w Neapolu. Może natknął się na nie w jednej z tych niegościnnych wąskich uliczek, gdzie ponurzy wąsacze groźnie czają się w półmroku bram i czatują na nieostrożnego turystę, który zboczył z trasy. Oczywiście Jon-Boy miałby ich w nosie. Niejeden wieczór spędziliśmy, włączając się po tych bocznych uliczkach, ja z lodem w ręce i na buzi, Jon-Boy z papierosem w kąciку ust. Zaglądaliśmy do pustych bram. Pamiętam, jak kiedyś zachwyił go zakurzony kandelabr z różyczkami z żelaza.

- Idealny do twojego pokoju, tesoro - powiedział, a ja zmarszczyłam nos i stwierdziłam, że oszalał; chciałam lampę z zielonym kloszem, taką jaką miał na biurku.

- Dobra, ale pod warunkiem że wreszcie się trochę pouczysz - zgodził się nieoczekiwanie. - Nie chcemy przecież, żeby do Mortimerów wróciła dzikuska, prawda?

Moje serce przestało bić, ledwie wspomniał o powrocie, ale potem zerknął na mnie z ukosa, jak tylko on potrafił, i od razu wiedziałam, że żartuje. Na wszelki wypadek oczywiście mu to obiecałam i dostałam wymarzoną lampę. Przez kilka tygodni udawałam, że się uczę koniugacji włoskich czasowników i historii, ale zazwyczaj tylko gapiłam się rozmarzona w okno i czekałam, kiedy będę mogła iść popływać. Jon-Boy pracował przy stoliku na dole. Wtedy pisał pierwszą powieść i nie miał jeszcze tego ślicznego, zgrabnego biureczka.

Otworzyłam górną szufladę i wyjęłam dziennik. Długo siedziałam, zbierając się na odwagę, by go otworzyć. Nie wiedziałam, co tam znajdę.

Ociągałam się, przeglądałam zawartość szuflad, i trafiłam na notatki do nigdy nie napisanej powieści. A na dnie, zaskoczona, znalazłam cały gotowy rozdział. Opowiadał o dziecku i jego zdumieniu, kiedy poznaje świat, obcy świat, bo wyjeżdża za granicę. Tym dzieckiem byłam ja, a ojcem - Jon-Boy.

Opisywał siebie jako człowieka czarującego, ale nieodpowiedzialnego, nomadę, włóczykija, którego nosi z miejsca w miejsce i który wiecznie szuka inspiracji: w nowych miastach, nowych winach, nowych kobietach. Jedynym

stałym elementem jego życia jest dziecko, bez którego, jak napisał pod koniec rozdziału, jest niczym:

Nie mam tożsamości. Jestem nieudacznikiem. Należymy do naszych dzieci, nigdy nas nie puszcza, choćbyśmy wyrwali się z całej siły. I to jest prawdziwa miłość.

Odłożyłam zapisane kartki. Mężczyzna, którego uważałam za silnego i niepokonanego, który robił, co chciał, był panem świata, wyznał z głębi serca, że był niczym, tyle że nie w oczach swojej córki.

Przez długą chwilą siedziałam zamyślona. Żałowałam, że nie ma go przy mnie. Powiedziałabym mu, że wcale nie jest nieudacznikiem; ani w życiu zawodowym, ani osobistym. Powiedziałabym mu, że jest najcudowniejszym ojcem, jakiego można sobie wyobrazić, i że nie zamieniłabym pobytu w Włoszech na nic, że tamten rok zmienił moje życie.

Odłożyłam kartki do szuflady. Nie miałam siły na lekturę jego dziennika, więc zamiast czytać, pojechałam do Piraty, kupiłam U Umberta kosę i zabrałam się do pracy w ogrodzie.

Przez kolejne dni pracowałam jak opętana, jakbym chciała udowodnić sobie, i Lorenzowi, że to mój dom i że tu zostanę.

Pieliliam, kopałam, wysypywałam nawóz. Miałam ręce pokaleczone od kolców, podrapane gałęziami. Stałam po kolana w oczku wodnym pod wodospadem i wrywałam wodorosty spod kamieni. Zdjęłam z altanki śliczny powój i zmywałam z niej dziesięciolecia brudu.

Zapomniałam już, jaka jest śliczna, proporcjonalna. Nad białymi kolumnkami wznosiła się błękitna mozaikowa kopuła. Wyruszyłam do miasteczka po krzesła z kutego żelaza i malutki stolik. Ustawiłam je pod kopułą i wieczorem, podziwiając wspaniały zachód słońca, uczciłam efekty mojej pracy butelką prosecco.

Następnego dnia zrobiłam porządek z różowymi oleandrami i bugenwillami, które wdarły się na taras. Cięłam jak szalona; miałam mnóstwo nowych odcisków i byłam pokaleczona. Ale czekała mnie urocza niespodzianka.

Pod morzem kwiatów, pod splątanymi pędami na skraju tarasu stała ławeczka, wykładana kafłami z Vietri, niedaleko stąd na wybrzeżu. Była to ręczna robota. Na malowanych kafłach widniały kiście cytrusów na tle kobaltowego nieba, gaje oliwne, promienie słońca i błękitne fale zwieńczone

srebrzystymi bałwanami. Na jednym było nawet castello na wzgórzu, piracka flaga powiewała na wietrze jak zawsze, kiedy rodzina była w domu. A na innym - mój mały uroczy domek, z kopułą i łukami, ocieniony cedrami, tonący w kwiatach. Wszystko jak w rzeczywistości, nawet wodospad i kamień medytacyjny.

Ławeczka zapierała dech w piersiach, przywodziła na myśl barok bogatymi zdobieniami i zamiłowaniem do szczegółów. Przypomniałam sobie, że podobną widziałam w hotelu San Pietro, w Positano, z Jon-Boyem. Pewnie kosztowała majątek i domyśliłam się, że kupił ją, kiedy zaczęły spływać pieniądze za powieść. Bardzo mnie ucieszyło to znalezisko. Ławeczka była piękna, lecz stanowiła też dowód, że domek należał do Jon-Boya. Nawet on nie kupiłby czegoś tak drogiego do cudzego domu.

Ostrożnie przycięłam krzewy tak, żeby otaczały ławeczkę, ale jej nie zasłaniały. Starannie ją wymierzyłam - musiałam zamówić poduszki, żółte i błękitne.

Siedziałam na niej z poczuciem spełnienia. Domek był mój. Zaczęłam już pracę w ogrodzie. Pomalowałam sypialnię i zamówiłam sobie nowe łóżko. Zamówiłam także lodówkę, niedługo przyjdzie fachowiec, żeby rzucić okiem na kuchenkę. W Piracie znalazłam kominiarza - obiecał, że zajrzy do mojego komina, więc zimą będę mogła palić w kominku. Już się cieszyłam na myśl o polanach wesoło trzaskających w ogniu, podczas gdy za oknem morze rozbija się o skały.

Najważniejsze jednak, że podczas tego tygodnia w ogóle nie myślałam o Lorenzu i jego knowaniach przeciwko mnie. Żyłam własnym życiem i tak miało być.

I wtedy znowu pojawił się Nico.

## Rozdział 38

Jak się masz, cara? - Nico zwinnie zbiegał ze schodów. Akurat siedziałam na mojej pięknej ławeczce i odpoczywałam.

Nie mógł wybrać gorszego momentu. Byłam zgrzana, zmęczona, spocona. Miałam czarne obwódki za paznokciami, całe dłonie w plastrach, włosy zebrane w niechlujny kucyk. Wyglądałam, jeśli nie na sto lat, to przynajmniej na tyle, ile miałam.

- Nie wiem - odparłam zwięźle. - Nie mam nawet siły o tym myśleć.

- Biedactwo. - Przesiadł na ławeczce koło mnie, ale uparcie patrzył przed siebie. Czułam, że mi się przygląda, i odruchowo założyłam niesforne kosmyki za uszy. Złapał mnie za rękę i przyjrzał się jej uważnie.

- Co to jest?! - krzyknął. - Co ci się stało? Wzruszyłam ramionami.

- Nic szczególnego, po prostu ciężko pracuję.

- Przecież nie musisz. Mifune ma zespół ogrodników, którzy dbają o nasze ogrody. Mógł ci kogoś przysłać do najgorszej roboty. Cara, nie powinnaś sama ścinać drzew; dla pięknych kobiet są inne, ciekawsze zajęcia.

Zerknęłam na niego kątem oka. Był tak cudownie rozpuszczony, że chciało mi się śmiać.

- Pozwól mi to zorganizować - poprosił, ale pokręciłam przecząco głową i oświadczyłam, że muszę to zrobić sama.

- To mój dom, nieważne, co mówi twój ojciec, i ja się nim zajmę - stwierdziłam stanowczo.

Puścił mimo uszu słowa dotyczące ojca.

- Więc chociaż chodź dziś ze mną na kolację - kuśił. - Porozmawiamy o bransoletce.

Zmięknęłam odrobinę - był taki czarujący, choć w głębi duszy już się zastanawiałam, co chce otrzymać w rewanżu. Skarciłam się za taki cynizm, podziękowałam mu za prezent.

- Nie powinieneś być jej kupować - dodałam. - Dlatego przesłałam ci czek.

- O właśnie. Chyba ten. - Położył go na ławeczce między nami. - To był prezent. Nie odbieraj mi tej przyjemności.



Spojrzałam mu w oczy. Czy mogłabym odmówić? Zresztą właściwie dlaczego, do licha? To, że jestem w stanie wojny z ojcem, nie znaczy, że nie mogę się zabawić z synem.

- Dobrze, zjem z tobą kolację, ale pod jednym warunkiem: ja płacę. Roześmiał się na całe gardło.

- Boże, Amerykanki i ich niezależność! - krzyknął. - Cara, żaden Włoch nie przyjmie takiego warunku.

- Albo ja stawiam, albo nici z kolacji - uparłam się. Kiwnął głową.

- No, dobrze.

Zostawiłam go w ogrodzie - niech podziwia efekty mojej pracy - a sama pobiegłam się umyć i ubrać w miarę elegancko. Rozpuściłam włosy, niech wyschną na wietrze. Tym razem pojechaliśmy jaskrawoczerwonym kabrioletem Nica do Ravello.

Nico wybrał słynny hotel Palazzo Sasso. Od razu ruszył do baru, gdzie znowu okazał się stałym gościem. Ten hotel był chyba miejscem spotkań śmietanki towarzyskiej i obserwując kobiety mieniące się klejnotami, żalowałam trochę, że nie ubrałam się bardziej efektownie.

Nico witał się ze wszystkimi jak ze starymi przyjaciółmi, przedstawiał mnie i w ogóle zachowywał się bardzo właściwie. Następnie zaprowadził mnie do stolika na uboczu i zamówił szampana.

- Zawsze pijecie szampana? - zainteresowałam się.

- Jak to?

- Niedawno byłam na obiedzie u twojego ojca. Też zaproponował mi szampana.

Nico uniósł brwi i przez chwilę wydawał się zmieszany.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś - powiedział, ale wyczułam, że z trudem się powstrzymał, by nie zapytać, dlaczego byłam na obiedzie u ojca. I tak mu wyjaśniłam.

Dolał nam szampana.

- To nie moja sprawa - uciął. - Nic o tym nie wiem. - Spojrzał na mnie i dodał: - Wiem tylko, że chcę, żebyś została.

Byłam w wyborowym nastroju.

- Nie martw się, caro, nigdzie się nie wybieram - zapewniłam, aż się roześmiał.

- Podoba ci się tutaj? - zatoczył łuk ramieniem, wskazując marmurowy hol, przepiękne aranżacje kwiatów, eleganckich kelnerów, szklane windy i wodospad.

Wzruszyłam ramionami.

- Jest w porządku - stwierdziłam i oboje parsknęliśmy śmiechem. Wzięłam mnie za rękę i szepnął:

- Możesz z tego korzystać, Lamour. Weźmiemy apartament i zostaniemy tu tylko we dwoje. Obsypię cię luksusem, na jaki zasługujesz, obsypię cię płatkami róż i pocałunkami, będę się z tobą kochał...

Zaszokował mnie. Roześmiałam się.

- Dziękuję bardzo, ale nie dzisiaj, może innym razem.

- W porządku - rzucił szybko, jakby spodziewał się odmowy, jakby to była część gry. - W takim razie zapraszam cię na kolację.

Po chwili już siedzieliśmy w samochodzie i jechaliśmy do zwykłej wiejskiej knajpy, liczącej sobie ponad trzysta lat, do Cumpa Casimo.

Właściciel znał Nica, jak wszyscy, i choć w restauracji panował tłok, wyczarował dla nas stolik. Siedzieliśmy pod wysokim sklepieniem i zajadaliśmy cielecinę z cytryną i domowy makaron. Takie dania zawsze mi przypominają, dlaczego tak bardzo pokochałam Włochy.

- Gdzie indziej można zjeść coś równie pysznego? - rozmarzyłam się i sięgnęłam po dokładkę. A Nico śmiał się z mojego apetytu, aż wstydziłam się jeść więcej.

- Jesteś bardzo pociągająca, kiedy jesz - powiedział.

- Nie przyszło mi do głowy, że jedzenie może być seksowne.

- Ależ oczywiście. Cóż bardziej zmysłowego niż jedzenie i wino? Nawet chleb, ser i butelka chianti na pikniku budzą zmysły. Carina, za bardzo przywykłaś do McDonalda i zwykłego zaspokajania głodu. Jedzenie to rozkosz dla wszystkich zmysłów.

Zrobiło mi się gorąco, kiedy spojrzałam mu w oczy. Oczarowałby każdego, kobietę, zwierzę i dziecko. Ale nie mnie, uparłam się i wróciłam do rzeczywistości.

Podjechaliśmy, tym razem, na szczęście, powoli, pod kapliczkę z moim świętym. Nico wyłączył silnik i siedzieliśmy w milczeniu, wsłuchani w szum wiatru i koncert cykad. W czerwonym kabrioletcie poczułam się jak

licealistka na randce. Nico nie spuszczał ze mnie wzroku. Ujął mnie pod brodę i odwrócił w swoją stronę. Pochylił się, zmrzążył oczy, szukał wargami moich ust. Czułam jego oddech na policzku, wdychałam cytrusowy zapach jego wody po goleniu... Osuwałam się... Osuwałam... I w ostatniej chwili wróciłam na ziemię. Położyłam mu palec na ustach.

Westchnął.

- Jesteś pełna sprzeczności, Lamour, i dobrze o tym wiesz. Wysyłasz jednoznaczne sygnały, a potem się wycofujesz. Dlaczego, carinal To tylko przyjacielski pocałunek.

- W takim razie pocałuj mnie tutaj. - Pokazałam policzek. Cmoknął mnie i oboje się roześmieliśmy.

- Świetnie się dzisiaj bawiłam, Nico - powiedziałam szczerze. Dzięki niemu zapomniałam o wszystkich zmartwieniach.

Chciał mnie odprowadzić do drzwi, ale mu nie pozwoliłam. Później się zastanawiałam, czy nie uparłam się, że pójde sama, bo bałam się, że tym razem zmięknę i ulegnę jego pocałunkom... Nie, tak było lepiej.

## Rozdział 39

Następnego ranka odzyskałam zdrowy rozsądek i doszłam do wniosku, że niewykluczone, iż Lorenzo Pirata nie kłamał i Jon-Boy nie kupił domku. Rozmyślałam nad tym, pijąc poranną kawę i obserwując flotyllą żaglówek w zatoce. W gałęziach drzew szumiał lekki wiatr.

Mam tylko jedno wyjście - muszę odkupić domek od rodziny Pirata. Powiem, że zapłacę każdą cenę. Westchnęłam. I tak wiedziałam, że Lorenzo się nie zgodzi. Nie chciał mnie tutaj i byłam pewna, że miało to coś wspólnego z Jon-Boyem. I, choć bardzo mi się to nie podobało, uznałam, że mogę się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób - z dziennika mojego ojca.

Trzeba było jeszcze kolejnej godziny i filiżanki kawy, zanim zebrałam się na odwagę, weszłam na górę, do jego pokoju, i otworzyłam szufladę z dziennikiem. Nawet wtedy nie zdobyłam się na to, by usiąść przy jego biurku, tam, gdzie pisał. Wysłałam do ogrodu z nadzieją, że słońce i wiatr rozpędzą wszelkie duchy.

Usiadłam w cienistej altance i delikatnie przesunęłam dłonią po granatowej skórce. Wyobraziłam sobie ojca, jak wybiera dziennik w eleganckim rzymskim butik. Uwielbiał kupować drogie rzeczy. Jeszcze kiedy byliśmy biedni, udzielił mi pierwszej lekcji kupowania. Wybieraliśmy wtedy podróżny budzik.

- Nieważne, co kupujesz - tłumaczył, gdy pochylaliśmy się nad szklaną gablotą u Cartiera.

- Liczy się cały ceremoniał kupowania. Widzisz, jak nas traktują? Tutaj zawsze będziesz tesoro, małym skarbem, a ja, z założenia dżentelmenem.

Chłonełam jego słowa jak zwykle i grzecznie uśmiechałam się do sprzedawcy szczerbatym uśmiechem małego skarbu. Nerwowo gryzłam koniuszek warkocza i miałam nadzieję, że Jon-Boyowi starczy pieniędzy na zegarek. Starczyło, bo go kupiliśmy, i do dzisiaj stoi na nocnym stoliku w jego sypialni, a ja nigdy nie zapomniałam pierwszej lekcji w trudnej sztuce kupowania.

Przeglądałam cienkie kartki o złożonych brzegach i zauważyłam, że po pierwszym miesiącu zapiski stały się coraz bardziej lakoniczne. Początkowo

rozwoził się nad urodą C, która zwała go z nóg, i użalał nad biedną, porzuconą I. Potem długo nie było nic i kolejny zapis, jedyny z kwietnia:

Moje życie się zmieni/o. Żyję jak we śnie, cały czas tylko czekam na telefon ukochanej. Jeśli C. nie dzwoni, jestem zrozpaczony. Jak to możliwe? Dlaczego pozwalam, żeby rządziła moim życiem? To proste. Pragnę jej. Potrzebuję. Muszę być blisko niej, patrzeć jej w oczy na przyjęciu, jak tamtego pierwszego wieczoru, kiedy odnaleźliśmy się w tłumie. Nie było wahania ani oczekiwania; po prostu wyszliśmy i razem wędrowaliśmy przez zasypany śniegiem Rzym, aż doszliśmy do jej apartamentu i łóżka, w którym mogliśmy się kochać.

Zawsze uważałem się za człowieka honoru, który nie ugania się za cudzymi żonami, ale tym razem nie miałem wyboru. To przeznaczenie; sprzeciw byłby daremny. Oczywiście C. prowadzi bujne życie towarzyskie u boku bogatego męża i nie zrezygnuje z tego, dlatego jestem skazany na czekanie, aż znajdzie dla mnie czas. Nerwowo spaceruję po mieszkaniu, wyobrażam ją sobie z innymi mężczyznami, jak ich uwodzi, flirtuje, jak to tylko ona potrafi. Nie umiem już złapać dystansu do rzeczywistości, jak wtedy, kiedy pisałem powieść, kiedy udawało mi się odizolować, zapomnieć o otaczającym świecie i zanurzyć w fikcyjnym. Nie myślę już o wykreowanych postaciach. Odeszły, podobnie jak zdrowy rozsądek.

Moja biedna I. się zamartwia. Widzę to w jej oczach, w zmarszczonym czole, w tym, jak za wszelką cenę stara się zachowywać cicho, kiedy siadam za biurkiem. Chodzi na paluszkach, jak myszka, przerażona, że obudzi kota. Bo tym teraz dla niej jestem, złym, groźnym drapieżnikiem. Czy nadal ją kocham? Od stycznia zadałem sobie to pytanie z tysiąc razy i odpowiedź brzmi: tak, chyba tak. Tulę ją i pocieszam, czasem nawet chodzimy do łóżka, ale to już koniec. Jestem bezradny wobec żywiołu, jakim jest C. Boże, miej mnie w swojej opiece, bo wkrótce będę musiał powiedzieć /., że powinniśmy się rozstać, a nie chcę jej zranić. Łatwiej będzie zachować się jak tchórz i pozwolić, by sama to zrozumiała. Niech ma szansę wyjść z tego z godnością i pierwsza zaproponować rozstanie.

C. dzwoniła, spotkamy się dzisiaj. Urządza przyjęcie dla znanego włoskiego pisarza i chce, żebym go poznał. Zapytałem dlaczego; przecież na pewno wiedziała o tym przyjęciu wcześniej, a zaprosiła mnie dopiero teraz.

Nie powiedziała, że autor zgarnął mnóstwo nagród i jest bardziej znany ode mnie, mruknęła tylko, że nie sądziła, bym miał ochotę na taką imprezę. Zresztą to przyjęcie jej męża, nie jej. Czy przyjdę? Kusila mnie obietnicami, co będzie później, więc się zgodziłem.

Mój ojciec najwyraźniej oszalał dla C, ale wątpię, żeby odwzajemniła jego uczucie. Tak sądziłam, póki nie przeczytałam notatki z następnego dnia.

C. była bardzo zazdrosna, wisała mi na ramieniu i odciągała od innych (pięknych) kobiet, chociaż jej mąż był niedaleko, czujny jak zawsze. Podejrzewam, że zdradza go nie pierwszy raz, choć temu zaprzecza. Znany włoski pisarz zbierał pochwały, a ja trzymałem się z boku, ze szklaneczką wódki w rękę, (ulubiony alkohol C. - teraz i ja go polubiłem) i spokojnie się upijałem. Było mi wstyd, że nie piszę, nie marzę, nie dążę do niczego... Zastanawiałem się, jak można to ciągnąć, wmawiałem sobie, że trzeba z tym skończyć, że jutro usiądę za biurkiem, wolny od myśli o C. skupiony na nieprzelanej jeszcze na papier powieści i nieznanym bohaterach. W pisaniu jest coś boskiego; tworzy się ludzi i sprawuje kontrolę nad ich losem. Szkoda tylko, że nie panuję nad własnym życiem.

Pod koniec, kiedy goście już wychodzili, C. odnalazła mój wzrok przez cały pokój, jak zawsze. Kiwnęła głową z uśmiechem. Zrozumiałem. Pożegnałem się, wyszedłem i pobiegłem do ciasnego mieszkanka, które wynajmuję niedaleko. Godzinę później zjawiała się przy akompaniamencie szelestu tafty, uśmiechnięta i mokra od deszczu. W radio grał Cole Porter. Jej perfumy wypełniały cały pokój. Świece migotały. Miałem ją w ramionach i niczego więcej nie pragnąłem. Liczyła się tylko C. Zamknęłam dziennik, ale założyłam go palcem, bo chciałam czytać dalej. Westchnęłam głęboko. Jon-Boy stracił głowę z miłości do C. Nie myślał logicznie. Pogubił się. Dawniej praca była dla niego najważniejsza. Pisanie stało się sensem jego życia. Bez niego był pionkiem w grze C, w jej smukłych palcach z czerwonymi paznokciami. A co z biedną I., kobietą, którą chciał usunąć ze swojego życia? Już się nie liczyła. Ważna była tylko C.

Przeglądałam kolejne strony, najczęściej puste. Jon-Boy nie był w stanie pisać nawet dziennika. Ale nie, znalazłam jeszcze jeden zapis. Z października, miesiąca, w którym zginął. Zdziwiło mnie, kiedy zobaczyłam w nim moje imię.

Gdyby nie Lamour, uznałbym, że szczęście odwróciło się ode mnie całkowicie. Ale wystarczy, że do mnie napisze albo ja do niej zadzwonię, i od razu ściska mi się serce i natychmiast się uśmiecham. Może zrobiłem błąd, zostawiając ją. Nigdy nie pytałem, jak to odebrała, myślałem, że dobrze jej u Mortimerów, którzy kochają ją jak własne dziecko. Ale nigdy do końca nie zrozumiałem, że nieważne, kto jeszcze ją kocha, ja jestem jej ojcem i moja miłość jest najważniejsza. Przed laty byliśmy tylko my dwoje przeciwko całemu światu. Uciekłem z tego świata, ale teraz tego żałuję. Dawniej życie było proste, jasne i zrozumiałe. Teraz jestem zagubiony nie mogę pisać... Doświadczam jedynie cienia tego szczęścia, które pamiętam sprzed lat, z domku w Amalfi. Może w przyszłym tygodniu, albo następnym, albo jeszcze następnym, zadzwonię do niej i powiem:

- Słuchaj, Lamour, przyjedź do mnie. Niech będzie jak dawniej, tylko my dwoje w naszym domku.

Przynajmniej na trochę, bo prędzej czy później odbierze mi ją inny mężczyzna, który uszczęśliwi ją o wiele bardziej niż jej popieprzony ojciec. I niech tak będzie. To był ostatni zapis. Wróciłam na górę i zamknęłam dziennik w szufladzie. Byłam zrozpaczona, że nigdy jednak nie zadzwonił. Jakże inaczej wyglądałoby wówczas nasze życie!

## Rozdział 40

Postanowiłam, że Mifune zanieś ode mnie liścik do Lorenza. Przeprosiłam za moje zachowanie, wyjaśniłam, że byłam zaskoczona i zdenerwowana, i wyraziłam nadzieję, że będę mogła od niego odkupić domek, w którym byłam taka szczęśliwa z ojcem. Przypomniałam sobie, że nie chce mnie widzieć w okolicy, więc dodałam, że będę musiała często jeździć do Chicago. Z zapartym tchem czekałam na odpowiedź.

Minął tydzień. Wiedziałam od Mifune, że Lorenza nie ma w castello, nie wiedziałam też Nica. Tęskniłam za nim, bo przy nim zapomniałam o problemach.

Tymczasem trwałam w zawieszeniu, ale się nie poddawałam, i żeby to sobie udowodnić, pojechałam do Sorrento i kupiłam łódź. Miała dziesięć lat, czyli tyle co nic, wmawiałam sobie, i była mała, mieściły się w niej dwie osoby i zakupy. Motor początkowo strajkował, ale w końcu zaskoczył i niemal frunęłam przez zatłoczoną marinę, aż inni żeglarze trąbili ostrzegawczo. Kazałam ją pomalować na mój ulubiony odcień niebieskiego. Nazwa, „Lady Lamour”, miała być złoto-czarna, żeby się wyróżniała z daleka.

Przekroczyłam już dawno mój skromny budżet, ale nie zapomniałam zakupowych nauk Jon-Boya i rozkoszowałam się każdą chwilą transakcji, nawet momentem zapłaty. Powtarzałam sobie, że po prostu muszę wrócić do pracy i zarobić więcej. Na razie miałam zabezpieczenie w postaci pieniędzy za apartament, co, jak liczyłam, wystarczy na kupno domku. Jeśli oczywiście Lorenzo Pirata zgodzi się go sprzedać.



## Rozdział 41

Minał kolejny tydzień, a Lorenzo wciąż się nie odzywał. Nic nie mówiłam o tym Mifune. Pracował ze mną w ogrodzie, widziałam, że mnie obserwuje i czuje to samo, co ja. Wiedział, dlaczego chcę mieć ten domek, czego tu szukam, i czerpałam pociechę ze świadomości, że pomoże mi to odnaleźć.

- Cierpliwości, cara - mówił, kiedy kręciłam się niespokojnie. - Pewnego dnia wszystko się wyjaśni. Chciałabym mieć jego pewność.

Tymczasem czekałam na nową lodówkę, pralkę i suszarkę. Dostałam za to liścik od U architetto. Potwierdzał daleko posuniętą erozję klifu, którą trzeba powstrzymać - za duże pieniądze. Trzeba również wymienić zbiornik na wodę. Niewykluczone też, że pojawią się problemy z tylną ścianą domu. Do listu załączono rachunek na astronomiczną sumę, znacznie wyższą niż kwota, którą mi podano przed inspekcją.

Do tego moje kury nadal nie zniosły nawet jednego jajka. Jadły jak szalone, a później drzemały w nowym drogim kurniku, a kogut dumnie patrolował zagrodę i co jakiś czas piał donośnie, żeby mi przypomnieć, kto tu rządzi.

Muszę je wypuścić, może wtedy zaczną się nieść, ale na myśl o kogucie na wolności traciłam cały zapał i odkładałam to na później.

Wszędzie zastój. Trwałam w zawieszeniu, póki Lorenzo nie udzieli mi odpowiedzi.

Złoty domek nadal roztaczał swój czar, a ja walczyłam, żeby trzymać fason. Aż pewnego dnia przyjechała ciężarówka z moim sprzętem AGD. Dwaj kępi dostawcy w kombinezonach pojawili się na szczycie scalatinella. Jeden taszczył pralkę, drugi suszarkę.

Przyglądałam się z niedowierzaniem, jak powoli, niczym kraby, schodzą ze stromych schodów, obejmując pudła umięśnionymi ramionami. Widziałam, jak drugi z nich nie trafia stopą na schodek, zatacza się i spada na kolebę. Ten, chcąc utrzymać równowagę, wyciąga ręce do przodu, puszcza pralkę, która leci w dół. A za nią suszarka.

Mężczyźni wstali, otrzepali się z kurzu, obejrzelili się dokładnie i zażądali plastra na skaleczenia.

- Plastra?! - wrzasnęłam, odzyskując głos, który na chwilę mi odjęło.-  
Chcecie plastra? Spójrzcie na moją pralkę! I suszarkę! Kompletnie zniszczone!

Spojrzeni na złom przy schodkach.

- Calmo, calmo, signora, wszystko się naprawi - uspokajał mnie starszy.

- Naprawi? Tę kupę złomu? O nie, muszę zadzwonić do waszego szefa.  
Wrócili na górę, a ja miotałam się nerwowo, zastanawiając się, kto za to  
wszystko zapłaci; podejrzewałam, że będę to ja. Pięć minut później  
pojawił się na szczycie scalatinella, tym razem we dwóch taszcząc lodówkę.

- Stop! Stop! - Jak wariatka wymachiwałam rękami. - Nie macie wózka  
czy czegoś takiego?

- Ah, si, si, signora. - Zatrzymali się i jeden, mrużąc coś pod nosem,  
odszedł, zostawiając kolegę z lodówką.

Zamknęłam oczy. W tym tempie wkrótce będę bankrutem.

Dostawca po chwili wrócił z małym wózkiem. Nadal mamrocząc pod  
nosem, ustawili na nim lodówkę i ruszyli w dół, krok po kroku.  
Wstrzymałam oddech. Doszli do tarasu. Odetchnęłam z ulgą. Dobrze,  
przynajmniej będę miała lodówkę. Poprowadziłam ich do drzwi i zwróciłam  
uwagę na schodki. Wchodzili już po nich, kiedy zobaczyłam, jak moja nowa  
lodówka przesuwa się w prawo. Potem w lewo. I znowu w prawo... rzuciłam  
się do niej, chcąc ją przytrzymać. Na próżno. Zsunęła się z łoskotem. Na  
moją nogę.

- Jezu! - jęknęłam z twarzą wykrzywioną bólem.

- Zobaczcie, co narobiliście.

- Perdona, signora - zauważył starszy poważnie.

- Ale to pani wina. Niepotrzebnie ją pani łąpała; mieliśmy wszystko pod  
kontrolą...

Nie było sensu się kłócić, wiedziałam, że i tak będę musiała to załatwić z  
właścicielem sklepu, w którym kupiłam sprzęt. Tymczasem lodówka  
wylądowała w kuchni. Stanęła tam, poobijana i odrapana, ale przynajmniej  
działała. Już za to byłam wdzięczna losowi.

Pożegnałam się z fachowcami i pokuśtykałam na górce, do łazienki, żeby  
zanurzyć stopę w zimnej wodzie, bo lodu oczywiście jeszcze nie miałam.

Obejrzałam bolącą nogę. W moim życiu nic, ale to nic się nie układało. I nie było tu nawet Nica, żeby mnie pocieszył.

Za to była jego siostra.

RS

## Rozdział 42

Siedziała na ławeczce przed domem, ze skrzyżowanymi nogami. Odrzuciła głowę do tyłu, oparła dłonie na malowanych kaflach. Wyglądała jak modelka. Nie mieściło mi się w głowie, że nie jest świadoma swojej urody. W każdej chwili mogłaby być na okładce „Vogue”.

Przywitałam ją uprzejmie, ale ze zdziwieniem.

W odpowiedzi mruknęła:

- Ciao.

- Dziwię się, że cię tu widzę, Auroro - zagadnęłam, bo sama najwyraźniej nie spieszyła się z wyjaśnieniem powodu swojej wizyty.

- Postanowiłam cię uprzedzić, że poproszę ojca, żeby mi dał ten dom - powiedziała szybko. Zauważyłam już, że czasami wyrzuca z siebie słowa wartkim potokiem. Sądziłam, że to oznaka zdenerwowania, ale teraz wyczułam w niej odrobinę szaleństwa. - Powiem mu, że chcę go mieć, żeby tu się wychowywały moje dzieci. Wiesz, że mi go da, Lamour. Nigdy mi niczego nie odmawia.

Wścieklałam się. Miałam po dziurki w nosie Aurory i jej ojca.

- Świetnie - warknęłam. - Więc weź też sobie pralkę i suszarkę. Leżą przy schodach, a może nie zauważyłaś? I te cholerne kury też sobie weź.

- Jakie kury? - zapytała słodko, aż zaniemówiłam.

Spojrzałam na nią podejrzliwie, ale wydawała się autentycznie zainteresowana.

- Kiedy byłam mała, hodowałam kury - wyjaśniła podekscytowana.

- Z mamą. Były białe, a kurczaczki takie słodkie! Wiem, jak się nimi opiekować.

- Wspaniale, więc nie będziesz miała z nimi kłopotów - burknęłam, niewzruszona jej nagłą słodyczą.

- Och.

Speszyła się i mimo złości zrobiło mi się jej żal. Ta mała nie mogła sama ze sobą dojść do ładu. Nie nadążałam zająć humorami. Ale i tak wiedziałam, że mnie nie lubi i nie życzy sobie mojej obecności w okolicy.

- W każdym razie na pewno się nie mylisz co do swojego ojca. Już on na pewno niczego ci nie odmówi.

Wstała, zwinnie, z takim wdziękiem, że zaparło mi dech w piersi. Powinna tańczyć w balecie, taka smukła i elegancka, a nie stać tak smutno przede mną.

- Dziękuję, że mnie wysłuchałaś - powiedziała z godnością.

Odprowadzałam ją wzrokiem, widziałam, jak się zatrzymała przy szczątkach pralki. Powoli weszła scalatinella, do castello, jak się domyślałam. Chyba już zapomniała o kurach.

A ja stwierdziłam, że moje prawo do małego domku bardziej niż kiedykolwiek stoi pod znakiem zapytania.

RS

## Rozdział 43

Nie mogłam dłużej czekać na odpowiedź Lorenza. Postanowiłam się z nim spotkać. Massimo otworzył drzwi.

- Zobaczą, czy signore jest w domu - powiedział.

Czekałam w ochrowym holu, podziwiałam obrazy, aż Massimo wrócił i poinformował mnie, że signore jest w domu. Zamiast do salonu, majordomus poprowadził mnie na taras i do kamiennej wieży.

Znalazłam się sama w pokoju o wysokich, wąskich oknach osadzonych w kamiennych murach. Wzdłuż ścian stały półki z książkami. Brzydka suka podbiegła do mnie i polizała mnie po ręce, merdając ogonem. Rozczuliłam się. Przynajmniej jeden członek rodziny Pirata nastawiony jest wobec mnie przyjaźnie.

Lorenzo zbiegł z góry.

- Proszą usiąść, Lamour - zaczął ciepło. Miał na sobie szorty poplamione farbą i czerwoną koszulką polo. Przemknęło mi przez myśl, że wygląda jak z reklamy Ralpa Laurena, jak jeden z tych bogaczy na Long Island, tam, gdzie mieszkał Wielki Gatsby. Był naprawdę przystojny.

- Wiem, dlaczego pani przyszła, Lamour - powiedział.

- Przepraszam, że nie odpowiedziałem wcześniej, ale podróżowałem służbowo, do Nowego Jorku, Paryża... - Wzruszył ramionami.

- Cieszę się, że wreszcie jestem w domu.

Usiadł w skórzanym fotelu za biurkiem, nerwowo obracał długopis w palcach.

- Dziękuję za pani ofertę - zaczął cicho. - Niestety, nie zmieniłem zdania. Nie sprzedam pani domu.

Widząc moją rozpacz, dodał:

- Bardzo mi przykro, Lamour, ale to niemożliwe. Mam nadzieję, że miło spędzi tu pani czas do wyjazdu.

Byłam idiotką, że sama postawiłam się w takiej sytuacji. Dzieliło nas niecałe pół metra. Patrzyliśmy sobie w oczy. Znowu pożałowałam, że spotkałiśmy się w takich okolicznościach, że nigdy nie poznam go bliżej.

- Nie wiem, kiedy wyjadą - odparłam. - Jeśli w ogóle. A jeżeli to czyni z nas wrogów, niech tak będzie.

Skłonił głowę na znak aprobaty. Odprowadził mnie do drzwi.

- Do widzenia, Lamour Harrington.

Wydawało mi się, że dostrzegłam smutek w jego oczach, ale zniknął tak szybko, że nie byłam pewna.

- Do widzenia - wykrztusiłam i pobiegłam do małego domku, który już do mnie nie należał.

RS

## Rozdział 44

Później tego wieczoru, sam w czterech ścianach, Lorenzo analizował wydarzenia dnia. Nie mógł zapomnieć rozpaczy na twarzy Lamour. Nie spodziewał się, że będzie taka delikatna, nie przewidział, jak bardzo można ją zranić.

Widział, jak Mifune kręci się po ogrodzie, ledwo widoczny pod słomkowym kapeluszem, nagle za dużym przy tak drobnej sylwetce. Jak zawsze Lorenzo poczuł wzruszenie na widok staruszka, który znał go lepiej niż ktokolwiek inny. Tylko Marella знаła go równie dobrze jak Mifune. Mifune wiedział o wszystkim i dlatego Lorenzo musiał z nim porozmawiać.

- Buona sera, Mifune. Usiądziesz ze mną na chwilę? Chciałbym z tobą pomówić.

Mifune przycupnął na skraju kamiennej ławy. Affare leżała koło Lorenza, czujna na każdy jego ruch.

- Powiedziałem Lamour, że nie sprzedam jej domu - zaczął Lorenzo. - Była załamana. Nie wiedziałem, że tak jej zależy.

- Lamour zaznała tam tylko szczęścia, signore - wyjaśnił Mifune.

- Ten domek wiąże się dla niej z najpiękniejszymi wspomnieniami. Było dla niej szokiem, gdy się dowiedziała, że domek nie należał do Jon-Boya, ale wierzyła, że pan go jej sprzeda. Proszę się zastanowić; czyż Jon-Boy nie mieszkałby tu nadal, gdyby żył?

Lorenzo przyznał, że tak.

- Przyznaje pan więc, że pomysł, by i ona mieszkała w domu ojca, ma sens - ciągnął Mifune.

- Obaj wiemy, dlaczego nie powinna tego robić. Ale rzeka czasu wszystko zmywa i chyba może pan ustąpić na tyle, by pozwolić jej tam zostać.

Lorenzo westchnął.

- Mifune, zawsze umiesz mnie przekonać. - Wstał i uklonił się staruszkowi. Mifune się uśmiechnął.

- To tylko logika i medytacja - odparł.

- Zawsze istnieje rozwiązanie. Trzeba pozwolić, by znalazło do nas drogę, i pojąć je, póki możemy.



- Tak zrobię - obiecał Lorenzo i z Affare u boku wrócił do castello.  
Pomyślał, że w przeciwieństwie do niego Lamour nie ma nic do ukrycia.  
Jest niewinna, szuka szczęścia. Nie może jej tego zabronić.

RS

## Rozdział 45

Po bezsennej nocy, kiedy to starałam się pogodzić z faktem, że nie zostanę właścicielką małego domku, kogut postawił mnie na nogi przeraźliwym pianiem o świcie. Wydawało mi się, że wydziera się tuż pod moim oknem.

Zerwałam się z łóżka i wyrzłam na dwór. Rzeczywiście siedział na ławeczce i dziobał bugenwillę. Jego harem kręcił się dokoła, paskudził moje nowe poduchy i gdakał radośnie.

Najwyraźniej niedokładnie zamknęłam wieczorem furtkę. Cholera, cholera, cholera! Nigdy nie dopiorę poduszek. Nie mogłam się opędzić od myśli, że teraz to i tak bez znaczenia, co mi tam też po zniszczonych sprzętach u stóp schodów.

Narzuciłam starą koszulkę i szorty i boso wyszłam przed dom. Kury spojrzały na mnie obojętnie, ale nie przestawały dziobać trawy, natomiast kogut łypnął groźnie. Nie miałam wątpliwości; wytoczył mi wojnę. Teraz albo on, albo ja.

Zignorowałam go, złapałam pierwszą z brzegu kurę za skrzydła i pobiegłam do kurnika. Ptaszyko nieźle mnie podziobało, zanim doniosłam je do zagrody. Ale, dobrze, jedna pokonana, jeszcze cztery.

Kury okazały się mądrzejsze, niż sądziłam. Rozbiegły się po całym ogrodzie. Tylko rozłoszczony kogut trwał na ławeczce, pan i władca okolicy.

Dopadłam kury numer dwa, zapędziłam ją w stronę kurnika. Wszystko szło dobrze, póki nie skoczyła w bok, a ja nie rzuciłam się za nią. Zaryłam twarzą w piach, trzymając paskudę za kostki, o ile kury w ogóle mają kostki, w każdym razie za obrzydliwe żółte łapki.

- Też cię nienawidzę! - wrzasnęłam, kiedy jak szalona tłukła skrzydłami. - Ale i tak wrócisz do zagrody, żywa czy martwa.

Ktoś się roześmiał. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak Affare pędzi w podskokach w stronę kur, a Lorenzo obserwuje mnie ze scalatinella. Jeszcze tego mi brakowało!

Lorenzo przywołał Affare; usiadła przy nim, głodnym wzrokiem spoglądając na kury.

- Trzeba nabrać wprawy w zaganianiu kur, prawda?

Z trudem wstałam, nadal ściskając zdenerwowaną kurę.

- Uciekły mi - wyjaśniłam lodowato. - Ale nie ma powodu do niepokoju, zaraz sobie z nimi poradzę. - Oczywiście było to kłamstwo, ale nie dam mu tej satysfakcji, w końcu jestem niezależna i samowystarczalna, no nie?

Lorenzo wziął ode mnie kurę; cholerne ptaszysko siedziało w jego rękach spokojnie jak baranek, jakby w życiu nie przyszło jej do głowy kogoś udziobać.

- Nawet bym jej nie zjadła - warknęłam z obrzydzeniem.

Lorenzo spojrział na mnie z uśmiechem i nagle uświadomiłam sobie, że jestem boso, nieuczczesana, nie umyta, za to oblepiona kurzymi piórami. Zawsze tak jest; spotykam go, kiedy wyglądam okropnie, choć powinnam być ucieleśnieniem chłodnej, opanowanej kobiety.

Łzy piekły mnie w oczy, ale prędzej się zabiję, niż pozwolę im popłynąć. Byłam wyczerpana przeżyciami ostatnich miesięcy, znużona i gotowa przyznać się do porażki. Nie wygram z rodziną Pirata; domek należy do nich, a przecież z nim wiążą się wszystkie moje plany. Gdyby nie Mifune, jego rady i optymizm, już dawno bym stąd wyjechała. Teraz nie miałam wyboru.

Patrzyłam, jak Lorenzo wrzuca koguta do zagrody.

- Po co pan przyszedł? - zapytałam. - Myślałam, że nie chce mnie pan więcej widzieć.

Lorenzo zagonił ostatnie kury do zagrody i zamknął furtkę.

- Przyszedłem zawrzeć pokój, Lamour - powiedział cicho.

- Jak to, pokój? Mamy się teraz przyjaźnić?

Lorenzo wyjął z kieszeni szortów plik kartek. Przyglądałam się urzędowo wyglądającym papierom. Widziałam czerwony herb i pieczęć rodziny Pirata, czaszkę i skrzyżowane piszczele. Spojrzałam na niego uważnie.

- To nowa umowa najmu - powiedział. - Domek jest pani, na tak długo, jak pani zechce.

Wstrzymałam oddech. Nie uwierzyłam mu. To żart.

- Nieprawda - wydusiłam jak dziecko, a nie wyrafinowana kobieta światowa, za którą się uważałam.

- Prawda.

Przebiegłam dokument wzrokiem. Rzeczywiście, umowa najmu, na moje nazwisko, na czas nieokreślony. Podpisana przez Lorenza, wobec świadków.

- Dlaczego? -zapytałam zdumiona.

- Robię to dla pani, ku pamięci pani ojca - odparł, nagle poważny. - Ale jest jeden warunek.

Czujnie nadstawiłam uszu; chyba nie będzie się bawił w staroświeckiego dziedzica i nie powie tego, co moim zdaniem chciał powiedzieć?

- Zje pani dziś ze mną kolację w castello - dokończył. Roześmiałam się z ulgą, że nie będzie mnie wykorzystywał.

- Bardzo chętnie. I dziękuję. Bardzo, bardzo. - Zalała mnie falą wdzięczności. W tej chwili zrobiłabym dla niego wszystko. No, prawie wszystko.

- A więc o ósmej - powiedział i odszedł w towarzystwie paskudnego psa. Zatrzymał się przy złomowisku u stóp scalatinella.

- Czy to rzeźba nowoczesna? - zapytał.

Słyszałam jego śmiech, kiedy wbiegał po schodach jak młodzieniec, którym nadal był w głębi duszy.

## Rozdział 46

Noc była miękka jak kaszmir, ozdobiony wąskim rąbkiem srebrnego księżycy i cekinami gwiazd. Ubierałam się starannie. Tym razem nie szłam na spotkanie w interesach; z wrogów staliśmy się umiarkowanymi przyjaciółmi. Byłam ciekawa, o czym będziemy rozmawiać, skoro odpadną kłótnie o domek.

Włożyłam śliczną koralową suknię, moją jedyną suknię, którą kupiłam z Jammy w Rzymie. Skóra pociemniała mi od słońca, stała się brzoskwińowa, i uznałam, że wyglądam całkiem, całkiem. Odrobina słodkich perfum Jo Malone... i gotowe.

Niosłam czerwone klapki w rękę, żeby ich nie zakurzyć, i szłam zбочem wśród drzew, piaszczystą ścieżką, oświetloną lampami w stylu art nouveau z kloszami w kształcie lilii. Rozmyślałam o mężczyźnie, z którym miałam się spotkać. Był fascynujący i przystojny, starszy i doświadczony. Znał świat i swoje w nim miejsce.

Massimo czekał przy otwartych drzwiach. Tym razem powitał mnie z szerokim uśmiechem. Lorenzo był na tarasie, z Affare u boku.

Szedł do mnie uśmiechnięty, z wyciągniętymi ramionami. Ujął moją dłoń w swoje.

- Witaj - powiedział i zajął mi głęboko w oczy.

Zatrzepotałam rękami, speszona. Zaproponował mi szampana. Podeszliśmy do balustrady i patrzyliśmy na wybrzeże, upstrzone światełkami jak brylantowa kolia. Byliśmy tylko my i miliardy cykad, kilka drzewnych żab i ptak, który zapomniał ułożyć się do snu.

- Pamiętam tę ciszę z dzieciństwa - powiedziałam. - To najcudowniejszy dźwięk na świecie.

- Dla mnie to dom - odparł.

Massimo poinformował, że podano kolację. Usiedliśmy za stołem nakrytym jasnozielonym lnianym obrusem. Pośrodku królowała piękna aranżacja pomarańczowych lilii w staroświeckim wazonie. Lorenzo nalał wina, tokańskiego barolo. Massimo podawał do stołu.

Do tego stopnia pochłonęła mnie magia otoczenia, rozgwieżdżone niebo i mężczyzna naprzeciwko mnie, że nie zwracałam uwagi na to, co jem. Sączyłam wino i uśmiechałam się do Lorenza.

- Już się kiedyś poznaliśmy - powiedział. Pytając uniosłam brwi. - Kiedy byłaś mała.

- Naprawdę? - W ogóle go nie pamiętałam.

- Wtedy jeszcze nie znałem dobrze Jon-Boya. Czasami widywałem go w wiosce, zazwyczaj w Amalfitano.

Oparłam łokcie na stole. Byłam bardzo ciekawa, co powie.

- Jak się poznaliśmy?

- To był upalny letni wieczór. Szedłem schodami do zatoki, kiedy coś na morzu przykuło moją uwagę. Początkowo myślałem że to delfin, ale zaraz się zorientowałem, że to ludzka głowa, bardzo daleko od brzegu. Spojrzałem przez lornetkę i zobaczyłem, że to dziecko. Puściłem się biegiem po schodach, wskoczyłem do motorówki...

- Srebrnej - ze śmiechem wpadłam mu w słowo. - I szybkiej jak błyskawica, zupełnie jak Superman. A obok zawsze cumowała żółta łódka z wyjmowanym silnikiem. Kiedy nikt nie widział, pożyczalam ją sobie.

- Dobrze, że nie motorówkę - rzucił sucho. Uśmiechnęłam się.

- I co dalej?

- Płynąłem do ciebie, krzychałem, co ty sobie wyobrażasz, sama w wodzie, tak daleko od brzegu.

Pamiętałam chłód wieczornego morza, pamiętałam, jak wydawałam się sobie silna, zdolna popłynąć do Piraty i z powrotem, jeśli zapagnę... Byłam królową morza...

Ale Lorenzo tak nie myślał. Opowiadał:

- Krzyczałaś, że mam dać ci spokój. Nie widzi pan, że chcę przepłynąć zatokę? - wrzeszczałaś. Uznałem, że jesteś zbyt arogancka jak na takiego małego chudzielca.

- Pokazałam ci język i wsadziłam sobie palce do uszu, pamiętam. - Roześmiałam się.

- Owszem. Byłem wściekły, złapałem cię za ramię i wciągnąłem na pokład, jak głupią rybę, za którą cię wówczas uważałem.

- Oczywiście! Teraz to sobie przypominam! - Nagle zobaczyłam go takim, jaki był wtedy: młody, przystojny, ciemnowłosy, niebieskooki.

- Pamiętam twoje oczy - mówiłam. - Myślałam, że mnie nimi zamordujesz. Nie zmieniły się ani trochę - dodałam.

- A ja pamiętam twój kostium: więcej dziur niż materiału.

- Bardzo go lubiłam - obruszyłam się. - Miałam go od lat, był już za mały, ale i tak tamtego lata wkładałam go codziennie.

- Przez dziury było widać twoje kościste pośladki - stwierdził. Jąknęłam.

- Cała moja garderoba to było kilka par szortów i koszulek i za małe sandały, więc biegałam boso. Nie wiem nawet, czy nosiłam bieliznę - dorzuciłam bez namysłu.

Lorenzo się roześmiał, a ja poczerwieniałam.

- Jon-Boy cierpiał na chroniczny brak pieniędzy - wspominałam.

- Oczywiście, jeśli jakieś zdobył, wydawał je z wielkopańskim gestem: kolacje w najlepszych rzymskich restauracjach, domek w Amalfi, wino i grappa dla wszystkich w Amalfitano. Chyba nie zawracał sobie głowy moimi ubraniami, póki mi to nie przeszkadzało. A ja nie przywiązywałam do nich wagi. W końcu nie miałam matki, która narzekałaby, że źle wyglądam.

Lorenzo skinął głową że też znał Jon-Boya.

- W każdym razie wyłowilem cię i odstawiłem na brzeg, choć cały czas protestowałaś i odgrażałaś się, że wszystko powiesz Jon-Boyowi, a on już mi pokaże. Powiedziałaś też, że cholernie dobrze pływasz i w każdej chwili pokonasz mnie w wyścigu przez zatokę.

- Teraz pamiętam, że cię zapytałam, za kogo ty się do cholery uważasz! Za pana całego świata? Nie miałam pojęcia, że naprawdę nim jesteś. - Rozejrzałam się wokół.

- Pamiętasz, jak cię ciągnąłem po molo? Miałas czerwone oczy i piach we włosach, wyglądałaś jak mała syrenka. - Śmiał się. - Oblałem cię wodą ze szlauchu. Darłaś się na całe gardło.

- Woda była lodowata!

- Wyglądałaś jak cyganiątko, chuda, opalona, wielkooka. Mały elf. - Spojrzał na mnie. - Niewiele się zmieniłaś; nadal masz w sobie coś z elfa.

Z głębokim westchnieniem odrzuciłam do tyłu włosy.

- Coś takiego, a ja liczyłam, że mam w sobie coś z Audrey Hepburn. Przynął się bliżej.

- Z niej też.

Nasze oczy lśniły w blasku świateł.

- Dlaczego wróciłaś, Lamour? Tak naprawdę? - zapytał, nagle poważny.

Nie zastanawiałam się nad odpowiedzią. Wyznałam, że sprowadził mnie tu Jon-Boy i wspomnienie beztróskiego życia, i także to, że chciałam zakosztować takiej swobody. W Chicago tłumilałam tę stronę mojej natury. A tutaj, w Amalfi, chciałam odnaleźć utraconą wolność. I szczęście.

- I znalazłaś je?

- Nadal szukam. Czasami szczęście jest nieuchwytnie, bo szukamy nie tam, gdzie trzeba - odparłam. Uśmiechnęłam się. - Chyba cytuję Mifune.

- To mądry człowiek.

- Opowiedz mi, jak poznałeś Jon-Boya - poprosiłam.

- Wolałbym porozmawiać o tobie. Kim jesteś, jaka jesteś?

- Chyba już wszystko o mnie wiesz.

- Ale tylko ty możesz mi powiedzieć prawdę o sobie, Lamour. - Był bardzo poważny. - A uwierz mi, naprawdę chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Zaden mężczyzna, nawet mój mąż, tego nie pragnął. W naszym małżeństwie zawsze najważniejszy był Alex. To ja zadawałam pytania, to ja chciałam go poznać. Nie umiałam opowiadać o sobie, nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Wiesz już, że ja i Jon-Boy... - zaczęłam, ale Lorenzo mi przerwał.

- Wiem, że kochałaś ojca, a on ciebie. Powiedz, kogo jeszcze kochałaś? Zaciśnęłam usta; nie chciałam mu mówić o Aleksie, nie chciałam, żeby wiedział, jak łatwo mnie zranić.

- To zbyt osobiste - zaprotestowałam.

- Tak, ale jesteśmy ludźmi i chcemy się zaprzyjaźnić, prawda? Wbiłam wzrok w nerwowo zaciśnięte dłonie.

- No dobrze, miałam męża - zaczęłam. - Kilka lat temu zginął w wypadku.

- Słyszałam, jak Lorenzo wstrzymuje oddech, i szybko mówiłam dalej:

- Alex był bogaty, przystojny i samolubny. Myślałam, że mnie kocha, bo ja bardzo go kochałam. Ale przez cały ten czas mnie zdradzał, chciał mnie zostawić dla innej. - Wzruszyłam ramionami, lecz świeża rana nadal bolała i



wiedziała, że to widać. - Oto kim jestem. Mam trzydzieści osiem lat i okazałam się ślepa, nie dostrzegłam, że mój mąż ma kochankę i już mnie nie chce.

Czekał, co powiem dalej.

- Przyjechałam tu między innymi po to, żeby się z tym uporać - wyznałam.  
- Widzisz, nie wiedziałam o Aleksie, póki przyjaciółka nie powiedziała mi prawdy kilka miesięcy temu.

- A dlaczego to zrobiła? Po tylu latach?

- Bo nadal go opłakiwałam. Nie umiałam bez niego żyć. Miałam tylko pracę... i... cóż, tak naprawdę nic więcej.

Wziął mnie za rękę.

- Miałaś prawo go opłakiwać. Kochałaś go przecież. To jego strata, jeśli nie był wart twojej miłości. Ale teraz jesteś w Amalfi i zaczynasz nowe życie.

Sprawił mi przyjemność dotyk jego dłoni, twardej jak dłoń robotnika, cieplej, przyjaznej.

- Tak, znowu szukam szczęścia - powiedziałam cicho. - Takiego, jakiego zasnęłam tu z ojcem.

Rozmawialiśmy do późna na tarasie oświetlonym blaskiem księżyca. Rozumiał moją potrzebę zmiany. Mądry, przystojny, silny, pociągał mnie. Ucieleśniał wszystko, czego pragnie kobieta, ale był nie dla mnie. Dla mnie zawsze pozostanie tylko przyjacielem.

- Ho, ho, co my tu mamy? Romantyczną kolacyjkę w świetle księżyca? - Drwiący głos Nica przeciął ciszę, gdy gromada eleganckich młodych ludzi wbiegła na taras. Zatrzymali się i patrzyli na nas.

Zawstydzona, wyrwałam rękę z dłoni Lorenza.

- Papo, z kim ty jesteś? - Aurora była prześliczna w turkusowej sukni i prostych sandałach, wiązanych na kostkach. Zebrała włosy w koński ogon. W jej piwnych oczach płonęła zazdrość.

- Jem kolację z przyjaciółką odparł Lorenzo spokojnie. - Lamour, pozwól, że ci przedstawię moją córkę, Aurorę. Nica chyba już znasz.

- Dobry wieczór, Auroro. Tak, znam Nica. Dziewczyna odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Jak się masz, Lamour? - Nico cmoknął mnie w policzek, jakby chciał pokazać ojcu, że łączy go ze mną więcej, niż on mógłby pomyśleć.

Odsunęłam krzesło, czując na sobie spojrzenia rozbawionej gromadki młodzieży.

- Późno już - powiedziałam.

Lorenzo wziął mnie pod rękę i odprowadził do ogrodu.

- Tylko nie zróbcie nic głupiego! - zawołał za nami Nico. Jego słowa wywołały kolejną kaskadę śmiechu.

Szybko szłam do schodów. Nie mogłam się doczekać, kiedy dotrę do domu.

- Przykro mi, że cię zdenerwowali - odezwał się Lorenzo. - To jeszcze dzieci.

- Są dorośli, nie powinni się tak zachowywać. To niegrzeczne! Zatrzymał się, ujął mnie za ramię i odwrócił w swoją stronę.

- Nico popełnił błąd. Nie powinien być tego mówić. Moja córka mylnie zinterpretowała sytuację. Jest zazdrosna.

- Nie życzy sobie, by ojciec spędzał czas z inną kobietą, nieważne, jak niewinne byłoby to spotkanie - warknęłam.

- Masz rację. Boi się, że mnie straci. Ale akurat ty powinnaś to zrozumieć.

I rzeczywiście rozumiałam. Westchnęłam. Nagle zrobiło mi się żal Aurory, która miała dopiero dwadzieścia jeden lat.

Lorenzo pieszczotliwie odgarnął mi włosy z twarzy. Był taki przystojny w blasku księżyca, taki silny. Pewnie nigdy niczego się nie boi i nigdy nie sprawi córce zawodu.

- Biedna Lamour - powiedział cicho. - Tyle przeszałaś.

- Nie potrzebuję współczucia - odparłam chłodno.

W milczeniu szliśmy do urwiska. Poniżej morze szumiało cicho, słony powiew mieszał się z zapachem ogrodu. Lorenzo wyjął z kieszeni złoty kluczyk na czarnym, jedwabnym sznurku.

- To klucz do windy - powiedział i wskazał ciemne drzwi osadzone w skale. Po obu ich stronach rosły cyprysy w białych drewnianych donicach.

- Nie chcę, żebyś spadła ze schodów - wyjaśnił - więc na przyszłość korzystaj z windy. Proszę - dodał, kiedy zaczęłam protestować. - Zrób to dla

mnie, Lamour. Te schody są naprawdę niebezpieczne po ciemku, mimo latarni.

Nagle onieśmielona, podziękowałam cicho.

Ogarnęło mnie zmęczenie. Chciałam zostać sama z moimi myślami, w moim domku.

Zanim drzwi windy się zamknęły, skłonił lekko głowę. Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, jak tamta dziewczynka, którą poznał przed laty. Kiedy był młody, niewiele starszy od Nica teraz.

RS

## Rozdział 47

Nico zjawił się następnego ranka. Popatrzył na złomowisko przy schodach i spojrzął na mnie.

- Wszystko w porządku? - zapytał z uśmiechem.
- Teraz nie - warknęłam. - Zwłaszcza odkąd tu jesteś.
- Ojej! - uniósł dłoń w proteście. - Co takiego zrobiłem?
- Sam sobie zadaj to pytanie.

Podszedł do ławeczki, ale odwróciłam głowę.

- Daj spokój, Lamour, ja tylko żartowałem. - Przykrył moją dłoń swoją; paliła mnie jak grzech.

- Upokorzyłeś mnie i okazałeś brak szacunku ojcu. - Powiedziałam mu też, że moim zdaniem jest rozpuszczonym bogatym dzieciakiem, który zawsze dostaje wszystko, czego zapragnie, i nie ma pojęcia, czym jest prawdziwe życie.

- Myślałam, że matka nauczyła cię dobrych manier - zakończyłam ze złością.

Nico westchnął.

- Nauczyła. Przepraszam. I masz rację, wstydziłaby się za nasze zachowanie, choć Aurora zawsze ma jakieś usprawiedliwienie, a ja nie. Zresztą - lekko uściśnął mi ramię - nigdy nie uważałem cię za osobę starszą ode mnie.

Spojrzałam mu w oczy i się roześmiałam.

- Jesteś nieznośny, wiesz o tym? Tak, wiedział.

Przyjęłam zaproszenie na lunch w Amalfitano.

Pomknęliśmy motorówką przez zatokę, z rozwianymi włosami, w prysznicach wody, roześmiani. Spoważniałam jednak, kiedy zobaczyłam tę samą gromadkę eleganckich młodych ludzi. Siedzieli przy kilku stolikach. A ja oczywiście miałam na sobie stare szorty i byłam mokra.

- Chyba zmieniałam zdanie - mruknęłam, ale Nico złapał mnie za ramię. Było już za późno.

- To moja przyjaciółka Lamour Harrington - przedstawił mnie. - Jest znanym architektem krajobrazu, a jej ojciec to wielki pisarz Jon-Boy Harrington, którego powieść wszyscy czytaliśmy.

Piętnaście młodych twarzy zwróciło się w moją stronę. Piętnaście młodych głosów powiedziało:

- Ciao, Lamour.

Po chwili padły pytania:

- Naprawdę jesteś jego córką?

- Czym się zajmuje architekt krajobrazu?

Ani się spostrzegłam, a siedziałam z nimi i opowiadałam o sobie i Jon-Boyu. I świetnie się bawiłam, zjadając pizzę i sałatkę w towarzystwie dwudziestolatków, choć czułam, że nie jestem jedną z nich. Zdradzał to szacunek w ich głosach i to, że to ja kierowałam rozmową.

Ale kiedy wracaliśmy do domu, nie byłam już zła na Nica. Najwyraźniej zamierzał zostać u mnie, ale powiedziałam mu, że chcę się zdrzemnąć.

- Może ze mną? - zaproponował, ale odepchnęłam go ze śmiechem. Nico Pirata miał w sobie coś magicznego. Odszedł, teatralnie zwieszając ramiona w udawanej rozpacz. Uśmiechnęłam się.

Lorenzo przyszedł do mnie sam.

## Rozdział 48

- Cieszę się, że cię widzę. Chciałabym ci podziękować za wczoraj. Było...  
- Szukałam odpowiedniego słowa. - Idealnie. - I naprawdę tak uważałam.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Zawahał się i nagle, ku mojemu zdumieniu, wydał się onieśmielony. A potem zapytał: - Czy widziałaś kiedyś ogrody przy Villa Cimbrone w Ravello?

Pomyślałam o drinku w hotelowym barze z Nikiem, ale postanowiłam mu tego nie mówić.

- Są słynne, ale nigdy ich nie widziałam.

- Może ci je pokazać? A ty zaimponujesz mi znajomością egzotycznych kwiatów i roślin.

Pochlebiał mi, ale udałam, że się zastanawiam.

- Hm, co jeszcze mam dzisiaj do roboty? - Uśmiechnęłam się do niego szeroko. - Absolutnie nic ważniejszego niż zwiedzanie ogrodów Cimbrone. Z tobą - dodałam.

- No to chodźmy.

Porwałam w biegu słomkowy kapelusz, torbę, aparat fotograficzny i szminkę. Winda nas nie skusiła, weszliśmy na górę po schodach. Podał mi rękę na ostatnich stopniach i ze śmiechem podciągnął do góry. Było nam ze sobą dobrze, jak dwójce starych przyjaciół. Oczywiście nadal mi nie powiedział, co wie o Jon-Boyu, ale zamierzałam nad tym popracować.

Jeździł kabrioletem bmw, na tyle małym, że zwinnie manewrował nim w ciasnych średniowiecznych uliczkach. Nie opuścił dachu, powiedział, że nie chce, żebym spaliła sobie skórę, i nagle poczułam się rozpieszczana. Jechał spokojnie i pewnie, nie po wariacku, jak Nico, nie ścinał zakrętów z piskiem opon. Patrzyłam na jego dłonie na kierownicy, silne złotobrazowe dłonie o długich palcach, z ciemnymi włosami tu i ówdzie. Wyobrażałam sobie te dłonie w kobiecych włosach, na plecach... Wyprostowałam się gwałtownie. O czym ja myślę! Zaczęłam nerwowo paplać o ogrodach, do których się wybieraliśmy.

- Zaprojektował je Anglik, lord Grimthorpe, na początku XIX wieku - powiedziałam. Podobno są najpiękniejsze w całych Włoszech, choć moim zdaniem ogrody w castello biją je na głowę.

- Ravello stanowiło azyl dla wielu sław. Greta Garbo schroniła się tu z dyrygentem Leopoldem Stokowskim. Jackie Kennedy zatrzymywała się prywatnie w Villa Rufolo, bywali tu słynni pisarze, Tennessee Williams, Gore Vidal... - opowiadał Lorenzo.

- I Jon-Boy Harrington? Spojrzał na mnie z ukosa.

- I Jon-Boy Harrington - przytaknął.

Wspinaliśmy się na wzgórze wąską ścieżką. Zatrzymaliśmy się przed drewnianymi drzwiami w wysokim murze. Lorenzo nacisnął dzwonek i wyszedł do nas stary portier. Przez chwilę podziwialiśmy Villę Cimbrone, piętnasto-wieczną perłę, którą odrestaurował twórca otaczających ją ogrodów. Dzisiaj był to cichy przytulny hotelik.

Zachwycałam się arkadami przy zniszczonej kapliczce, pozwalałam, by atmosfera spokoju przenikała do mojej duszy. W powietrzu trwała specyficzna cisza, która zdawała się odcinać nas od reszty świata. Impulsywnie wzięłam Lorenza za rękę, chciałam, żeby poczuł to samo co ja. Nagle zapragnęłam, żeby duchy przeszłości zmaterializowały się w tym ziemskim raj.

Ogrody Cimbrone to swobodna dzikość, okiełznana tylko częściowo, egzotyka i urok. Rosną tam pnące róże i palmy, dzikie trawy i dostojne cedry, są tam pawilony herbaciane i oczka wodne.

Powietrze pachniało jak perfumy, motyle uwijały się wśród barwnych kwiatów, kolibry spijały nektar z kielichów. Szliśmy powoli główną aleją, ocienioną drzewami, wśród fontann i rzeźb, do punktu widokowego, który zdawał się wisieć nad turkusem morza.

Zmęczona natłokiem wrażeń, oparłam głowę na ramieniu Lorenza. Objął mnie i staliśmy bez ruchu, chłonąc piękny widok, wdychając zapach kwiatów, wsłuchani w ciszę. Mijali nas inni zwiedzający, ale miałam wrażenie, że jesteśmy sami.

Ogrody Cimbrone są jak muzeum pod gołym niebem; tyle tam do zwiedzania, że mogliśmy tylko rzucić okiem. Zachwyceni, wracaliśmy w cieniu majestatycznych kasztanowców, mijaliśmy gaje cytrusowe i winnice. Człowiek, który stworzył to cudo, cieszył się nim tylko dwanaście lat i oddaliśmy mu hołd przy jego grobie. Lord Grimthorpe pochowany jest przy

świątyni Bachusa. Przemknęło mi przez myśl, że ten ogród, zawieszony między niebem a morzem, to idealne miejsce ostatniego spoczynku.

Wróciliśmy na dół stromą ścieżką i trafiliśmy na czarującą Piazza Duomo przy ViUi Rufolo. Pisał o niej Boccaccio; zbudowano ją w XIII wieku, w modnym wówczas stylu mauretańskim, który upowszechnił się wskutek handlu z Maurami i Saracenami. Górowała nad nią normańska wieża, a uroku dodawały jej tarasy i kolejny punkt widokowy na zatokę Salerno - piękne bliźniacze kopuły i stary kościółek w cieniu wielkich odwiecznych pini.

Mieliśmy szczęście - trafiliśmy na koncert muzyki kameralnej na dziedzińcu przy wieży i przez godzinę słuchaliśmy Bacha w tym magicznym otoczeniu. Po koncercie przechadzaliśmy się po sennym miasteczku.

- Podobało ci się, Lamour? - zapytał Lorenzo. Byłam tak szczęśliwa, że miałam ochotę go uściskać.

- Zachwycała mnie każda minuta. Dziękuję ci. - Roześmiałam się. Ostatnio ciągle ci za coś dziękuję. Chciałabym ci się jakoś zrewanżować.

- Zaproś mnie na kolację. - Mówił poważnie. - Byłbym bardzo rad. Upprzedziłam, że fatalnie gotuje, ale zapewnił, że to bez znaczenia.

- Lubię na ciebie patrzeć, kiedy coś cię interesuje - powiedział.

- W piątek, o siódmej. Obejrzymy zachód słońca - zdecydowałam.

- A teraz zjemy tutaj - zaproponował.

W Palazzo del Mare, nad pysznym risotto z dyni i owoców morza, przy kieliszku bellini, opowiedział mi o żonie.

- Byliśmy oboje bardzo młodzi. - Uśmiechał się do wspomnień.

- Była siostrą mojego przyjaciela. Zaprosił mnie do siebie, do domu, niedaleko Genui. Miał trzy siostry, wszystkie urocze, ale Marella była wyjątkowa. Urzekła mnie jej prostota. Nie znałem innej kobiety, która by, tak jak ona, nigdy niczego nie pożądała. Nie chciała klejnotów, ubrań, jachtów, samochodów, domów. Chciała tylko dzieci. Bardzo kochała castello i uparła się, żebyśmy pobrali się tam, a nie w domu jej rodziców. Mieliśmy te same gusta, lubiliśmy tę samą muzykę, jedzenie, psy. W pewnym sensie dorastaliśmy razem. Jestem taki, jaki jestem po trosze ze względu na nią. Marella sprawiła, że wyzbyłem się młodzieńczej dzikości. Zawsze mówię, że mnie ucywilizowała, choć ona nigdy nie była o tym do końca przekonana.

- Byłeś taki jak Nico? Uniósł brew.



- Nie, nigdy. Zakochałem się młodo i tak już zostało. Nico szaleje. Potrzebna mu kobieta, która go okiełzna. Na razie eksperymentuje, trwoni swoją inteligencję i talent. Marnuje czas. Nie pojmuje, że młodość przemija szybko, za szybko. Pora, żeby pomyślał o przyszłości, ale nie zmuszę go do tego.

- Wzruszył ramionami. - Dorosłe dzieci dokonują własnych wyborów. Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia. Byłem bardzo szczęśliwy z Marella. Nasze życie koncentrowało się wokół castello. Mieliśmy mały jacht i latem zabieraliśmy dzieci i przyjaciół na morze, na Capri, Ischię, na południe Francji.

- Uśmiechnął się smutno. - Cieszę się, że mam te wspomnienia. Zapytał mnie o moje życie i opowiedziałam mu o dzieciństwie u Mortimerów, mojej prawdziwej rodziny. Rozmawialiśmy o muzyce, pracy, jedzeniu i winie. Czas mijał nie wiadomo kiedy i nagle kelnerzy patrzyli na nas wyczekująco, chcąc zamknąć restaurację.

Wracaliśmy do Piraty w przyjaznym milczeniu. Odpowiadało mi to. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, pod wpływem impulsu dotknęłam jego twarzy.

- Dobranoc, przyjacielu - powiedziałam i lekko pocałowałam go w policzek.

Gdy zbiegałam scalatinella, słyszałam, jak woła za mną:

- Dobranoc, przyjaciółko.

Przeszył mnie dreszcz, sygnał, który mówi kobiecie, że mężczyzna jej się podoba.

O Boże, pomyślałam, czy to możliwe, że zakochałam się w nich obu?

## Rozdział 49

W piątek, dzień kolacji z Lorenzem, popłynęłam „Lady Lamour” do Amalfi. Cieszyłam się z niebieskiej łódki; choć mała i zwyczajna, była dla mnie symbolem wolności, bo, w przeciwieństwie do Jon-Boya, uwielbiałam wodę.

Kupiłam niedużego okonia morskiego od rybaków, a na targu - melona, maliny i ciasteczka, tak pyszne, że kilka zjadłam po drodze. Kupiłam też cienkie, pikantne grissini, sery, ryż i warzywa. Obładowana zakupami, wróciłam do łodzi i do domu.

Jon-Boy nigdy nie był mistrzem kuchni i niestety odziedziczyłam po nim ten brak talentu. W Stanach pracowałam zawodowo i najczęściej jadałam poza domem, nie miałam czasu na gotowanie. W kuchni znalazłam tylko dwa noże, jeden wielki i groźny, drugi mały, z ząbkowanym ostrzem. Wzięłam ten większy i zabrałam się do czyszczenia ryby. Przekroiłam ją na pół i rozłożyłam na stole. Jak przez mgłę przypominałam sobie, że tak robiła pani Mortimer. Niepewnie dotknęłam ości ostrzem noża, a potem, zniecierpliwiona, dźgnęłam mocniej, pod kręgosłupem. Ku mojemu zdumieniu, odszedł gładko. Wiedziałam, że czyszczenie ryby to brudna robota, ale zrobiłam to najlepiej, jak umiałam, oplukałam płaty pod kranem i przyjrzałam się im zadowolona. Wyglądały bardzo ładnie, jak w restauracji.

Umieściłam śliwki w salaterce, którą znalazłam w kredensie, pokroiłam melona w kostkę i polałam likierem amaretto, dorzuciłam maliny. Przysmażyłam ryż na maśle, dolałam białego wina i mieszałam razem, tak jak było w przepisie.

Podczas przerwy w mieszaniu wyszłam na taras i nakryłam do stołu; poustawiałam talerze i kieliszki - był to jeden wielki miszmasz - i napawałam oczy widokiem. Wbiegłam do kuchni i mieszałam dalej. Po raz kolejny przestudiowałam przepis. Pod koniec dodaj jeszcze odrobinę masła i świeżo stary parmezan.

Pognałam na górę, wzięłam szybki prysznic, włożyłam białą lnianą koszulę i spodnie, zebrałam włosy w koński ogon, umalowałam rzęsy i usta -

byłam gotowa. Och, zapomniałam. W ostatniej chwili spryskałam się perfumami.

Punktualnie o siódmej radosne poszczekiwanie Affare oznajmiło nadejście Lorenza. Wręczył mi ogromny bukiet różowych peonii. Już rozchyłały płatki w wieczornym upale i zapowiadało się, że będą olbrzymie. Podziękowałam i uśmiechnęliśmy się do siebie miło.

Włożyłam kwiaty do wazonu z niebieskiej porcelany, jedyne, do którego się mieściły, i postawiłam na stole. W metalowym kubelku chłodził się szampan. Jon-Boy nigdy nie przepadał za srebrem, a ja jeszcze nie miałam czasu zająć się takimi luksusowymi drobiazgami.

Lorenzo wyciągnął korek, nalał szampana do kieliszków i wznieśliśmy toast. Uśmiechnęłam się.

- Kiepska ze mnie kucharka - przypomniałam. - To nie będzie jak kolacja w castello.

Nie przejął się.

- Będzie wspaniale, bo z tobą - odparł.

Poszliśmy do altanki i podziwialiśmy zachód słońca, początkowo jaskrawy ognisty, później pastelowo-różowy.

Kiedy wróciliśmy na taras, Lorenzo usiadł, a Affare ułożyła się u jego stóp na żółtej poduszce. Wpadłam do kuchni w odpowiedniej chwili, by wyjąć rybę z pieca, zanim zupełnie się spali. No, ładnie. Jeszcze nie traciłam nadziei. Pokropiłam ją cytryną i tutejszą oliwą z oliwek. Dodałam jeszcze masła i parmezanu do risotto, ale nie wiadomo dlaczego wszystko przywarło do dna garnka. Wyłożyłam je na półmisek. Może będzie jadalne. Przyprawiłam sałatkę oliwą i octem balsamicznym, posoliłam, dodałam odrobinę pieprzu i zaniósłam moje dzieła na taras.

Lorenzo roześmiał się, widząc mnie, zdyszaną i zgrzaną, przejętą pierwszym domowym posiłkiem w moim wykonaniu.

- Naprawdę się cieszę, że przygotowałam to dla ciebie - powiedziałam szczerze. - Jestem ci bardzo wdzięczna za... - Zatoczyłam łuk ramieniem.

- Za mój mały raj.

- Nie dziękuj już - poprosił. - Tamto już za nami. Teraz zajmijmy się przyszłością.

Nalał mi wina, a ja analizowałam jego słowa. Po chwili z niepokojem patrzyłam, jak kosztuje risotto.

Uniósł brwi, zdumiony. Zapewnił, że jest bardzo włoskie w smaku, ale kiedy sama spróbowałam, przykleiło mi się do zębów. Lorenzo nie chciał sprawić mi przykrości. A ryba jednak spaliła się na węgiel.

Jęknęłam zawstydzona.

- Okropnie wyszło, co?

- Cóż, troszkę za mocno wysmażona. Nie przejmuj się. Następnym razem nie wyjmuj ości - poradził. - Dzięki temu mięso trzyma wilgoć.

Upokorzona, zniosłam talerze do kuchni i wróciłam z owocami, serami i ciasteczkami.

- Sama tego nie robiłam, więc wszystko jest jadalne - oświadczyłam smutno.

Lorenzo się roześmiał.

- Jesteś szczerą do bólu, Lamour. Wbiłam zęby w ciasteczko.

- Nie wiesz, że nie każda kobieta jest taka wobec każdego mężczyzny?

- Lamore to działające na wyobraźnię imię. - Wymówił je po włosku.

- Opowiedz, skąd się wzięło.

Opowiedziałam mu więc, że przejęłam je w spadku po praprababce Jon-Boya, po kobiecie pięknej, ale płochej, o żelaznej woli i pustym portfelu.

- Mieszkała sama, niedaleko Nowego Orleanu - mówiłam i opisałam wielki, podupadły dom o balkonach z kutego żelaza i kolumnach oplecionych passiflorą. Po jej śmierci dom i ziemię sprzedano za grosze. Dzisiaj jest tam osiedle domków jednorodzinnych z garażami, zamieszkanymi przez młode małżeństwa z małymi dziećmi. Zostało po niej tylko imię. Dzięki Jon-Boyowi, bo mnie tak nazwał.

- Żadna kobieta bardziej nie zasługuje na to imię - powiedział. Płomyk małej lampki chwiały się lekko, dokoła zapadała granatowa noc.

Cykady zaczynały koncert, powietrze przecinały dziwne latające istoty, małe nietoperze o skrzydłach jak z pajęczyny. Z ogrodu dochodził zapach wilgotnej ziemi, mieszał się ze słodką wonią jaśminu i świeżym, ciepłym zapachem cytryn. I jak zawsze pachniało morze.

- Wróciłam do rajy - szepnęłam. - Myślisz, że Jon-Boy byłby zadowolony?

- Myślę, że chciałby, żebyś była szczęśliwa.

- Wszyscy ojcowie chcą, żeby ich córki były szczęśliwe.

- Tak. Z synami jest inaczej, uważamy, że sami mogą o siebie zadbać. Ale córka... ojciec zawsze zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby dać jej szczęście.

- Aż pewnego dnia zjawi się inny mężczyzna i mu ją zabierze - dokończyłam, a Lorenzo skinął głową.

Zaparzyłam kawę. Graliśmy w tryktraka. Przegrałam naumyślnie, bo miałam wyrzuty sumienia z powodu kolacji. Lorenzo chyba tego nie zauważył, zresztą mężczyźni zawsze chcą wygrywać. Graliśmy w przyjaznym, skupionym milczeniu.

Affare chrapała, ale kiedy Lorenzo wstał, od razu się poderwała.

- Kocha cię bardzo - zauważyłam, patrząc, jak tańczy podniecona na tylnych łapkach.

- Miłość to rzadki dar - powiedział.

- Tak. - Staliśmy wpatrzeni w siebie. Między nami iskrzyło, drżałam. Wyciągnął rękę. Podałam mu dłoń. Musnął ją ciepłymi ustami.

- Dziękuję - powiedział i znów spojrzał mi w oczy.

- Jesteś tu mile widziany. - Nie wymyśliłam nic mądrzejszego, ale powiedziałam to innym głosem, bardziej gardłowym.

W milczeniu szliśmy do windy.

- Przepraszam za kolację - chciałam znów się usprawiedliwić. Powstrzymał mnie ruchem ręki.

- Było cudownie - zapewnił.

Z uśmiechem wszedł do windy. Drzwi się zamknęły i już go nie było.

## Rozdział 50

Zawsze wiedziałem, kiedy Lorenzo jest w domu. Słyszałem warkot helikoptera, kiedy osiadał na klifie i jeśli byłam w ogrodzie, machałem energicznie. Widziałam, jak Affare wygląda z okna ciekawie i śmiała się szczęśliwa, wiedząc, że zaraz go zobaczę. Okazał się dobrym przyjacielem i nie wyobrażałam sobie miłszych wieczorów niż te na tarasie castello, przy partyjce tryktraka, na koncercie w Ravello, albo po prostu na moim tarasie, gdzie zajadaliśmy dania na wynos ze sklepu Umberto. Nigdy nie nauczę się gotować, ale przynajmniej zdaję sobie z tego sprawę i wiem, gdzie szukać pomocy.

Inaczej miała się sprawa z Nikiem. Wpadał niespodziewanie i zabierał mnie na obiady do Amalfi i Sorrento.

W pewien piątkowy wieczór nalewałam mu soku - był chwilowym abstynentem ze względu na gigantycznego kaca - gdy usłyszałam warkot helikoptera nad głową.

- Twój ojciec wraca do domu - zauważyłam. Przyjrzał mi się badawczo.

- Cóż, w domu nie ma go zbyt często, ciągle jest gdzieś z tobą. Uniosłam brwi.

- No i?

- No i co? Uwiódł cię? A może ty jego?

- Nico! Jak śmiesz?

Wzruszył ramionami.

- Jestem zazdrosny.

- Zachowujesz się jak dziecko - skarciłam go ostro. Kolejne namiętne spojrzenie.

- Mylisz się, cara. Nie jestem dzieckiem i chętnie ci to udowodnię. Puściłam jego słowa mimo uszu.

- Daj spokój, Lamour - ciągnął dalej. - Dlaczego mnie odrzucasz? Czy nie dowiodłem swoich uczuć?

Roześmiałam się.

- Jakich uczuć? Lubisz ze mną flirtować, tak. Ale Nico, ty flirtujesz z każdą kobietą. To silniejsze od ciebie, robisz to odruchowo. - Energicznie postawiłam szklankę soku na stole.

Wstał, obszedł stół, stanął przy mnie i hipnotyzował mnie wzrokiem.

- Nico, przestań - zdenerwowałam się. - Zniszczysz naszą przyjaźń. Westchnął.

- Co to za bzdury o przyjaźni? Pragnę cię, nie rozumiesz?

- Nie chcę tego słuchać...

- Owszem, chcesz, bo ty też mnie pragniesz. Przyznaj się, Lamour. No, cara, powiedz szczerze.

Odsunęłam się, stanęłam z drugiej strony stołu.

- Nico, przestań, proszę. - Przerazał mnie płomień w jego oczach.

- Nie, to ty przestań. - Wyciągnął ręce, złapał mnie. - Pragnę cię, Lamour, a ty mnie...

- Puść mnie! - Chciałam go odepchnąć, ale mocno mnie objął. Czulałam, jak drży, podniecony...

- Nico! - Lorenzo stał w progu. Jego twarz wyrażała taką wściekłość, że nawet Aflare kuliła się z tyłu.

Nico spojrział na ojca.

- Idealne wycucie czasu, tatuśku - mruknął z goryczą. - Akurat wybieraliśmy się z Lamour do sypialni.

- Nico! Wiesz, że to nieprawda! - Zaniepokojona spojrzałam na Lorenza. Jego twarz skamieniała. Przesunął się, żeby Nico mógł przejść. Nico odszedł bez jednego słowa, nie odwracając się. Już i tak narobił kłopotów.

Osunęłam się na krzesło. Lorenzo podszedł bliżej, oparł dłonie na stole i pochylił się ku mnie.

- Jesteś za dobra dla mojego syna - powiedział cicho. I ruszył do drzwi. Odwrócił się. Spojrział mi w oczy płonącym wzrokiem.

- Pragnę cię - dodał. I odszedł.

Nie mogłam oddychać, nie mogłam wykrztusić słowa. W życiu nie słyszałam nic bardziej erotycznego. Zwłaszcza że ja także go pragnęłam.

## Rozdział 51

Tej nocy nie mogłam zasnąć, wstałam o świcie. Włożyłam kostium kąpielowy i pobiegłam do zatoki. Najpierw szłam w wodzie powoli, rozkoszowałam się jej chłodnym dotykiem na nogach, a potem zanurkowałam. Miałam otwarte oczy, patrzyłam, jak morze faluje obok. Wynurzyłam się, roześmiana, szczęśliwa, że tu jestem. Mknęłam przez wodę, wzniecając drobne fontanny, zwinna jak foka. Chwilowo zapomniałam o wszystkich zmartwieniach. Byłam w siódmym niebie.

Pływałam przez dziesięć minut, a potem przewróciłam się na plecy i podziwiałam pastelowe niebo, błękitne z domieszką różu, patrzyłam na zielone urwisko i mój domek ukryty wśród drzew tak dobrze, że widziałam tylko skrawek zielono-błękitnej kopuły. Patrzyłam na wybrzeże, usiane zatoczkami i wioskami dostępnymi jedynie od morza, w których rybacy żyli od setek lat. Widziałam miasteczko Pirata po drugiej stronie zatoki. Przypomniał mi się Lorenzo, który przed laty ratował małą głupiutką dziewczynkę, która wypłynęła w morze tak daleko i roześmiałam się w głos.

Po pewnym czasie zawróciłam powoli do brzegu. Zdziwił mnie widok - Lorenza. Stał na molo, z Affare. Gdy wychodziłam z wody, czułam się idiotycznie, jak Ursula Andress w filmie z Jamesem Bondem. Otarłam krople z oczu, potrząsnęłam głową i zatrzymałam się z rękami splecionymi na piersi.

- Co tu robisz? - zapytałam. Wiedziałałam, że zabrzmiało to niegrzecznie.

- Szukam cię - odparł.

- Och. - Znowu potrząsnęłam głową, aż krople posypały się z moich włosów.

- Widzę, że nadal lubisz czerwone kostiumy.

Przyglądałam mu się podejrzliwie. Żartuje sobie ze mnie? Miał na sobie kąpielówki i wyglądał świetnie. Prawdziwy lew, potężny, muskularny, władczy. Owinęłam się ręcznikiem.

- A właściwie czemu mnie szukasz?

- Niedokończone sprawy.

Szedł w moją stronę. Nie ruszyłam się, choć moje serce biło coraz szybciej.



- Och - powtórzyłam, bo nie miałam pojęcia, co innego mogłabym powiedzieć. - Jakie sprawy?

- Muszę cię pocałować.

Patrzyłam na niego bez słowa. Podeszedł jeszcze bliżej, wsunął mi palec pod brodę, uniósł ją do góry. Zamknęłam oczy w oczekiwaniu. I wtedy mnie pocałował.

Był to czuły, delikatny pocałunek. Otoczyłam jego szyję ramionami i przysunęłam się bliżej. Przyciągnął mnie do siebie i trwaliśmy w uścisku, który mógłby trwać wiecznie. Zapomniałam o całym świecie, liczyliśmy się tylko my. Nogi ugięły się pode mną.

- Cara - szeptał. - Lamour, cara. - Całował mnie coraz mocniej. - Wczoraj chciałem do ciebie wrócić - mruzczał. - Chciałem cię całować, chciałem się zagubić w twoich oczach, w twoim głosie... w twoim śmiechu. Chciałem cię przytulić, mia carina, chciałem poczuć twoją bliskość, twoją miękkość...

Jego dłoń na moich plecach przypawiła mnie o dreszcze. Widziałam pytanie w jego oczach i odpowiedziałam na nie. Wziął mnie za rękę i poprowadził na starą łódź rybacką. Pomógł mi wsiąść. Kabina była malutka, koja wąska, ale wystarczająco duża dla dwojga kochanków, bo przecież mieliśmy nimi zostać.

Nie zastanawiałam się, czy powinnam się na to zgodzić. Nic mnie to nie obchodziło. Pragnęłam go, a on mnie. Kochaliśmy się przy akompaniamencie szumu fal.

Kochaliśmy się długo, bo kiedy wreszcie oprzytomnieliśmy, słońce świeciło już wysoko na niebie. Lorenzo pomógł mi wstać. Chłonał wzrokiem moje długie, smukłe ciało, gdzieś tam zaokrąglone dzięki ilościom zjedanego makaronu. Znowu mnie pocałował.

- Ścigamy się na drugą stronę zatoki - powiedział.

Oczywiście wygrał. Byłam słaba jak kociak i rozleniwiona rozkoszą. Minęło dużo czasu, odkąd ostatnio się kochałam, zresztą nigdy przedtem nie doświadczyłam namiętności, w której nie liczyło się nic innego, nawet ryzyko, że ktoś nas przyłapie. Pragnęłam tylko Lorenza.

Łatwo mnie pokonał. Wróciliśmy na brzeg. Owinęłam się ręcznikiem i zaproponowałam, że zrobię śniadanie. Wspinaliśmy się po stromych schodach do małego domku. Lorenzo poszedł na górę wziąć prysznic, a ja

zaserwowałam Affare dziwaczne śniadanie z wczorajszych resztek. Później przyszykowałam posiłek dla nas: kawę i francuskie tosty. Ustawiłam talerze na wiklinowej tacy i odwróciłam się, żeby zawołać Lorenza. Stał w progu, obserwował mnie.

- Och. - Zarumieniłam się. Nie przypuszczałam, że to jeszcze możliwe.

- Nie wiedziałam, że już jesteś.

- Lubię na ciebie patrzeć - powiedział z powolnym uśmiechem, który zaczynał się w kącikach oczu, by po chwili rozjaśnić całą twarz. Lorenzo Pirata umiał się uśmiechać.

Pobiegłam na górę, włożyłam szlafrok i zjedliśmy śniadanie w kuchni, jak stare dobre małżeństwo. Dolałam nam kawy. Lorenzo oparł łokcie na stole.

- Co chcesz dzisiaj robić?

- Być z tobą - odparłam szczerze.

Wiedział, że nie mam na myśli castello, bo tam są Nico i Aurora, i ich przyjaciele, a my zostaliśmy kochankami.

- Pojedziemy do Positano - zdecydował. - O tej porze roku nie ma tam wielu turystów, zresztą znam urocze miejsce, gdzie nikt nam nie przeszkodzi.

Godzinę później Affare wskoczyła z nami do helikoptera i poleciliśmy do Positano, do hotelu San Pietro. Lorenzo zarezerwował apartament z osobnym basenem i widokiem, który przyćmiewał nawet ten z mojego tarasu. Affare miała swoje posłanie, my swoje. Łoże było tak wielkie, że Lorenzo żartował:

- Muszę cię szukać wśród tej białej lnianej pościeli. Ale zawsze się znajdowaliśmy.

Nie wychodziliśmy z apartamentu przez trzy dni i trzy noce. Zamawialiśmy szampana i posiłki, pracownik hotelu zabierał Affare na spacer. Były to najpiękniejsze trzy dni mojego życia i chciałam, żeby trwały wiecznie. Ale oczywiście się skończyły.

## Rozdział 52

Kolejne tygodnie wypełniało mi szczęście. Ku mojej radości Aurora wróciła na studia, a Nico siedział w Rzymie, więc mieliśmy z Lorenzem castello dla siebie. Nie, żebyśmy chcieli utrzymać nasz romans w tajemnicy, po prostu tak wyszło i tak było łatwiej.

Cieszyłam się, że sypialnia w wieży nie należała do Marelli, że nie czuję tam jej obecności. Ten pokój był nasz i tam uciekaliśmy co noc, po południu, w każdej wolnej chwili, by nacieszyć się rozkoszą. Lorenzo był pięknym mężczyzną. W jego ramionach zapominałam o różnicy wieku. Stawaliśmy się jednością.

Oczywiście wysłałam do Jammy e-maila i wszystko opowiedziałam. Martwiłam się - może uzna, że zwariowałam. Czyjej zdaniem postąpiłam właściwie? „Jammy, ja go kocham - napisałam. - Ratunku! Co robić?”

Dostałam lakoniczną odpowiedź: „To, co zawsze robisz, czyli to, co chcesz”. Jammy znała mnie aż nazbyt dobrze. Nie prosiłam o radę, chciałam tylko, żeby mnie utwierdziła w przekonaniu, że skoro to robię, to jest w porządku.

Zadzwoniła później i odbyliśmy długą szczerą rozmowę. Mówiłam, jaka jestem szczęśliwa z Lorenzem, a on ze mną.

- Ale obawiam się, że jest dla mnie za stary.

- Bo jest - stwierdziła Jammy szczerze. - Albo ty dla niego za młoda. Pomyśl, Lamour, kiedy ty będziesz miała pięćdziesiąt parę lat, on będzie po osiemdziesiątce. I wtedy będziecie mieli problem.

Zdawałam sobie z tego sprawę, ale przecież miłość pokonuje wszelkie przeszkody, różnicę wieku też. Miłość przewycięża wszystko. Bardzo chciałam w to uwierzyć, ale męczyły mnie wątpliwości. Powiedziałam jej, że to i tak bez znaczenia, bo nie ma mowy o małżeństwie czy wspólnej przyszłości. Żyliśmy chwilą.

Zresztą dzieliło nas coś jeszcze: Jon-Boy. Miałam wrażenie, że Lorenzo wie, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy, i ukrywa to przede mną. Nie dopuszczałam do siebie podejrzeń, że mężczyzna, którego kocham, miał coś wspólnego ze śmiercią mojego ojca, ale ta myśl nie dawała mi spokoju.

Poszłam do Mifune.

- Zakochałam się w Lorenzo - oznajmiłam. Skinął głową; oczywiście już o tym wiedział. - Mifune, uważam, że on coś wie o śmierci Jon-Boya, ale kiedy o to pytam, zbywa mnie, mówiąc, że to było tak dawno i najlepiej o tym zapomnieć.

Mifune siedział po turecku na kamieniu medytacyjnym. Uniósł pergaminową twarz do nieba, zmrużył oczy. Otaczała go aura spokoju. Pragnęłam, by się nią ze mną podzielił.

- Przeszłość to część nieskończoności - powiedział. - Czy nie czas zwrócić się ku przyszłości bez Jon-Boya?

Lecz przyszłość wydawała mi się mglista. Byłam kochanką Lorenza; nie padło ani jedno słowo o ślubie.

- Dzieli nas różnica wieku - odparłam.

- Wiek kryje się w zmysłach. - Upływające lata nas nie ograniczają, lecz wzbogacają. Nasze ciała poddają się czasowi; niektórzy umierają młodo, inni staro. Liczy się czas, nie wiek. A wy macie czas.

Oczywiście miał rację.

Aurora i Nico wrócili do castello. Przyjechali razem czerwonym porsche Nica. Akurat graliśmy z Lorenzem w tryktraka na tarasie. Affare zerwała się, szczekając głośno. Lorenzo wstał, żeby przywitać dzieci. Nico od razu podszedł do mnie. Podał mi rękę. Uścisnęłam ją.

- Suka - szepnął, całując moją dłoń.

Spojrzałam na niego zaskoczona, ale uśmiechnął się i powiedział:

- Nie straciłem jeszcze nadziei, piękna Lamour, pamiętaj. Popatrzyłam na niego gniewnie, ale już odwrócił się i odszedł. Słyszałam, jak Lorenzo mówi do Aurory:

- Jest tu Lamour.

- No tak - mruknęła i wiedziałam, że już wie, że już dotarli do niej plotki o nas.

- Buona sera, signora Harrington - powiedziała chłodno i w ślad za bratem weszła do castello.

Po pewnym czasie Massimo zawołał Lorenza do telefonu. Zostałam sama na tarasie. Przechadzałam się koło sfinksów, patrzyłam na wybrzeże lśniące od świateł, gdy usłyszałam za plecami szybkie kroki Aurory. Odwróciłam

się. Stała tuż za mną, niemal czułam jej oddech na karku. Cofnęłam się odruchowo.

- Po co tu przychodzisz? - wyrzuciła z siebie tak szybko, jakby słowa się z niej wylały. - Wracaj, skąd przyszedłeś, zostaw nas w spokoju. Nie chcemy cię. Ty i twój ojciec przynosicie pecha. Idź już, zostaw nas...Mój ojciec jest za dobry, jest dla ciebie miły, bo to dżentelmen, nie rozumiesz...

Urwała równie nagle jak zaczęła, wpatrywała się we mnie wielkimi ciemnymi oczami.

- Idź sobie! - warknęła.

Wiedziałam, że nie postępuje racjonalnie, panikowała z lęku o ojca. Kochała go, tak, a on ją rozpuścił, ale było w tym coś więcej, i tego nie rozumiałam.

- Nie chcę nikogo skrzywdzić, Auroro - mówiłam najspokojniej, jak umiałam, bo wyglądała, jakby chciała mnie uderzyć. - Jestem przyjaciółką, nikim więcej. Przyjechałam tu, bo tu mieszkał mój ojciec i mam piękne wspomnienia z tych stron. To wszystko.

- Ha! - Nie uwierzyła mi, odwróciła się i patrzyła na morze, jakby zobaczyła ducha mojego ojca, choć przecież go nie знаła. Zdawała się czytać w moich myślach, bo nagle powiedziała:

- Jon-Boy Harrington będzie chyba wiecznie prześladował rodzinę Pirata. Wstrzymałam oddech, zaszokowana. Jak mogła to powiedzieć, wiedząc, że mój ojciec utonął właśnie tutaj, że straciłam go w tragicznych okolicznościach! Co się z nią dzieje?

Nagle jej gniew wyparował. Była jak balonik bez powietrza, opuściła ramiona, zwiesiła głowę.

- Przepraszam - powiedziała głosem małej dziewczynki, odwróciła się i odeszła. Potknęła się, jakby nie patrzyła, gdzie stąpa. Widziałam, że płacze. Zastanawiało mnie, skąd ten nagły wybuch i załamanie, rozpacz, której głębi nie pojmowałam.

Nie powiedziałam Lorenzowi o tym zajściu, bo nie chciałam ponosić odpowiedzialności za tarcia między nim a córką.

Ta noc wyznaczyła charakter moich stosunków z jego dziećmi. Nico i Aurora mieli do mnie pretensję, ja byłam na nich zła. Kiedy przyjeżdżali, nie chodziłam do castello, spotykaliśmy się w moim domku. Lorenzo i ja

spędzaliśmy długie, jedwabiste letnie noce w mojej brzoskwiniowej sypialni, na moich nowych prześcieradłach, wtuleni w siebie. Każdego ranka Affare czekała na nas na brzegu, a my ścigaliśmy się przez zatokę. Jeszcze ani razu go nie pobiłam. Kiedy wracaliśmy, smażyłam francuskie tosty. Nie myśleliśmy o problemach z jego dziećmi, żyliśmy chwilą i miłością. Byłam szczęśliwa.

Aż któregoś dnia, pod wpływem impulsu, Lorenzo postanowił wydać przyjęcie.

RS

## Rozdział 53

Massimo osobiście wręczył mi napisane ręcznie zaproszenie. Powiedział, że signor chciał mieć pewność, że je dostanę. Przyjęcie miało się odbyć w następną sobotę - zacznę się koktajlem o dziewiątej, po czym usiądziemy do kolacji. Będą też tańce. Strój wieczorowy, dopisano dyskretnie na dole arkusika. Wpadłam w panikę. W mojej szafie najbardziej elegancką kreacją była koralowa suknia kupiona z Jammy w Rzymie, z pewnością nie wieczorowa. Nie miałam czasu na zakupy. Co robić? Przypomniała mi się kreacja Vivario z czerwonego szyfonu w szafie Jon-Boya. Może siew nią wcisnę.

Pobiegłam na górę, wyjęłam ją z szafy, otrząsnęłam z kurzu.

Włożyłam ją, myśląc o kobiecie, która nosiła ją przede mną. Nadal czułam zapach jej perfum, ciężkich, orientalnych, i przypomniła mi się opowieść Mifune o ciemnowłosej piękności. Przeszył mnie dreszcz, a kiedy spojrzałam w lustro, zobaczyłam siebie odmienioną.

Suknia leżała, jakby na mnie uszyta. Cienkie ramiączka, głęboki dekolt; delikatny materiał, marszczony na piersiach, opadał do ziemi prostą kolumną. Suknia bogini. Giorgio Vivari to nie tylko artysta, to także świetny fachowiec i znawca kobiet. Wystąpię w jego arcydziele na przyjęciu.

W piątek o zmierzchu usłyszałam warkot helikoptera Lorenza nad castello. Niedługo później zbiegał stromą scalatinella. Wysłałam mu na spotkanie. Tuliliśmy się do siebie wśród zapewnień, jak bardzo za sobą tęskniliśmy.

- Zostaniesz? - zapytałam i pocałowałam go w ucho, ale odparł, że nie może, goście już zjeżdżają na weekend i musi być w castello.

- Zaprosiłbym ciebie, ale dzisiaj straszny tam chaos, przyjeżdżają też znajomi Nica i Aurory. Przyjdź jutro, tak będzie lepiej.

Pocałowałam go na pożegnanie i odprowadzałam tęsknym wzrokiem. Poczułam się jak dziecko, któremu zabroniono usiąść do kolacji z rodzicami. Powtarzałam sobie, że to głupota; przecież to oczywiste, że Lorenzo nie chce denerwować Aurory na oczach gości. Ma problem z córką, ale nic nie mogę na to poradzić.

Następnego wieczoru przygotowywałam się starannie. Upięłam włosy w lśniący kok, umocowany u nasady karku koralowymi spinkami, które

kupiłam w Amalfi. Włożyłam czerwoną suknię i klapki na obcasie, kupione w Rzymie. Otoczyłam szyję sznurkiem brylantów, wpięłam w uszy kolczyki z cyrkoniami. Żadnych pierścionków ani bransoletki. Spojrzałam w lustro, bardzo z siebie zadowolona.

Jechałam windą, wpatrzona w roziskrzone morze. Mogłam się spodziewać, że Lorenzo zorganizuje wszystko jak należy, pomyślałam z uśmiechem, bo castello nigdy nie było równie piękne jak w świetle księżyca. Zdjęłam buty i jak zwykle niosłam je w ręce, żeby się nie zakurzyły. Widziałam castello między drzewami, słyszałam dźwięki muzyki.

Na schodach wsunęłam stopy w czerwone klapki. Wszędzie stały samochody, i goście wśród okrzyków ciao głośno się śmieli. Massimo stał u szczytu schodów i witał ich z poważną miną odświętny i elegancki w czarnym fraku. Za jego plecami uwijali się kelnerzy w białych marynarkach, roznosili tace kanapek. Na tarasie stał prowizoryczny bar, wśród drzew migotały lampiony. Tej nocy ptaki nie poszły spać i wtórowały niezmordowanym cykadom.

Nagle ogarnęła mnie nieśmiałość. Stałam niepewnie w cieniu. Nie znałam tu nikogo, a przecież to inny świat.

- Perdona, signora, czy my się nie znamy? - usłyszałam nagle. Odwróciłam się i zobaczyłam Giorgia Vivariego, projektanta sukni, którą miałam na sobie. Mężczyznę, który w rzymskiej restauracji podziwiał moje stopy.

- Pamiętam pana, oczywiście - odparłam. - Spotkaliśmy się w Rzymie, w Da Fortunato.

- Ach, już sobie przypominam. - Z wdziękiem pochylił się nad moją dłoń. - Jakże mógłbym zapomnieć tak piękne stopy.

Roześmiał się, a potem się przedstawił:

- Giorgio Vivari.

- Lamour Harrington.

Zapytał, czemu sama stoję w cieniu. Przyznałam, że czuje się onieśmielona, bo nie znam tu nikogo.

- Ja też jestem sam - odparł. - Czy zechce mi pani towarzyszyć na przyjęcie?



Czułam się jak Kopciuszek na balu, wchodząc do castello wsparta na ramieniu Vivariego.

Lorenzo już szedł w naszą stronę. Wyglądał zabójczo, był bardzo światowy i elegancki. Zakręciło mi się w głowie, miałam ochotę obsypać go pocałunkami. Ale on, ku mojemu zdumieniu, patrzył na mnie, jakby zobaczył ducha.

Szybko wziął się w garść. Cmoknął mnie w oba policzki i powiedział:

- Witaj, Lamour. Pięknie wyglądasz. Widzę, że przyszłaś z Giorgiem. Zaskoczył mnie jego chłód.

- Sama się zdziwiłam, że wchodzę tu w towarzystwie projektanta mojej sukni - odparłam. - Choć stworzył ją przed laty. Pewnie jej pan nie rozpoznał - zwróciłam się do Vivariego.

- Ależ rozpoznałem - zapewnił. - To suknia na zamówienie, dla wyjątkowej klientki. Powstał tylko ten jeden jedyny egzemplarz. Leży na pani idealnie. Jest pani do niej stworzona.

Lorenzo przeprosił nas i odszedł do innych gości.

- Muszę panu coś wyznać - spojrzałam na projektanta. - Znalazłam ją w szafie, w domu mojego ojca. Chciałabym wiedzieć, do kogo należała. Minęło już tyle czasu i pomyślałam, że chyba mogę ją na dzisiaj pożyczyć.

Vivari objął mnie ramieniem.

- Szczerze mówiąc, Cassandra Biratta wpadłaby w szal, widząc panią w tej sukni, bo na pani leży lepiej niż na niej.

Moje serce zabiło szybciej, gdy usłyszałam jej nazwisko.

- Cassandra Biratta?

- Contessa Biratta. Zna jąpani? - Pokręciłam przecząco głową. - Mieszka w słynnym Palazzo Biratta w Rzymie. Oczywiście ma wiele domów - ciągnął.

- A suknią proszę się nie przejmować: zaprojektowałam ją dla niej, gdy była o wiele młodsza, dzisiaj nie mogłaby jej włożyć.

Zaprowadził mnie na taras, przyniósł szampana i przedstawił znajomym, ale szybko się od nich odłączyłam.

Wreszcie wiedziałam, jak się nazywa kochanka ojca. Wiedziałam, że mieszka w Rzymie i jaki jest jej adres. Znałam ją tylko z dziennika Jon-Boya,

ale coś mi mówiło, że to ona go zabiła. I nagle zrozumiałam coś jeszcze: Lorenzo wiedział. Zdenerwowana, wróciłam do środka, do łazienki.

Ogromna łazienka i sąsiedni pokój przypominały dzisiaj hotelową garderobę z czasów balów młodych dam. Pulchna pokojówka w czarnej sukience przynosiła świeże ręczniki, chusteczki, puder, perfumy, pomagała przyszyć urwane ramiączka.

- Tu jesteś. - Aurora zjawiała się nie wiadomo skąd. Pokojówka podskoczyła, przestraszona. Ja też.

- Dzień dobry, Auroro. Wspaniałe przyjęcie. - Powiedziałam tak, choć w rzeczywistości przyszedłam tu pozbierać resztki strzaskanych marzeń. Nie zwracałam sobie głowy Aurorą. Myślałam jedynie o Lorenzu. Co wie? Co ukrywa? Dlaczego mi nie powiedział o Cassandrze?

- Lamour!

Spojrzałam na Aurorę. Wyglądała dziwnie. Była blada, drżały jej ręce. Osunęła się na kanapę, nie odrywała ode mnie tych swoich piwnych, nieprzeniknionych oczu. Oczywiście była śliczna w jasnożółtej kreacji, która podkreślała jej figurę. Ciemne włosy spływały miękko na ramiona. Odrzuciła je, zirytowana.

Nagle ogarnął mnie niepokój. Usiadłam koło niej.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam. Chciałam wziąć ją za rękę, ale bałam się, nie wiedziałam, jak zareaguje.

- Nie znoszę tego - szepnęła tak cicho, że musiałam się pochylić, żeby ją słyszeć.

- Nie znoszę tych tłumów. Nie znoszę castello. Nie znoszę ciebie - to już powiedziała głośno. Spojrzała mi w oczy.

- Nie znoszę siebie. - Zerwała się i wybiegła.

Napotkałam wzrok pokojówki, ale ona zaraz spuściła głowę. Ma zadbać o stroje gości, nie o stan ich duszy.

Wróciłam na taras i wciąż jeszcze martwiłam się o Aurorę. Miałam jednak większe problemy niż jej fochy. Lorenzo znalazł mnie przy sfinksie, w oddalonym zakątku tarasu.

- Pięknie wyglądasz - powiedział cicho.

- To suknia contessa Biratta - odparłam. - Oczywiście ją rozpoznałeś. Skinął głową.

- Widziałem ją w tej sukni z twoim ojcem. Była słynną piękną. Ale teraz zapomnijmy o tym, cara. Chodźmy do gości. Wieczór dopiero się zaczyna, zaraz usiądziemy do kolacji, a potem będą tańce.

Spojrzał na mnie błagalnie, ale wieczór stracił już swój urok. Od początku wiedział o Cassandrze. Nie rozumiałam, czemu nie może mi powiedzieć, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy, tylko pozwalała, bym się gubiła w domysłach, szukała po omacku, nie wiedząc, w jaki sposób zginął mój ojciec. Nie mogłam mu dłużej ufać.

- Przykro mi, Lorenzo - powiedziałam stłumionym głosem. Zdjęłam buty i puściłam się biegiem w noc. Lorenzo nie poszedł za mną zresztą wcale tego nie chciałam.

Zbiegałam schodami i po drodze ściągałam z siebie suknię. Drażnił mnie sam jej dotyk. Nienawidziłam jej. Nie chciałam jej więcej widzieć. Zdarłam ją z siebie, cisnęłam w krzaki i naga wpadłam do domu.

Przemierzałam solone, trzęsąc się jak przerażony kot. Czułam, jak włosy jeżami się na karku. Znalazłam ją. Znalazłam morderczynię Jon-Boya.

Potem, już w kuchni, otworzyłam wino, nalałam sobie, wypłam. W końcu wyszłam na taras, otulona starym białym szlafrokiem. Skulona na ślicznej ławeczce, patrzyłam na lunę światła nad castello, słyszałam muzykę i śmiechy.

Jutro zapytam Mifune o Cassandrę Biratta i zdecyduję, co dalej.

Przy szmerze muzyki i rechocie drzewnych żab zapadłam w niespokojny sen na starej niebieskiej kanapie, która służyła mi za posłanie wiele razy, odkąd tu zamieszkałam.

## Rozdział 54

Następnego ranka pobiegłam do Mifune. Był w ogrodzie warzywnym, malutkim skrawku raję pełnym ziół, pomidorów i fasoli. Cukinia kwitła żółtymi kwiatami, na południowym krańcu brzoskwinie wyciągały gałęzie do słońca.

Biegłam do niego piaszczystą ścieżką; nie miałam chwili do stracenia.

- Wiem, kim była kochanka mojego ojca - wyrzuciłam z siebie. - To hrabina Cassandra Biratta. Czy to ta piękność z czarnymi włosami, o której mi opowiadałeś?

Mifune, w nieodłącznym słomkowym kapeluszu, pielął grządkę groszku, który sprowadził do tego ogrodu ze swojego kraju. Lubił porządek, a ponieważ groszek rósł sobie, jak chciał, klóciło się to z poczuciem Mifune.

Wstał, otrząpiał kolana.

- Tak, piccolina.

- Czy była tu w noc jego śmierci?

Nie obawiałam się jego odpowiedzi; i tak wiedziałam, że Cassandra Biratta zamordowała mojego ojca. Mifune podszedł do kamiennej ławki. Usiadłam koło niego.

- Piccolina, wiele razy się nad tym zastanawiałem - zaczął tak cicho, że musiałam schylić głowę, żeby go słyszeć. - Złożyłem przysięgę, której nie mogę złamać. Ale nie mogę ci przeszkodzić w poszukiwaniach, jeśli chcesz poznać prawdę o śmierci ojca. Masz do tego prawo. Cassandra Biratta często bywała w małym domku. I była tu w noc śmierci twojego ojca. Nie mogę powiedzieć nic więcej.

Rozważałam jego słowa. Wiedziałam, że chodzi o miłość i zazdrość. A znając mojego ojca, miał więcej niż jedną kochankę. Potwierdził to też dziennik.

- Czy dwie kobiety walczyły o Jon-Boya? - zapytałam.

- Jesteś kobietą i instynkt ci to podpowiada - odparł Mifune. - Nazywała się Isabella Mancini. Była z twoim ojcem, zanim poznał contessa.

- Znałeś ją?

- Znałem. - Spojrzał mi w oczy. - Nie powiem nic więcej.

- Znajdę Isabellę! - krzyknęłam.

- Pojadę do contessa. Zapytam, jak go zabiła. Powiem, że ją tu widziano w tamtą noc, że są świadkowie...

Mifune podniósł rękę.

- Uważaj, Lamour. Cassandra Biratta jest jak elegancki biały żuraw ze starych japońskich akwareli. Piękna, pełna wdzięku i bez serca.

Nadał nie pojmowałam, czemu Mifune przysiągł, że nic nie powie na temat okoliczności śmierci Jon-Boya, i chyba nigdy się tego nie dowiem, ale podziękowałam mu bardzo serdecznie za to, co jednak mi powiedział. Wreszcie poznałam tajemnicę. I wkrótce stanę oko w oko z morderczynią ojca.

Napisałam e-maila do Jammy, ze wszystkimi szczegółami. Następnego ranka jechałam do Rzymu. Starłam się nie myśleć o ostrzeżeniu Mifune.

RS

## Rozdział 55

Lorenzo nerwowo przechadzał się po sypialni w wieży. Założył ręce za plecami, schylił głowę i rozmyślał o przyjęciu i Lamour. W pierwszej chwili, gdy zobaczył ją w czerwonej sukni, z włosami upiętymi w kok, wydawało mu się, że to Cassandra. Był w szoku i zostawił ją z Giorgiem, a kiedy odzyskał zimną krew, było już za późno.

Wyjrzał przez okno. Zapadał zmierzch. Drzewa oliwne szumiały cicho, pobłyskiwały jak srebrne monety w wieczornej bryzie. Dla niego nie było nic piękniejszego niż drzewo oliwne o powykręcany pniu i dziwacznych gałęziach. Mifune zasadził je na życzenie jego dziadka. Stworzył piękno, które otaczało ich z każdej strony. Mifune wiedział wszystko o rodzinie Pirata i właśnie do niego Lorenzo postanowił zwrócić się o radę.

Stary ogrodnik usłyszał jego kroki na zwirowej ścieżce. Czekał przy otwartych drzwiach.

- Signor Pirata - skłonił się nisko. - Jestem zaszczycony. - Cofnął się, żeby Lorenzo mógł wejść, i zaproponował zieloną herbatę.

Zajął się przygotowaniami, a Lorenzo rozglądał się ciekawie. Zawsze zaskakiwała go prostota tego domu. W mieszkaniu Mifune panowała aura spokoju i na myśl o swoim skomplikowanym życiu pozazdrościł mu tego ładu.

Mifune wniósł starą tacę z dwiema porcelanowymi miseczkami. Usiedli na matach tatami. Mifune skłonił się i podał naczynie gościowi.

- Signore, czemu zawdzięczam zaszczyt pańskiej wizyty?

- Pamiętasz przysięgę, którą złożyłem przed laty?

- Tak, signore.

- Ty także ją złożyłeś, ale dla mnie była święta. Nie wolno mi jej złamać, choć mam na to ochotę.

Mifune uniósł krzaczaste brwi w niemym pytaniu. Czekał, aż Lorenzo powie, co mu leży na sercu.

- Kocham Lamour - ciągnął. - Ale nasz związek powstał na kłamstwie. Przyjacielu, nie mogę tak dłużej. Jestem rozdarty między dwoma prawdami: jedną z przeszłości, drugą z teraźniejszości. Co robić? Czy mam prawo prosić ją, by towarzyszyła mi przez życie, wiedząc to, co wiem o śmierci jej ojca?

Nie widzę wyjścia z tej sytuacji. Złożyłem przysięgę. Jak mogę ją złamać i tym samym zniszczyć wszystko, co osiągnąłem przez te lata?

- To proste, signore - odezwał się w końcu Mifune.

- Dotrzymywał pan przysięgi, ale teraz trzeba pomyśleć o kimś jeszcze. Proszę się zastanowić, czy mamy prawo ukrywać prawdę przed córką Jon-Boya? A ona nie ma do niczego prawa?

- Nie zastanawiałem się nad tym - przyznał Lorenzo. - Ale widzę, że i ją muszę wziąć pod uwagę.

- Proszę nie czekać, aż będzie za późno. Lamour wie już, że Cassandra Biratta była kochanką Jon-Boya. Przybiegła tu do mnie, zadawała pytania. Powiedziałem tyle, ile mogłem, nie naruszając przysięgi. Teraz jedzie do Rzymu, do contessa. Lamour to uparta kobieta, signore. Nie przyjmuje odpowiedzi odmownej. Chce się dowiedzieć, jak zginął jej ojciec. - Spojrzał Lorenzowi w oczy. - I czy możemy mieć jej to za złe?

Nie, Lorenzo nie mógł mieć jej tego za złe. Akurat on aż za dobrze wiedział, jaka może być miłość córki do ojca.

- Kocham kobietę, której nie mam prawa kochać - powiedział. - Nie dość, że jestem dla niej za stary, to mam jeszcze rodzinę na głowie. Nie widzę dla nas wspólnej przyszłości. Jak mogę ją prosić, by dzieliła ze mną moją starość, kiedy ma przed sobą najlepsze lata?

Nagle znużony, Mifune odparł cicho:

- To kwestia uczuć. Zawsze powtarzam, że mężczyzna musi iść za głosem serca. Medytacja wyzwała myśli i umysł, aż zostaje tylko duchowość. Spróbuj, signore. I niech ci pomoże.

Wizyta dobiegła końca. Lorenzo podziękował staremu przyjacielowi, przeprosił go, że zawraca mu głowę przeszłością i przyszłością. Mifune uklonił się i odparł, że to dla niego zaszczyt udzielić pomocy, choćby najmniejszej.

Lorenzo wrócił do wieży. Nie zapalił światła, siedział po ciemku, wpatrzony w miękką ciemną noc. Skupił wszystkie myśli na przeszłości, na Marelli i obietnicy, którą jej złożył. Wkrótce wszystko stało się jasne. Miał tylko jedno wyjście. I musiał działać jak najszybciej.

## Rozdział 56

Szłam przez piękną pazzę, pod wiekowymi platanami, które rzucały upragniony cień, i dwukrotnie minęłam Palazzo Biratta, zanim się zorientowałam, że potężny gmach za ogrodzeniem z kutego żelaza to miejsce, którego szukam.

Palazzo wyrosło na rogu jednego z najbardziej romantycznych rzymskich placów. Wznosiło się na imponującą wysokość pięciu pięter, zachwycało fasadą z piaskowca, zdobioną różowym marmurem. Za potężną ozdobną żelazną bramą rozciągał się dziedziniec. Pod spadzistym dachem czaiły się kamienne gryfy, widniał też herb rodziny Biratta. Odrobiłam pracę domową: wiedziałam, że ród Biratta wybił się w epoce renesansu, zaczynał od handlu, dzięki sprytowi i przekupstwu zdobył silną pozycję, a później tytuł arystokratyczny. Nic się nie zmieniło: ród Biratta pozostawał nadal bogaty, potężny i wpływowy, a to za sprawą banków i związków z Watykanem. Była to jedna z najsłynniejszych włoskich rodzin. Takiego wroga nie można lekceważyć.

Ale gdy zatelefonowałam, Cassandra Biratta od razu zgodziła się na spotkanie. Ciekawe dlaczego. Bała się, że ujawnię jej romans z Jon-Boym opinii publicznej? Bała się, że świat pozna prawdę o jego śmierci?

A wówczas pani reputacja legnie w gruzach, contessa, pomyślałam gorzko, naciskając dzwonek. Słyszałam, jak rozbrzmiał w kamiennej wartowni. Spodziewałam się, że zobaczę zasuszoną staruszkę w czerni, która służyła rodzinie Biratta całe życie, tymczasem pojawił się ochroniarz w mundurze, z ręką na pistolecie. Najwyraźniej rodzina Biratta ma wielu wrogów. Nagle się zdenerwowałam.

Podaliśmy strażnikowi moje nazwisko i powiedziałam, że contessa mnie oczekuje. Sprawdził to sumiennie na liście, dopiero wtedy otworzył elektroniczną bramę i dał mi znak, że mogę wejść.

Lokaj w białej marynarce i czarnych spodniach czekał u szczytu imponujących schodów wiodących do drzwi. Wprowadził mnie do holu i zapytał, czy zabrać żakiet, ale wołałam w nim zostać.

W Palazzo Biratta panował chłód, był wszędzie, krył się w wysokich sufitych i marmurowych posadzkach, w przepięknej klatce schodowej,



długich korytarzach, w arrasach na ścianach. Budynek wypełniały najdroższe przedmioty, jakie można kupić; przypominał dworzec Grand Central, pełen antyków. Wzdrygnęłam się na myśl, że w zimowe wieczory trudno jest tu znaleźć przytulny kącik.

Szłam za lokajem jednym z długich korytarzy, mijałam marmurowe posągi zaszyte w podświetlonych niszach, aranżacje kwiatów na pozłacanych stolikach, godne najlepszych hoteli. Weszliśmy do, jak sądziłam, jednego ze skromniejszych salonów, odpowiedniego na spotkanie ze zwykłym, przeciętnym człowiekiem. Ze mną.

- Contessa zaraz przyjdzie, signora - odezwał się lokaj. - Może coś do picia? Coś zimnego albo espresso?

Podziękowałam uprzejmie. Nie chciałam niczego od kobiety, która zabiła mojego ojca.

Zostałam sama. Podziwiałam bogato zdobione meble, brokatowe zasłony udrapowane w oknach, bibeloty i zdjęcia w srebrnych ramkach. Przemknęło mi przez głowę, że sprzątanie tutaj to horror, i zastanawiałam się, czy chciałabym tu mieszkać. Czuję się jak w muzeum. Nagle zatęskniłam za moim małym domkiem, którego jedyną ozdobą jest wspaniały widok. Zapraǳnęłam w tym momencie siedzieć na tarasie i sączyć wino z Lorenzem.

Lorenzo. Serce we mnie zamarło. Lorenzo ukrywał swoje sekrety, a ja zamierzałam otworzyć tę puszkę Pandory. Och, Lorenzo, pomyślałam i niemal słyszałam, jak pęka mi serce. Początkowo uważałam cię za wroga, potem staliśmy się przyjaciółmi, kochankami... A teraz nie będziesz chciał mnie widzieć.

Za moimi plecami otworzyły się drzwi. Odwróciłam się i zobaczyłam jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widziałam. Od razu przypomniał się opis C. w dzienniku Jon-Boya. „C. w czerwonym szyfonie, otulona futrem, z twarzą wysuniętą spomiędzy kołnierza jak lisi pyszczek...”

Jej twarz to był idealny jasny owal ze zmysłową plamą pełnych, czerwonych ust. Ciemne oczy spoglądały znad klifów kości policzkowych. Taka uroda zdarza się rzadko, a w jej wieku zapewne sporo kosztuje. Miała, według mnie, po sześćdziesiątce, była szczupła jak nastolatka, podkreślała długie smukłe nogi butami na obcasie i spódnicą do kolan. Takie kobiety nie zniżają się do noszenia szpilek; jej obcasy były na tyle wysokie, że

eksponowały je zgrabne nogi, ale na tyle niskie, że nie przekraczały granicy dobrego smaku. Bo contessa Biratta była kwintesencją dobrego smaku, poczynając od kolczyków, poprzez sznur bardzo drogich pereł z mórz południowych na szyi, po złote bransoletki i zegarek.

Była przepiękna, nic dziwnego, że Jon-Boy nie zdołał się jej oprzeć. I wtedy przypomniało mi się, co powiedział o niej Mifune: „Cassandra Biratta jest jak elegancki biały żuraw ze starych japońskich akwareli. Piękna, pełna wdzięku i bez serca”. Gdy podała mi rękę i spojrzałam w jej zimne, ciemne oczy, zrozumiałam, co miał na myśli.

- Proszę spocząć, signora Harrington - powiedziała głosem chłodnym jak powietrze z klimatyzatora. Wskazała mi kanapę obitą jasnym brokatem, sama usiadła na podobnej, po drugiej stronie stolika, zastawionego bezcennymi skarbami rodu Biratta.

Wiedziałam, że obserwuje mnie uważnie. Byłam intruzem w jej świecie, a przecież sama pochodziła ze zubożałej wiejskiej rodziny z Apulii, jednego z biedniejszych regionów Włoch. Pozycję osiągnęła dzięki urodzie. Cassandra Biratta była współczesną kurtyzaną która osiągnęła wysoki status społeczny, bo w dzisiejszych czasach bogaci mężczyźni żenią się z pięknymi kobietami, zamiast je utrzymywać i rozpieszczać.

- Jest pani podobna do ojca - powiedziała. Zaskoczyła mnie tym, bo myślałam, że zaprzeczy, że go w ogóle znała.

- Proszę mi powiedzieć, signora, dlaczego chciała się pani ze mną spotkać?

- Chciałam zapytać panią o śmierć Jon-Boya - odparłam i widziałam, jak nieruchomieje.

- W takim razie nie mogę pani pomóc. Nic nie wiem na ten temat, słyszałam tylko plotki.

Kiwnęłam głową.

- Burza, Jon-Boy sam na morzu, uznano, że utonął, nigdy nie znaleziono ciała... tak, znam tę wersję, contessa, ale do mnie nie przemawia.

Zmrużyła oczy w wąskie szparki i nagle wcale nie była już taka piękna.

- Tyle słyszałam i w to wierzę. Nie ma powodów, bym w to wątpiła.

- A jeśli zapytam panią o Isabellę? Chyba ją pani pamięta? Młodziutka dziewczyna, której miejsce zajęła pani w łóżku mojego ojca? - Słyszałam, jak

syczy gniewnie, ale ciągnęłam niewzruszona. Improwizowałam, ale wewnętrzny głos mi podpowiadał, że ona postąpiłaby podobnie. - Była pani zazdrosna, contessa. Poszła pani do niej i powiedziała, że Jon-Boyowi już na niej nie zależy. Dopilnowała pani, by się do niego nie zbliżała. I tak było, do tamtej nocy w Amalfi.

Cassandra wcisnęła się w kanapę. Na jej twarzy malował się spokój, ale zdradzały ją nerwowo zaciśnięte dłonie.

- Moja droga signora Harrington - odezwała się spokojnie. - To wszystko pomówienia. Była pani dzieckiem, kiedy znałam jej ojca. Wtedy nawet nie mieszkała pani we Włoszech. Jak może pani wierzyć w te bzdury? - Pokręciła głową. - Nie, nie, myli się pani. Pani ojciec miał romans z Isabellą Mancini, tak, ale to się skończyło, zanim...

Urwała nagle, ale wiedziałam, co chciała powiedzieć - zanim ona się pojawiła. Nie dokończyła jednak, bo w ten sposób przyznałaby się do romansu z Jon-Boymem.

- Poznałam Jon-Boya tutaj, w Rzymie - ciągnęła. - Podziwiałam jego talent. Razem z mężem pomagamy artystom, to tradycja rodzinna od czasów renesansu. Mój mąż bardzo polubił U dottore. Niejeden wieczór spędzili na dyskusjach o literaturze, pasjonowali się Hemingwayem, Dos Passosem i innymi pisarzami z tego okresu. Rozmawiali też o włoskich poetach, bo Jon-Boy analizował ich wiersze, przygotowywał się do pisania następnej książki. Świetnie się rozumieli i Jon-Boy często był w palazzo.

Na próżno usiłowałam sobie wyobrazić Jon-Boya w tych surowych wnętrzach, na twardej kanapie, pogrążonego w dyskusji o Dantem nad szklaneczką wina. Nie. Jon-Boy był człowiekiem z krwi i kości i nie wytrzymałby w tym otoczeniu.

- W szafie wisiła pani suknia - powiedziałam. - Z czerwonego szyfonu. Zaprojektował ją Giorgio Vivari.

Wzruszyła ramionami.

- Wiele kobiet nosi jego suknie.

- Nie tę. - Czekałam na jej reakcję. - Pokazałam ją signore Vivari. Powiedział, że zaprojektował ją specjalnie dla pani. Uszyto tylko jeden, jedyny egzemplarz, contessa. Dla pani.

Odetchnęła głęboko, wyraźnie chciała zebrać myśli i odzyskać kontrolę nad sobą. Szykowałam się na atak, ale znowu mnie zaskoczyła.

- Co mam powiedzieć? - odezwała się cicho, jakby się bała, że ktoś nas podsłucha.

Mam się przyznać, że miałam romans z Jon-Boyem? Niby dlaczego, cara? Żebyś potwierdziła podejrzenia mojego męża? Żebyś zniszczyła moje małżeństwo? Żebym straciła męża? I to wszystko z powodu mężczyzny, który nie żyje od lat?

Zabolała mnie szorstkość ostatnich słów, ale nie pokazałam tego po sobie.

- Nie chcę niszczyć pani małżeństwa - zapewniłam chłodno.

- Chcę tylko wiedzieć, co naprawdę spotkało mojego ojca. I jak go pani zabiła.

Twarz jej się wydłużyła, szeroko otworzyła oczy. Wstała.

- Mówiłam już, że nic nie wiem. Nie było mnie tam wtedy...

- Była pani - przerwałam jej. - Widziano panią. Była pani na urwisku, tamtej nocy, w potokach deszczu, wśród gradu i piekielnego wiatru. Pani wie, jak zginął mój ojciec. I musi mi pani to powiedzieć.

Zdenerwowana, podeszła do okna i przez dłuższą chwilę z rękami splecionymi na piersi, wpatrywała się w platan na pięknym dziedzińcu.

- Są świadkowie - dodałam miękko. - Jeśli pani chce, sprowadzę ich tutaj, żeby się pani przekonała, co wiedzą.

Milczała przez chwilę, potem się odwróciła.

- Nie zabiłam pani ojca - powiedziała tylko. - Taka jest prawda. Patrzyłam w piękną twarz kochanki mojego ojca, kobiety, którą uważałam za ucieleśnienie zła, za morderczynię. Nasze oczy się spotkały - widziałam, że zaraz się rozplacze.

I, ku mojemu zdumieniu, uwierzyłam jej. Sądzę, że nadal kochała Jon-Boya

## Rozdział 57

Na tle okna, w ramach wyznaczonych ciemnymi zasłonami, Cassandra wyglądała jak z portretu Sargenta: bogata, utytułowana, piękna, nietknięta piętnem czasu.

Kiedy powiedziałam, że jej wierzę, złagodniała odrobinę i na pięknej twarzy pojawił się cień uczucia. Usiadła koło mnie na twardej kanapie. Przyglądała mi się uważnie.

- Jest pani do niego bardzo podobna, to aż niesamowite - powiedziała w końcu. - Kiedy tu weszłam i panią zobaczyłam, wydało mi się nagle, że czas się cofnął do chwil, o których wolałabym zapomnieć. - Wzruszyła ramionami. - To oczywiście głupota. Pani ojca nie sposób zapomnieć.

Zadzwoniła po lokaja. Myślałam, że ~~każ~~ mu mnie odprowadzić, a ona zapytała, czego się napiję. Zaskoczona jej gościnnością, poprosiłam o wodę.

Ona zażyczyła sobie wódkę z tonikiem i lodem i szczerze mówiąc, pomyślałam, że alkohol dobrze jej zrobi. Posmutniała nagle. Unikała mojego wzroku.

Lokaj wrócił po chwili i podał nam szklanki. Cassandra w milczeniu sączyła swojego drinka, a ja się zastanawiałam, co chce mi powiedzieć, bo było jasne, że do tego zmierza.

- Dziękuję, że mi pani uwierzyła - powiedziała w końcu.

- Tak, miałam romans z Jon-Boyem, i tak, kochałam się w nim, na swój sposób. Bawił mnie. - Wzruszyła ramionami. - Sama pani wie, jaki był Il' dottore: przystojny, szarmancki, czarujący. - Zamyśliła się.

- Oczywiście to nie wszystko. Jon-Boy był zdolny do głębokich uczuć, wielkich uniesień, był bardzo wrażliwy i bardzo krytyczny. Zmienny i pełen sprzeczności, w jednej chwili chciał spokoju i samotności, w drugiej towarzystwa i zabawy. Nie byłam mu wierna i o tym wiedział, wiedział też dlaczego. Za bardzo mnie kochał, a ja nie mogłam na to pozwolić. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi absurdalnie, ale byłam mężatką. Miałam życie, z którego nie zamierzałam rezygnować. Jon-Boy zdawał sobie z tego sprawę, kiedy się poznaliśmy, wiedział, że między nami nie może być nic więcej niż zwykły romans, ale się zaangażował. Miał obsesję na moim punkcie; jego miłość mnie dławiła. W końcu nie mogłam tego dłużej wytrzymać, zresztą

wiedziała, że igrasza z ogniem i że mój mąż może się dowiedzieć. Powiedziałam Jon-Boyowi, że to już koniec. Błagał mnie, żebym po raz ostatni przyjechała do domku w Amalfi. - Znów wzruszyła ramionami.

- Zgodziłam się.

Dopiła drinka jednym haustem. W pustej szklance zadźwięczał lód, tak drżały jej ręce.

- Dziękuję, że mi pani to wszystko mówi - powiedziałam cicho, żeby nie zakłócić toku jej zwierzeń. Byłam ciekawa, co jeszcze opowie.

- Jon-Boy poprosił, żebym zabrała czerwoną suknię. „Włóż ją dla mnie ten ostatni raz, Cassandra, prosił. Chcę cię zapamiętać taką, jak wtedy, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, na przyjęciu sylwestrowym”. Więc włożyłam tamtą suknię na kolację i spryskałam się shalimar, jego ulubionymi perfumami. Od tego czasu ich nie używam, za bardzo mi go przypominają. Był pogodny jak zawsze, opowiadał o nowej powieści, mówił, że musimy wpaść do nowej knajpki na Capri... snuł plany na przyszłość i musiałam mu przypomnieć, że przyjechałam się pożegnać. Nie przyjmował tego do wiadomości. Było mi przykro, że się rozstajemy, ale miałam własne życie, obowiązki związane z moją pozycją społeczną, męża... Dla mnie to był koniec.

Odstawiła szklankę na stolik. Na szkle pozostał odcisk jej szminki. Wytarła go chusteczką.

Pochyliłam się lekko, oparłam dłonie na kolanach. Nie mogłam się doczekać dalszego ciągu.

- Teraz wiesz już wszystko, córko Jon-Boya - zakończyła. - Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Ależ tak! - zawołałam. - Była tam pani tej nocy! Brała pani udział w tym, co się stało...

Wstała, znowu wyniosła i opanowana.

- Zrozum - syknęła. W jej głosie czaiła się groźba. - Nie było mnie tam w noc śmierci Jon-Boya. I żaden z tak zwanych świadków, którzy, jak mówisz, mnie tam widzieli, nie zezna nic takiego. Nie pozwolę, byś szargała moje nazwisko i nazwisko mojej rodziny z powodu śmierci sprzed lat, z którą nie miałam nic wspólnego. Rozumiemy się, signora Harrington?

- Contessa... - zaczęłam, ale już szła do drzwi.

- Lokaj panią odprowadzi - rzuciła przez ramię. - Do widzenia, signora Harrington. - Odwróciła się przy drzwiach. Patrzyła na mnie i wiedziałam, że znowu widzi we mnie Jon-Boya.

- Cieszę się, że panią poznałam... ze względu na dawne czasy - powiedziała i wyszła.

RS

## Rozdział 58

Wróciłam do hotelu d'Nghilterra i zgodnie z obietnicą zaraz zadzwoniłam do Jammy.

- No i jak? - zapytała, słysząc mój głos.

- Jest dokładnie taka, jak w opisach Jon-Boya - zaczęłam zniechęcona. - Ale w takim pięknie jest coś nieludzkiego. Wiesz, o co mi chodzi, Jam? Jakby całe jej wysiłki skupiały się na zachowaniu urody.

- Cóż, przecież to jej główny atut - zauważyła. - Dzięki urodzie zaszła tak wysoko. Jeśli ją straci, będzie miała problem. Jaśnie hrabia znajdzie sobie inną, a Cassandra będzie liczyła na sowite alimenty. Chyba że spisali intercyzę.

- Dawniej intercyzy nie były tak powszechne - mruknęłam. - W każdym razie za same perły przeżyłaby dobrych kilka lat.

- Może namówię Matta, żeby mi kupił - powiedziała Jammy z zadumą.

- To dobra inwestycja. O, cholera, zapomniałam, albo perły, albo hipoteka, weterynarz i czesne studentki. - Rozbawiła mnie tym. - Opowiadaj dalej.

Opisałam palazzo, strażnika, lokaja, salonik, w którym mnie przyjęła.

- Miałam wrażenie, że się cofnęłam w czasie. Brakowało mi tylko upudrowanej peruki, krynoliny i wachlarza. Siedziałam na twardej brokatowej kanapie i pytałam contessa, czy zamordowała mojego ojca.

- I co?

- Mówi, że nie.

- I?

- Wierzę jej.

Jammy westchnęła dramatycznie, więc natychmiast dodałam:

- Nie zabiła go, Jam, ale przyznała, że miała z nim romans. Opowiedziałam jej wszystko i słuchała uważnie, póki nie doszłam do zawołanych gróźb contessa, która ostrzegła mnie, żebym nie brukała jej nazwiska, a świadkowie i tak nic nie powiedzą.

- Wiedziała, że blefuję - tłumaczyłam.

- Mifune zna prawdę, ale nie piśnie ani słowa. Podobnie jak Lorenzo. Zresztą jego i tak już nigdy nie zobaczę.



- Chwileczkę, chwileczkę! - wrzasnęła Jammy. - Jak to: nigdy go nie zobaczysz? Co contessa ma z tym wspólnego?

- Ich rodziny się przyjaźnią, pewnie od wieków, tak myślę. Contessa na pewno mu powie, że u niej byłam. Moim zdaniem Lorenzo uważa, że zabiła Jon-Boya i chce ją chronić. A skoro to wiem, jak mogłabym z nim być? Nawet gdyby on tego chciał, a na pewno nie zechce, bo w tajemnicy przed nim spotkałam się z contessa.

- A gdzie w tym wszystkim miejsce na miłość?

- Miłość?

- No, wiesz, podobno się kochacie. Miłość, szaleństwo, seks... wszystko, co najlepsze. Co z tym?

- Nie wiem - odparłam ze smutkiem. - Chyba spaliłam za sobą mosty i nie ma odwrotu. A najgorsze, że nadal nie wiem, jak zginął Jon-Boy.

- Lamour - powiedziała miękko. - Nie zastanawiasz się nigdy, czy w ogóle warto wiedzieć? To było tak dawno. Czy warto grzebać się w przeszłości, rozdrapywać stare rany, jeśli przez to tracisz szansę na szczęście? Błagam cię, Lamour, błagam... przemyśl to. Idź do Lorena. Przepróż, że wtykałaś nos w nie swoje sprawy, powiedz mu, że go kochasz i że nic innego się nie liczy. Zamieszkać z nim, wyjdź za niego... Nieważne, żyj. Obiecuj mi, że to zrobisz, proszę.

Nagle w słuchawce rozległ się głos Marta.

- Niechętnie to mówię - zaczął - ale moja żona ma rację. Lamour, chociaż raz pomyśl przede wszystkim o sobie. Chwytaj szczęście, kiedy jest w zasięgu ręki. Uwierz mi, to najlepszy, to jedyny sposób.

Obiecałam, że to przemyślę, i odłożyłam słuchawkę. Siedziałam na brzegu łóżka, zmuszona po raz kolejny w życiu przyznać się do klęski. Mieli rację, owszem, ale nie mogę przecież ot tak darować śmierci Jon-Boya. Jestem mu to winna, w zamian za piękne wspomnienia z dzieciństwa. Poza tym kochałam go.

Zadzwoił telefon.

- Pronto - mruknęłam apatycznie.

- Lamour.

Moje serce zabiło szybciej, ledwie usłyszałam głos Lorena.

- Jestem na dole, w barze - powiedział. - Zejdiesz do mnie?

Nie zastanawiając się, czy to prośba, czy rozkaz, zgodziłam się. Przeczesałam włosy, musnęłam usta szminką. Ciekawe, skąd wiedział, że tu jestem. No tak, na pewno Mifune mu powiedział, że pojechałam do Rzymu, a wiedział, że zawsze zatrzymuję się w tym hotelu.

Zjechałam windą do holu. Bar to kiepskie miejsce jak na koniec złudzeń. No, ale też nie spodziewałam się, że nasz romans zakończy się tak szybko.

Lorenzo siedział przy stoliku pod oknem. Wstał na mój widok. Poczułam ucisk w gardle. Był taki przystojny, taki silny. Niezwyciężony... Odkryłam jego tajemnicę i zaraz pożegna się ze mną na dobre....

- Lamour. - Musnął moją dłoń ustami.

Pocałunek w rękę to nietypowe powitanie jak na zakochanego do szaleństwa mężczyznę i Lorenzo świetnie o tym wiedział.

- Co za niespodzianka - powiedziałam, kiedy odsunął mi krzesło. - Co tu robisz?

Skinął na barmana i zamówił dwie lampki szampana. Zazwyczaj piliśmy go, by coś uczcić, ale nie dziś. Spojrzał na mnie.

- Przyjechałem do ciebie - odparł, a moje serce podskoczyło. - Rozmawiałem z Cassandra - dodał i moje głupie serce zamarło. Czułam, jak strach zaciska mi żołądek.

Podano szampana. Lorenzo podniósł kieliszek i wznosił toast:

- Za Jon-Boya, Lamour. Cześć jego pamięci.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Musiałam porozmawiać z Cassandra - powiedziałam. - Twierdzi, że go nie zabiła. Wierzę jej. Skinął głową.

- Wiem. I przykro mi, że musiałaś przez to przejść. - Uśmiechnął się po raz pierwszy. - Cassandra Biratta to trudny przeciwnik.

- Przyznała, że miała romans z Jon-Boyem. I ostrzegła mnie, żebym nie ważyła się szargać jej nazwiska. Coś mi się zdaje, że na jedno jej skinienie wydała mnie z Włoch w mgnieniu oka.

- Na pewno - przytaknął spokojnie. - Ale nie zagrażasz ani jej, ani jej rodzinie. Nie będziesz szukała dalej, Lamour.

- Nie? A niby dlaczego? - gniewnie podniosłam głos.

- Bo opowiem ci, co się wydarzyło. Całą prawdę. Gapiłam się na niego.

- Naprawdę? Calusieńką prawdę? - upewniałam się jak dziecko.

- Tak. Ale nie tutaj. - Wstał i wziął mnie za rękę. - Chodź. Potrzebujemy prywatności. Zabieram cię do siebie.

Z dłonią w jego dłoni poszłam do samochodu. Szofer przytrzymał mi drzwiczki. Lorenzo usiadł koło mnie i po chwili mknęliśmy przez zatłoczone ulice do domu, którego nigdy nie widziałam.

RS

## Rozdział 59

To także było stare palazzo, ale nie wyobrażam sobie większego kontrastu niż między przeładowaną przepychem siedzibą rodu Biratta a modernistycznym chłodem domu Lorenza. Nie puścił mojej dłoni, odkąd wyszliśmy z baru, i teraz wprowadził mnie do przestronnego holu. Usiadłam na czarnej skórzanej kanapie. Uśmiechnęłam się, bo przypomniały mi się narzekania Jammy, jakie to włoskie kanapy są twarde. Ta, miękka i wygodna, chyba przypadłaby jej do gustu. Przyglądałam się pastelowym, pięknym, ręcznie tkany dywanom, prostym meblom i przytłumionym światłom, i od razu poczułam się jak w domu. Ale nie przyszedłam tu podziwiać wystroju wnętrza.

Lorenzo usiadł naprzeciwko mnie z bardzo poważną miną. Pochylił się do przodu, oparł ręce na kolanach. Nagle przestraszyłam się tego, co mi powie. A jeśli to on zabił Jon-Boya? Krew odpłynęła mi z twarzy.

- Łamię świętą przysięgę, opowiadając ci to wszystko - zaczął. - Ale nie widzę innego wyjścia i mam nadzieję, że osoba, której ją złożyłem, wybaczy mi i zrozumie. Jest w tobie desperacja, Lamour, i wcale się temu nie dziwię. Na twoim miejscu czułbym pewnie to samo.

- Jestem to winna Jon-Boyowi - powiedziałam. Nagle ogarnął mnie lodowaty spokój. Byłam gotowa na rewelacje Lorenza, nieważne, dobre czy złe.

- Tylko siedem osób wie, co się wydarzyło tamtej nocy. Trzy z nich już nie żyją. Jon-Boy, Marella, moja żona, i jeszcze jedna kobieta. Jak się domyślasz, pozostali: ja, Nico, Mifune i Cassandra, nigdy nie powiedzą, co widzieli. Jest ku temu powód, ale o tym później. Zacznijmy od tego, że Jon-Boya lubili wszyscy. Tacy ludzie jak on wnoszą radość w codzienne życie; co za przyjemność siedzieć z kimś takim i gawędzić o książkach i pisarzach, winie, muzyce i podróżach. Po takiej pogawędce wraca się do domu lżejszym krokiem, z uśmiechem na twarzy. Oczywiście kobiety Ignęły do niego jak pszczoły do miodu; cóż w tym dziwnego? Traktował je jak najcenniejsze skarby, choć czasami związek trwał zaledwie kilka dni. Jednak z jedną było inaczej. Miała na imię Isabella.

- I... w dzienniku ojca - przerwałam mu. - Chyba bardzo ją kochał. Lorenzo skinął głową.

- Tak. Niestety, inną kochał jeszcze bardziej.

- Cassandrę.

- Tak jest. Cassandrę.

- Powiedziała mi, że kochał ją za bardzo. Że przytłaczał ją miłością.

- Skłamała. Miała obsesję na jego punkcie. Przejęła kontrolę nad jego życiem. Zmienił się. Nawet nie próbował pisać i to, moim zdaniem, największa tragedia. Nigdy nie wybaczyłem Cassandrze, że zmarnowała jego talent. Napisał jedną wielką powieść, w której opisywał swoją przeszłość. Opowiadał mi o pomysłach na następną, o swojej filozofii życiowej, o dzieciach. Uwierz mi, Lamour, kochał cię bardziej, niż to sobie wyobrazasz. Czasami mężczyźnie łatwiej jest mówić o uczuciach osobom postronnym, nie tym bezpośrednio zaangażowanym. I przyznaję, że ledwie się dowiedziałem, że zamieszkałaś w Domku Kochanki, chciałem cię poznać. Ale musiałem chronić mój świat. Stąd te wszystkie kłopoty.

Czekałam, aż wyjaśni, co miał na myśli, mówiąc „chronić mój świat”. Czyżby Nico miał coś wspólnego z morderstwem?

- Jon-Boy był z Isabellą od kilku lat - opowiadał dalej. - Śliczna dziewczyna, prosta, słodka, spokojna. Pochodziła z biednej rodziny i nie chciała od niego niczego poza miłością i troską. Pracowała w rzymskiej piekarni, do której codziennie wstępował na kawałek białej pizzy...

- To była jego ulubiona - wpadłam mu w słowo i uśmiechnęłam się, bo przypomniałam sobie, jak idziemy Campo de Fiori z gorącą pizzą. Nigdy nie czekaliśmy, aż ostygnie, i jedliśmy, parząc palce i języki.

- Isabellą zamieszkała z Jon-Boyem w Rzymie, ale nadal pracowała w piekarni, wymykała się o świcie, zostawiała go samego. Mówiła mi, że jej ojciec to rolnik konserwatysta i chyba zabiłby Jon-Boya, gdyby się dowiedział o ich romansie. Dlatego nadal pracowała; chciała jakoś uciszyć sumienie; przynajmniej wciąż była finansowo niezależna. Nigdy nie brała od Jon-Boya pieniędzy, ani centa.

- Czy była piękna? - zapytałam tęsknie. Szkoda, że nie poznałam kobiety, która tak bardzo kochała mojego ojca.

Długo myślał nad odpowiedzią.

- Nie tak piękna jak Cassandra, ale miała wdzięk i tak, była ładna, na swój sposób. Przypominała mi włoskie gwiazdy filmowe Felliniego: Sophie Loren, Claudię Cardinale, Monice Vitti, kobiety zmysłowe, piękne, poważne. Była urocza. - Wbił ręce w kieszenie, pochylił głowę, krążył nerwowo po pokoju. - Ważne, żebyś wiedziała o niej jak najwięcej - dodał i spojrzał na mnie. Skinęłam głową. - Zatrzymał się. - Ich związek przechodził kryzys; Jon-Boy mówił, że męczy go niemożność pisania i pragnienie Isabelli bycia kochaną. I wtedy poznał Cassandrę, i wszystko się zmieniło. Myślał tylko o niej. Nie przejmował się pracą, zaniedbywał Isabellę. Pokochał szaleńczą, namiętą, tragiczną miłością kobietę, która nie była tego warta. Doprowadzała go do szaleństwa, a on na to pozwalał. - Lorenzo przystanął przede mną. - Oczywiście Cassandra wiedziała o Isabelli i wyrzuciła ją z życia Jon-Boya w takim tempie, że biedaczka nie zdążyła się nawet zorientować. Bez wiedzy Jon-Boya usunęła jej rzeczy z jego mieszkania, zmieniła zamki, powiedziała jej, że Jon-Boy nie chce jej więcej widzieć i że ma wracać na wieś, do Ligurii. Cassandra pilnowała Jon-Boya jak więzienny strażnik. Nikogo do niego nie dopuszczała. Wyobrażała sobie, że jest jego muzą, chciała być tą, która zainspiruje go do napisania nowej powieści, aby później chwalić się na przyjęciach jako swoją nową zdobyczą. Isabellą dzwoniła do mnie i błagała o pomoc. Robiłem, co w mojej mocy. Rozmawiałem z Jon-Boyem, ale on był jak zaczarowany. „Kocham Cassandrę, Lorenzo, powiedział. Nic nie mogę zrobić, chyba tylko wysłać Isabelli pieniądze”. Rozzłościło mnie, że tak ją traktuje, i powiedziałem, że w ten sposób upokorzy ją jeszcze bardziej. Oczywiście, sam wspierałem ją finansowo i była mi za to wdzięczna. Lecz nikt z nas nie wiedział, że Isabella była w ciąży.

Zamurowało mnie. Usiadł obok mnie i wziął mnie za rękę.

- Lamour, teraz ci zdradzę, co się wydarzyło tamtej nocy. To będzie bolesne, ale wreszcie poznasz prawdę. - Zajrzał mi głęboko w oczy i zaczął opowiadać.

## Rozdział 60

Od samego rana zanosilo się na sztorm. Na niebie kłębiły się wielkie cumulusy, mknęły jak statki gnane północnym wiatrem. Morze było wzburzone, na falach pieniały się bałwany, niby nic poważnego, ale byłem niespokojny. Powtarzałem sobie, że to dopiero październik, za wcześnie na groźny sztorm. Nico miał siedem lat. Był akurat w domu, bo w szkole wybuchła epidemia świnki. Zabrałem go do zatoki, kiedy szedłem sprawdzić, czy łodzie są porządnie zacumowane.

Stały tam wówczas trzy łodzie: moja stara łódź rybacka, nasz nowy jacht i mała żółta łódka z wyjmowanym silnikiem. Moja żona pływała nią do Piraty po zakupy.

Spojrzałem na horyzont; ciemna kreska oddzielała morze od nieba, a to, jak wiedziałem, oznaczało kłopoty. Ale tak wcześnie? Zastanawiałem się, czy nie wezwać robotników i nie wyciągnąć łodzi na brzeg, ale uznałem, że nie trzeba.

Po południu morze huczało groźnie, ogromne, powolne fale uderzały w klif. Wiatr przybrał na sile, drzewa się gięły, trawa ścieliła nisko, leśne stworzenia uciekały w popłochu. Dla mnie nie było to nic nowego i nie przejmowałem się zbyt, pewien, że wszystko będzie w porządku.

O piątej zrobiło się ciemno. Pomyślałem o Jon-Boyu; jego domek był narażony na silne podmuchy wiatru. Nie wiedziałem, czy tam jest, ale uznaliśmy z Mifune, że warto sprawdzić, czy wszystko zostało zabezpieczone.

Jon-Boy stał na tarasie, podziwiał wzburzone morze i pochmurne niebo.

- Cześć! - zawołał na nasz widok. - Widzieliście kiedyś coś takiego? Chyba zanosić się na koniec świata.

- Owszem, jeśli nie wejdiesz do środka. - Cassandra stanęła w oknie.

- Lorenzo, powiedz mu, że to szaleństwo, a potem chodź na drinka.

Razem z Mifune pomogliśmy mu zamknąć okiennice, a później ogrodnik poszedł obejrzeć stary cedr przy wodospadzie. Bardzo lubi to drzewo i wiedziałem, że zależy mu, by przetrwało.

Jon-Boy rozpałił w kominku, dorzucił jeszcze jedno polano, nalał mi wina. Cassandra siedziała na kanapie. Widziałem, że jest wściekła. Dziwne,

wystroić się w tę suknię z czerwonego szyfonu. Zaintrygowało mnie dlaczego - Jon-Boy był, jak zwykle, w koszulce i szortach. Myślałem, że chciała być piękna i seksowna tylko dla niego. Wstała, żeby sobie dolać, i uderzyło mnie, jaka jest piękna. Zauważyłem też, że chwieje się na nogach. Piła czystą wódkę i nie był to jej pierwszy kieliszek. Miałem nieprzyjemne uczucie, że przed chwilą się kłócili. Nie myliłem się, bo nagle zaczęła prowokować Jon-Boya, wyrzucała mu, że nie pisze. Chciałem sobie pójść, ale wiedziałem już, że zanosi się na poważny sztorm, i martwiłem się o nich. W takim małym domku niebezpieczeństwo czai się na każdym kroku: ziemia może się osunąć, drzewo zwalić...

- Jeśli rozpuła się tak groźna burza, jak się tego obawiam, będziecie bezpieczniejsi w castello - powiedziałem, ale Jon-Boy się roześmiał i zapewnił, że nic im nie będzie.

Kiedy biegłem po schodach, zdziwiłem się, widząc samochód. Kierowcy nie widziałem, a wóz nagle zawrócił. Nie patrzyłem za nim dalej, pobiegłem w powrotem do castello.

Opowiedziałem Marelli o Cassandrze, wystrojonej, pijanej, dokucającej Jon-Boyowi. Powiedziała wtedy, że Cassandra jest głupia.

- Jon-Boy za bardzo ją kocha - dodała. - Rzucił dla niej porządną dziewczynę, a ona teraz robi z niego maskotkę. Chce być muzą wielkiego pisarza i chwalić się nim na przyjęciach. Nic jej nie obchodzi, że skrzywdziła biedną Isabelłę, że już nie wspomnę o hrabim, jej mężu.

Nie sądziłem, żeby ten cokolwiek podejrzewał. Ilekroć go widziałem, odnosił się do żony z nienaganną uprzejmością i nikt by nie przypuszczał, że w ich małżeństwie istnieje choćby najmniejsza rysa. Marella twierdziła, że był równie głupi co zarozumiała i nawet mu do głowy nie przyszło, że żona śmiałaaby zdradzić członka wielkiego rodu Biratta.

Usiedliśmy do kolacji przy akompaniamencie wycia wiatru i łomotu okiennic w szyby. Nico ciągle się wymądrzał, że trzeba było wyciągnąć łodzie na brzeg. I miał rację. Powiedziałem mu, że teraz jest już za późno. - Lorenzo uśmiechnął się smutno. - Ale wiesz, jaki on jest: nigdy nikogo nie słucha, zwłaszcza mnie, a jacht był jego najnowszą miłością i bardzo się o niego bał. Po kolacji wymknął się z domu. Zorientowaliśmy się po dziesięciu minutach. Od razu wiedziałem, gdzie go szukać.



Lało jak z cebra, padał też grad, zacinało z boku, tak że prawie nic nie było widać. Na horyzoncie szalały błyskawice. Umierałem ze strachu o Nica: śliska scalatinella, fale na molo... Zbiegłem do zatoczki. Nigdzie go nie było.

Urwał, spojrzał na Lamour.

- Nawet nie potrafię opisać, co wtedy myślałem. Stałem na pustym molo, patrzyłem na rozkołysane łodzie, słuchałem, jak głośno wałą o pale, a mojego syna nigdzie nie widać. Stanęło mi przed oczami sto koszmarnych wizji, jedna gorsza od drugiej.... I wtedy go usłyszałem.

- Papa, papa! - biegł do mnie ze schodów. - Papa, chodź szybko!

- Co się stało? - Złapałem go za ramiona. - Co jest, Nico?

- Chodź, chodź. Jon-Boy... - Histerycznie szarpał mnie za rękę, więc pobiegłem za nim do Domku Kochanki. Poszedł tam po Jon-Boya, żeby mu pomógł przy łodzi.

Drzwi były otwarte, wiatr szarpał nimi wściekle, aż ogień na kominku gasł i wybuchał z nową siłą. Cassandra, piękna diablica w czerwonej sukni, stała naprzeciwko Isabelli w zaawansowanej ciąży. Miałem jedynie moment na zastanowienie się i wtedy przemknęło mi przez głowę, że Isabella wygląda jak biedny zagubiony elf, jak dziecko, przemoczona, z ociekającymi wodą włosami, z wielkim brzuchem...

- Wynoś się, ty szmato! - wrzeszczała Cassandra.

Isabella nie zwracała na nią uwagi, mówiła tylko do Jon-Boya.

- Dzwoniłam - słyszałem jej słodki, niski głos. - Zostawiałam ci wiadomości. Chciałam ci powiedzieć o dziecku... dowiedziałam się, gdzie mieszkasz, ale mnie nie wpuścili... Nie szukałeś mnie... już cię nie obchodzę... Nie obchodzi cię nawet to, że noszę twoje dziecko. Ale ona wiedziała i uznałam, że ty też powinieneś, mimo wszystko...

Cassandra uderzyła ją w twarz. Jon-Boy złapał contessa i odepchnął gwałtownie. Obchodziła go już tylko Isabella.

- Nie wiedziałem, przysięgam - zaklinał się. Był w rozpacz. - Nie zostawiłbym cię... - Wyciągnął do niej rękę.

Kątem oka widziałem, jak Cassandra chwyta nóż do papieru z biurka Jon-Boya. Rzuciła się na Isabellę, ale złapałem ją w ostatniej chwili.

- Kłamie! - wrzeszczała. - Zresztą Jon-Boy wie, że jesteś w ciąży, i nic go to nie obchodzi. Wie, że to nie jego dziecko.

Wykręciłem Cassandrze rękę, choć wolałbym skrócić jej kark, i nóż upadł na podłogę.

Jon-Boy wyglądał tak, jakby się bał wziąć Isabellę w ramiona i ją pocieszyć. Z ociąganiem wyciągnął ręce. Przez dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy. Czego szukała? Chyba odpowiedzi. I jej nie znalazła.

Lorenzo przysunął się do Lamour i wziął ją za rękę.

- Widziałem, jak coś w niej pęka. Widziałem to w jej oczach. Podniosła nóż i rzuciła się na Cassandrę. Gdzieś w tle wrzeszczał Nico. Jon-Boy krzyknął: - Nie! Nie! - i złapał nóż za ostrze. Rozciął sobie rękę.

Cassandra milczała. Isabellą spojrzała na nóż, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu i na zakrwawioną rękę Jon-Boya. Jej twarz wykrzywił ból. Oparła dłonie na brzuchu i jęknęła.

Dostrzegłem Mifune w progu. Nico podbiegł do niego, przytulił się, wystraszony. Na chwilę wszystko ucichło, tylko wiatr tańczył z ogniem w kominku.

- Isabello, pomogę ci - powiedziałem w końcu. - Zabiorę cię do castello, wezwiemy lekarza. Wszystko będzie dobrze. Później porozmawiasz z Jon-Boym.

Spojrzała na mnie tymi wielkimi, ciemnymi oczami, ale miałem wrażenie, że już jej z nami nie ma. Nagle, w przyływie energii, odepchnęła Mifune i puściła się biegiem, schodami do zatoki.

Jon-Boy rzucił się za nią. Cassandra złapała go za ramię. Odepchnął ją.

- Nigdy ci tego nie wybaczę - powiedział i pobiegł za Isabellą. Cassandra osunęła się na krzesło. Łzy płynęły jej po policzkach i kiedy je otarła, umazała sobie policzki krwią Jon-Boya. Nie współczułem jej wtedy.

- Chodź, Mifune! - zawołałem i ruszyłem za Jon-Boym. - Nico, poczekaj tutaj. Tu będziesz bezpieczny.

Ale mój syn pobiegł za nami do zatoki.

Deszcz zacinał, tak że prawie nic nie widzieliśmy, ale znam te schody jak własną kieszeń, wiem, gdzie trzeba przeskoczyć, gdzie zwolnić. W świetle błyskawic zobaczyłem, jak Isabellą się potknęła. Jon-Boy pędził do niej. Wstała, zanim do niej dobiegł. Ruszyła na molo.

Dogonił ją wreszcie, wyciągnął ramiona, przytulił. Osunęła się bezwładnie. Boże, pomyślałem przerażony, umarła. Słyszałem za sobą kroki Mifune i Nico... Słyszałem też głuchy łoskot, gdy kamienie osuwały się z klifu na molo.

Jon-Boy położył Isabellę na ziemi, pochylił się nad nią, coś mówił. Pokonałem biegiem ostatnie stopnie... Nagle ożyła, zaczęła z nim walczyć. Wstał, poślizgnął się, upadł koło niej. Byłem już tak blisko... leżał bez ruchu. Isabellą klęczała nad nim. Widziałem, jak się pochyliła i pocałowała go. Widziałem, jak podniosła duży kamień i uderzyła go w głowę. Mimo wycia wiatru słyszałem, jak pękła mu czaszka. A potem waliła jego głowę o molo. Raz po raz.

Odechnąłem ją, podniosłem Jon-Boya, ale już nie żył.

Spojrzałem na Isabellę. Stała tam, dyszała jak wystraszone zwierzątko, zasłaniała dłońmi brzuch i dziecko.

Rozejrzałem się za Mifune - był przy Nicu, który się przewrócił. Pobiegnę do nich, upewniłem się, że małemu nic się nie stało, i krzyknąłem na Mifune, żeby mi pomógł. Kiedy się odwróciłem, Isabellą jakimś cudem już zawlokła Jon-Boya do żółtej łódki. Zrzuciła cumę i wskoczyła do środka. Łódka kręciła się jak łupina orzecha i na moich oczach fale niosły ją coraz dalej od brzegu.

## Rozdział 61

W ciemną noc - szepnęła Lamour przez łzy. - Tak to się stało - powiedział cicho Lorenzo. - Przykro mi, Lamour. Nie chciałem ci tego mówić. Ale teraz znasz prawdę. Chciałby jej pomóc, lecz nie potrafił. Musi się sama uporać z rozpaczą.

- Nie mogłem nic zrobić, tylko czekać, aż sztorm osłabnie i morze ich nam odda.

Podał jej szklanekę wody i poczekał, aż przestanie płakać, zanim podjął przerwana opowieść.

- Następnego ranka straż przybrzeżna zobaczyła żółtą łódkę kilka mil od brzegu. Na pokładzie była tylko jedna osoba. Isabellą, półżywa. I dziecko, które urodziła podczas sztormu.

Lamour wstrzymała oddech. Lorenzo objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Isabellą umarła, Lamour. Ale jej córka przeżyła. Znieruchomiła.

- Córka Jon-Boya - powiedziała.

Lorenzo ujął jej twarz w dłonie. Chyba nigdy nie kochał jej bardziej niż w tej chwili, właśnie dlatego, że przez to, co zaraz miał powiedzieć, mógł ją stracić.

- Teraz to moja córka, Lamour. Aurora. Spojrzała mu w oczy.

- Było nam żal tego dziecka. Czy możesz sobie wyobrazić coś gorszego? Jej matka zamordowała jej ojca i małeństwo zostało samo. Kiedy zobaczyłem Marellę z noworodkiem w ramionach, wiedziałem, że ją zatrzymamy. To było jedyne wyjście. Ale Marella postawiła pewien warunek. Aurora miała nigdy nie poznać prawdy o swoich biologicznych rodzicach. Uznaliśmy, że nie ma sensu, by dziecko cierpiało z ich powodu. Trzy lata później, na łożu śmierci, Marella wymusiła na mnie ponownie tę przysięgę.

- Rozumiesz więc - zakończył - że kiedy tu przyjechałaś i za wszelką cenę starałaś się poznać prawdę, robiłem co w mojej mocy, by cię zniechęcić. - Uśmiechnął się smutno. - Oczywiście na nic się to nie zdało, bo oczarowałaś mnie od razu. Mogłem się spodziewać, że córce Jon-Boya się to uda.

- Jak Aurorze - szepnęła Lamour.

- Jak Aurorze - zgodził się. - Teraz znasz prawdę i wiesz, czemu ją rozpieszczę, czemu jest taka czujna i niepewna miłości najbliższych. Jest w niej strach i rozpacz, których nie umiem zwalczyć. Po śmierci Marelli sytuacja bardzo się pogorszyła. Psychologowie twierdzą że to z powodu okoliczności jej narodzin. Rozszalała żywioty, umierająca matka... Urodziła się w zimnie i deszczu, nikt jej nie przytulił. Nie nawiązała emocjonalnej więzi z matką. Aurora nie jest zdrowa. Cierpi na depresję maniacką i czasami z trudem przychodzi jej każdy oddech, utrzymanie się przy życiu. A ja żyję w ciągłym strachu, że coś sobie zrobi... Może nasza miłość przyszła dla niej za późno. Wzruszył ramionami. - Ale mam nadzieję, że nie.

Podał Lamour wodę. Upiła łyk i spojrzała na niego znad brzegu szklanki.

- Biedna, biedna Aurora - szepnęła. Po raz pierwszy zrozumiała, co dziewczyna przeżywa. - Dziękuję, że mi powiedziałeś. Marella wybaczyłaby ci to, gdyby знаła okoliczności.

- Też tak sądzę. Oczywiście Aurora nadal nie wie o Jon-Boyu i Isabelli. Teraz się zastanawiam, czy postąpiliśmy słusznie. Może od razu trzeba jej było powiedzieć prawdę.

- Wtedy wiedziałaby przynajmniej, że ma siostrę - mruknęła Lamour. Dopiero teraz to do niej dotarło.

Lorenzo uśmiechnął się nagle.

- Mówiłem ci już, dlaczego cię kocham? - zapytał i po chwili szukali ukojenia w swoich ramionach.

## Rozdział 62

Choć Aurora od dziecka wiedziała, że została adoptowana, nigdy nie pytała Lorenza o biologicznych rodziców. Zakładał, że po prostu jej to nie interesuje, ale teraz uznał, że musi poznać prawdę, a jej psychiatra się z nim zgadzał. Znając słabą psychikę Aurory, Lorenzo wołał pominąć drastyczne szczegóły. Omówił wszystko z Mifune, który był świadkiem dramatycznych wydarzeń tamtej nocy i znał Aurorę od dnia jej narodzin.

- Proszę jej powiedzieć, że zawsze była kochana - poradził stary ogrodnik.  
- Dla niej miłość jest najważniejsza.

Po południu Lorenzo poszedł szukać córki. Rozglądał się uważnie, ale to Affare ją znalazła. Aurora siedziała w domku na drzewie, w którym w dzieciństwie bawiła się z Nikiem.

Lorenzo pociągnął za sznurek, który zawiesili jako system ostrzegawczy przed dorosłymi. Aurora wychyliła się przez małą balustradkę.

- Jak Julia - stwierdził Lorenzo ze śmiechem.

- Ale bez Romea - odparła z ową posepną nutą w głosie, która, jak wiedział, oznaczała, że ma gorszy dzień.

- Chodź tu, posiedź ze starym ojcem - poprosił i usiadł na kamiennej ławeczce w cieniu pinii. Ten zakątek zawsze przywodził mu na myśl obrazy florenckiego malarza Paola Uccella.

Aurora powoli schodziła z drabiny. Była blada, nie uczesała długich włosów. Szła boso. Miała na sobie stare dżinsowe szorty i pogniecioną koszulkę. Wyglądała, jakby dopiero wstała, i tak naprawdę było, bo spędziła w domku noc. Lorenzo zaniepokoił się, czy zażywa lekarstwa, ale wołał nie pytać, żeby jej nie prowokować. Nico to sprawdzi.

Affare skakała radośnie na jej widok i Aurora uśmiechnęła się lekko. Lorenzo się ucieszył. Oby ten dobry humor nie przysł.

- Carina, często mnie intrygowało, czemu nigdy nie pytasz o biologicznych rodziców - zaczął. - Nigdy nie byłaś ciekawa? Masz już dwadzieścia jeden lat.

- Nie pytałam, bo nie chciałam cię urazić, papo - odparła.

- Rozumiem. - Wziął ją za rękę. - I wiem, że zawsze będziesz uważała za rodziców mnie i Marellę, bo zawsze nimi byliśmy i będziemy. Ale chyba

powinnaś wiedzieć, carina, że znałem twoją biologiczną matkę. Miała na imię Isabella i była śliczna, skromna, prosta, niewiele starsza niż ty teraz. Nie miała męża. Pewnego dnia pokłóciła się z ukochanym, bo znalazł sobie inną, i uciekła. Była w ósmym miesiącu ciąży, gdy wypłynęła na morze.

- To był ten legendarny sztorm, w którym zginął Jon-Boy?

- Tak. Jon-Boy próbował ją ratować. Niestety, on także zginął. Kiedy straż przybrzeżna odnalazła łódź, ty właśnie przyszłaś na świat, a Isabella umierała. Nie udało się jej uratować. Umarła kilka minut później. A kiedy zobaczyłem cię w ramionach Marelli, kiedy zobaczyłem maleństwo o wielkich oczach i ciemnych włosach, wiedziałem, że z nami zostaniesz, że ta tragedia przyniosła coś dobrego, że mamy ciebie. - Ucisnął jej dłoń i patrzył na nią z niepokojem. - Daliśmy ci na imię Aurora na cześć bogini świtu, bo przyszłaś do nas o świcie. Byłaś nam przeznaczona, Auroro, a my tobie. Jesteś moją córką tak samo, jakbym był twoim biologicznym ojcem.

Aurora jęknęła tak rozpaczliwie, że Affare zawyla. Dziewczyna z płaczem schroniła się w ramionach Lorenza. Delikatnie głaskał ją po plecach, jak kiedy była mała i bała się zasnąć, bo we śnie zawsze czyhały na nią koszmary.

- To nie twoja wina, carina - szeptał. - To niczyja wina. Isabella umierała, jeszcze zanim się urodziłaś. Zabił ją brak rozsądku, nie ty. Nie jej dziecko. Uwierz mi, Auroro, to nie twoja wina.

- A czyja? - Gwałtownie podniosła głowę i przeszła go wzrokiem. -Kto jej zrobił dziecko? Kim był jej ukochany? Kto jest moim ojcem?

- To był dobry człowiek. Wszyscy go bardzo lubili. Byłby dobrym ojcem.

- Skąd wiesz?

- Bo znam jego drugą córkę - odparł. Kości zostały rzucone, ale nie wiedział, czy jednocześnie nie otwiera puszki Pandory. Aurora gapiła się na niego z szeroko otwartymi ustami.

- Jon-Boy Harrington - powiedział. Aurora zmarszczyła brwi, zaskoczona.

- Il' dottore! - Oczywiście ona także słyszała o słynnym pisarzu. Po chwili dodała z niedowierzaniem: - Ojciec Lamour?

Lorenzo skinął głową

- Lamour jest twoją siostrą przyrodnią.

Aurora odwróciła głowę, wpatrzona w dal.

- Nie lubię jej - powiedziała w końcu.
- Nie znasz jej - poprawił Lorenzo. - Ale teraz macie szansę się odnaleźć.
- Kochasz ją - stwierdziła z wyrzutem.

Lorenzo zdawał sobie sprawę, że jest zazdrosna, i tłumaczył jej, że któregoś dnia sama zrozumie, że miłość kobiety i mężczyzny jest inna niż miłość ojca i córki.

- Zapytaj Lamour - dodał na zakończenie. - Nie znam dziecka, które bardziej kochałoby ojca.

Zdziwiło go, że Aurora nie płacze. Siedziała sztywno wyprostowana, spokojna i całkowicie opanowana. Miał wrażenie, że szok poznania własnej przeszłości przyniósł jej ulgę.

- Dziękuję, papo, że mi to powiedziałaś. - Wstała. - Pójdę na spacer. Sama. Muszę to wszystko przemyśleć.

Objął ją serdecznie.

- Rozumiem, carina - zapewnił miękko. - Ale zawsze pamiętaj, że jesteś moją córką, córką mojego serca. To się nigdy nie zmieni.

Aurora odeszła z uśmiechem i Lorenzo pomyślał, że wydaje się pogodzona sama ze sobą.



## Rozdział 63

Mifune pracował przy basenie, gdy zobaczył Aurorę. Nadchodziła ścieżką po rozmowie z Lorenzem.

Szła powoli, z dumnie uniesioną głową, pozornie obojętna, jednak kiedy tylko się przekonała, że znikła ojcu z oczu, opuściła ramiona i pochyliła głowę. Osunęła się na ziemię i leżała skulona, z kolanami pod brodą, z głową ukrytą w ramionach, skręcona jak dziecko w łonie matki. Z jej ciała było napięcie i strach.

Początkowo Mifune myślał, że płacze, ale po chwili zorientował się, że to co innego. Aurora zawodziła jak duch. To wycie wydobywało się z ukrytej części jej duszy, nad którą nie panowała. Śliczna młoda kobieta, którą znał od urodzenia, zmieniła się w małe przerażone zwierzątko, które nie wie, co robić.

Mifune usiadł koło niej, ale Aurora była tak udręczona, że go nie zauważyła, póki się nie odezwał.

- Malutka - zaczął miękko. - Nie ma powodu tak cierpieć. Przeżyłaś szok, tak, ale po co cierpieć? Ojciec nadal cię kocha, tak samo jak przedtem, odkąd zobaczył cię po raz pierwszy. Matka także.

Aurora gwałtownie podniosła głowę. Spojrzała na niego zza zasłony czarnych włosów.

- Matka? Nawet ty wiedziałeś, kim była. Wszyscy wiedzieli, oprócz mnie. Byłam idiotką, której nikt nie chciał powiedzieć prawdy. Jestem bękartem, dzieckiem szmaty i Jon-Boya Harringtona....

- Nie waż się tak mówić o Isabelli. - W głosie Mifune pojawiły się ostre nuty. - Twoja matka była prawdziwą damą: była delikatna, czuła, dobra...

Aurora roześmiała się gorzko.

- Ależ ze mnie pomiot, Mifune. I pomyśleć, że cały czas uważałam się za córkę Marelli i Lorenza Piraty. Wmawiałam sobie, że jestem ważna, bo należę do nich, że jestem kimś, a nie nikim, jak mi się czasem wydawało. Wiesz, co to za uczucie, Mifune? Co rano budzić się z głową pełną pytań: Kim dziś jestem? Jaka będę? Dobra czy zła, smutna czy pogodna? Boże, błagam, spraw, żeby dzisiaj był jeden z lepszych dni, nie pozwól, żeby znowu ogarnęła mnie czarna chmura depresji. Nie, oczywiście, że nie wiesz,

skąd miałbyś to wiedzieć? Tylko ci, których dręczy depresja, ten wielki czarny pies, co to i tak cię pokona pewnego dnia, i tak wygra, tylko ci wiedzą. Czasami łudzisz się, że może uda ci się normalnie żyć, że nie zawsze będziesz szukać zagubionej części swojej duszy, że kiedyś uda ci się wstać z łóżka bez wysiłku, że znajdziesz sens w życiu i nauczysz się żyć normalnie. Ale wiesz co, Mifune? Mam dwadzieścia jeden lat i nadal nie wiem, co to znaczy: normalnie.

Mifune jej nie dotykał, wiedział, że wówczas zamknie się w sobie, a chciał, żeby mówiła, żeby wyrzuciła z siebie wszystko i jakoś przetrwała najgorsze chwile. Bardzo chciał jej pomóc, ale zdawał sobie sprawę, że jego małe mądrości nie wystarczą.

- Skarbie - szepnął. - Ja też musiałem odnaleźć siebie. Zostałem sierotą w wieku dwóch lat. Nie pamiętam rodziców. Wujostwo zabrali mnie na północ Japonii, na farmę. Najpierw umarli moi rodzice, potem ciotka. Nie było pieniędzy na naukę. Byłem prostym wieśniakiem i pracowałem razem z wujem. Musiałem się z tym pogodzić i odnaleźć wewnętrzny spokój. W moim życiu nie było miłości. Nie miałem tyle szczęścia co ty, Auroro. Nie znalazłem rodziny, która obdarzyłaby mnie miłością.

- Rodziny zastępczej - rzuciła zjadliwie, z goryczą.

- Nie, rodzina Pirata nie dała ci miłości zastępczej. Obdarzyli cię czystą, piękną miłością, zawsze o tym pamiętaj. Obserwuję od lat, jak walczysz z depresją. Wiem, że jest ci ciężko, i błagam, zrozum, uwierz, że Lorenzo i Marella zawsze kochali cię tak samo jak Nica. Nigdy nie traktowali was inaczej, zawsze uważali was za swoje dzieci i obdarowali miłością. Nie odrzucaj tego daru, Auroro. Niech ojciec pomoże ci walczyć z chorobą w te dni, kiedy nie masz siły wstać z łóżka, kiedy czarny pies odbiera ci sens życia. Ojciec zawsze ci pomagał; wiesz, że zrobi dla ciebie wszystko. Teraz także.

Skulona jak embrion, Aurora ukryła się przed wszystkowiedzącym wzrokiem Mifune za zasłoną ciemnych włosów. Milczała przez dłuższą chwilę, bo rozmyślała i nie chciała, by wiedział, co jej chodzi po głowie. Czarny pies zniknął równie nagle, jak się pojawił. Teraz wszystko było jasne. Wiedziała, co zrobić. I wiedziała, kogo chce zabrać w ostatnią podróż.

Wstała z trudem.

- Mifune, dziękuję za rady - powiedziała i ukloniła się. A potem odrzuciła włosy na plecy i odeszła ścieżką nad urwisko, nad morze, na którym umarła jej matka, zginął Jon-Boy, a ona się urodziła. Zbiegła scalatinella do Domu Kochanki, w którym mieszkała jej przyrodnia siostra, Lamour Harrington.

Mifune, niezauważony, szedł za nią. Coś w Aurorze, w jej nagłej zmianie nastroju, zaniepokoiło go. Ukrywała coś, zdradzał to język ciała. Aurora zawsze była nieprzewidywalna, a teraz stała się niebezpieczna. Nie wiedział, co zamierza.

RS

## Rozdział 64

Jak zwykle siedziałam w altance z lampką wina i podziwiałam niebo, dziś różowo-pomarańczowe. Srebrzyste morze odbijało ciepłe kolory, i wydało mi się, że jestem w olbrzymim kalejdoskopie, gdzie każdy fragment drży i błyszczący, zmieniając się co chwila. - Miasorella - powiedział ktoś cicho.

Podniosłam głowę. Aurora stała przy altance. Nazwała mnie siostrą i wiedziałam, że Lorenzo jej powiedział, ale z jej głosu nie mogłam wywnioskować, czy mówi szczerze, czy ironicznie.

- Nie wstawaj - poprosiła. - Posiedzę tu z tobą dobrze?

- Proszę. - Wskazałam wolne krzesło i zaproponowałam wino. Nalałam jej kieliszek i siedziałyśmy w nieprzyjemnym milczeniu, wpatrzona w morze, byle nie patrzeć na siebie.

- Jesteśmy siostrami - odezwała się w końcu. Skinęłam głową.

- Lorenzo mi powiedział.

- Bardzo kochałaś ojca? - zapytała. Jakoś smutno, zauważyłam.

- Tak. Wiem, że nie był bez skazy, ale kto jest? - Wzruszyłam ramionami.

- Ja na pewno nie. Ale Jon-Boy był dobrym człowiekiem. I wiesz co? - Uśmiechnęłam się. - Był fajnym kompanem. Świetnie się bawiliśmy, kiedy byłam mała, zwłaszcza tu, we Włoszech. Moje najpiękniejsze wspomnienia wiążą się z Rzymem i tym domem. Dlatego wróciłam. Moje życie waliło się w gruzy i chciałam sobie przypomnieć, jak to jest być szczęśliwą.

Przyglądała mi się dziwnie tymi wielkimi ciemnymi oczami, które zdawały się nie odbijać światła.

- I jakie to uczucie, szczęście? - zapytała.

Spojrzałam na nią zdumiona. Ona, dziecko obdarzone miłością i wysoką pozycją społeczną pyta mnie, podrzucaną sąsiadom, rzadko widującą ojca, czym jest szczęście. Mówi poważnie?

Naprawdę czekała na moją odpowiedź

- Długo trwało, zanim to zrozumiałam, Auroro - zaczęłam.

- Moim zdaniem szczęście kryje się w drobiazgach. Nie szukaj świętego Graala, ciesz się chwilą. Szczęście to smak czekoladowego herbatnika umoczonego w lodowatym mleku; wyobrażasz sobie goryczkę czekolady i

chłód mleka. Szczęście to mruczenie kota skulonego na twoich kolanach; daje ci ciepło i radość. Szczęście jest w radosnym szczekaniu Affare, która spokojnie leży u stóp twojego ojca, gdy wieczorem gracie w tryktraka. Szczęście to chwila, gdy w tańcu mężczyzna patrzy ci w oczy i w jego wzroku widzisz, że jesteś piękna i że chce z tobą być... Jest w nowej sukni, w której ci do twarzy... W miękkości łóżka, które cię przyjmuje po dniu ciężkiej pracy na słońcu. Jest nawet tu i teraz, Auroro. Jest w nas, siostrach, które razem piją wino i podziwiają zachód słońca.

Wpatrywała się we mnie czarnymi oczami.

- I to wszystko? - zapytała ze smutkiem.

To nie na moje siły; nie poradzę sobie z taką rozpaczą, z takim bólem istnienia.

- Nie, nie wszystko, carina - odparłam miękko. - Ale to początek.

- I znalazłaś je? To szczęście, po które tu przyjechałaś?

- Teraz tak. Dzięki temu domkowi. Dzięki ogrodowi. Dzięki Mifune. I oczywiście dzięki twojemu ojcu.

- Kochacie się.

Wyczułam pretensję w jej głosie.

- Kocham Lorenza - przyznałam. - Ale sama wiesz, że jego trudno nie kochać.

- Powiedział mi, że jesteś podobna do ojca. Naszego ojca.

- Mnie też to powiedział. Mam zdjęcia Jon-Boya. Chcesz zobaczyć? Nagle ukryła się za maską powściągliwości.

- Chętnie - powiedziała, ale wyczuwałam jej niepokój. Nic dziwnego; niełatwo jest się uporać ze świadomością, że ma się przyrodnią siostrę, i poznać tożsamość biologicznych rodziców, wszystko tego samego dnia.

- Wiesz, Jon-Boy był dobrym ojcem - wyrzuciłam z siebie impulsywnie - tak dobrym, jak tylko taki nieskrępowany umysł może być. Na pewno byś go kochała, ale myślę, że lepiej dla ciebie, że twoim ojcem jest Lorenzo. - Patrzyła na mnie zdziwiona, a ja chciałam, żeby w to uwierzyła, tak jak ja wierzę.

Przyniosłam szkatułkę ze zdjęciami Jon-Boya i moimi, większość z nich zrobiono tutaj, w Amalfi. Był tam także wycinek z „New York Timesa”,

recenzja jego powieści i fotografia. Przystojny, rozbawiony, patrzy w obiektyw z uśmiechem.

Aurora w milczeniu oglądała zdjęcia. Przeczytała artykuł, złożyła go starannie, odłożyła na bok. Bardzo długo przyglądała się fotografii, na której stoimy z Jon-Boyem na tarasie, trzymamy się za ręce i uśmiechamy do kamery. Musnęła to zdjęcie palcem i powiedziała:

- Widzę, że byliście razem bardzo szczęśliwi, Lamour. Szkoda, że go straciłaś.

Przelknęłam gulę w gardle.

- A ja żałuję, że ty go nie poznałaś. Ale obie zyskałyśmy coś w zamian, Auroro. Ty cudownego ojca w Lorenzo.

- A ty kochanka.

Znowu weszliśmy na grząski teren; zdradziła to szorstkość jej głosu. Nie odpowiadałam, układałam zdjęcia w szkatułce.

- Lamour?

Podniosłam głowę, ciekawa, co teraz.

- Chciałabym cię lepiej poznać. Ja... ja cię potrzebuję. Nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki, nawet w szkole. Zawsze byłam... inna...

O Boże, biedaczka ma takie problemy, a ja ją krytykuję. Nikt z nas nie uleczy Aurory, możemy jedynie dodać jej otuchy. Musi wiedzieć, że może na mnie polegać.

- Oczywiście, Auroro, chcę być twoją przyjaciółką- zapewniłam gorąco. - W końcu jesteśmy siostrami, prawda?

Wyciągnęła do mnie rękę.

- Chodź ze mną. Chciałabym, żebyśmy były same, Lamour, tylko my dwie. Chodźmy na łódkę. Pokażę ci moje ukochane miejsce, grotę, którą kiedyś odkryłam. Nawet Nico o niej nie wie, ale tobie chcę ją pokazać.

Było trochę późno na żeglowanie, słońce już zachodziło, lecz skorzystałam z okazji, żeby zdobyć jej zaufanie. Przecież to moja siostra przyrodnia, zresztą wkrótce miałam zostać też jej macochą. Tworzenie więzi uczuciowych jest najważniejsze.

- Chodźmy, sorellamia - powiedziałam śpiewnie i zbiegłyśmy razem kamiennymi schodami na molo, do łodzi.

Mifune obserwował je ze szczytu urwiska. Widział, jak Aurora odcumowuje starą rybacką łódź Lorenza. Widział, jak Lamour radośnie wskakuje na pokład i wyciąga rękę do Aurory. Widział, jak Aurora męczy się za sterami. Nigdy dotąd nie pływała tą łodzią. Nie miała pojęcia, jak sterować, choć Lamour o tym oczywiście nie wiedziała.

Mifune wyczuł niebezpieczeństwo. Odwrócił się i pośpieszył do castello, do Lorenza, najszybciej, jak mógł.

RS

## Rozdział 65

Z tą łodzią wiązały się piękne wspomnienia; tutaj kochałam się z Lorenzem po raz pierwszy, ale nigdy nią nie płynęłam. Z uśmiechem patrzyłam, jak Aurora prowadzi łódź na morze. Wydawała się spokojna, wręcz pogodna, i zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby prawda o Jon-Boyu i Isabelli stała się punktem zwrotnym w jej życiu i pozwoliła jej spojrzeć w przyszłość z nadzieją.

Skręciła na południe i podeszła do mnie. Nie znam się na żeglowaniu, ale wydawało mi się, że ktoś zawsze musi być u steru, nawet w takich łupinkach jak moja „Lady Lamour”.

- Ej, a kto siedzi za kierownicą? - zapytałam niespokojnie. Aurora się roześmiała; to rzadki dźwięk.

- Och, ta łajba dobrze wie, gdzie płynąć - odparła. - Nie przejmuj się, Lamour. Włączyłam automatycznego pilota.

Nie wiedziałam, że automatyczne piloty bywają w łodziach, i nie do końca jej uwierzyłam, ale była taka rozluźniona, że przyjąłem jej słowa za dobrą monetę.

- To ciekawe - ożywiła się nagle. - Widzisz tę chmurę na horyzoncie, Lamour? Pewnie zaraz pojawią się przy niej następne. Chyba tak samo to wyglądało, kiedy zanosilo się na tamtą burzę, która zabiła Jon-Boya i Isabelle.

Przyglądałam się jej wstrząśnięta. Z uśmiechem wpatrywała się w horyzont.

- A nie mówiłam?! - zawołała. - Kolejna chmura. Tutejsza pogoda ma przede mną mniej tajemnic niż mój własny umysł. Znosi się na sztorm, Lamour. Czyż to nie wspaniale?

Gorączkowo się zastanawiałam, co powiedzieć. Nie miałam zielonego pojęcia o żeglowaniu czy sztormach, wiedziałam tylko, że mój ojciec zginął właśnie podczas burzy. Nie chcąc jej prowokować, powiedziałam najspokojniej jak umiałam:

- Zawróćmy, Auroro. Ojciec będzie się niepokoił.

- Nie będzie. Nawet nie wie, że wypłynęliśmy. Nikt nie wie.



Miała rację. Wpatrywałam się w odległy brzeg. Za daleko, żeby dopłynąć wpław, zresztą morze stawało się coraz groźniejsze, unosiło naszą małą łódkę i spychało ją w coraz głębsze fale. Denerwowałam się coraz bardziej. I wtedy zrozumiałam, że Aurora mnie okłamała. Nie ma żadnego automatycznego pilota. Płyniemy prosto w burzę.

Rzuciłam się do steru. Bezradnie patrzyłam na niedużą tablicę rozdzielczą. Dobrze chociaż, że jest staroświeckie koło; może mi się uda zawrócić do brzegu.

- Lamour.

Aurora stała obok mnie. Położyła dłoń na mojej dłoni.

- Nie rób tego, proszę. Potrzebuję cię przy sobie. Powiedziałaś, że zostaniesz moją przyjaciółką. Nie liczyłam na burzę, ale to cudowny zbieg okoliczności. Nie wierzę własnemu szczęściu. - Roześmiała się, radośnie, beztrzesko, i pomyślałam, że może jeszcze wszystko będzie dobrze.

Ale wtedy powiedziała:

- Nie wiesz dlaczego? Zobacz, jest tak samo jak w tamtą noc, kiedy się urodziłam, a dzisiaj umrę. Chciałam zrobić to sama, miasorella, ale chyba będziesz mi towarzyszyć. Obiecuję ci, będzie cudownie, tak cudownie, jak to było z twoim ojcem. - Zaciśnęła dłoń na mojej dłoni, zajrzała mi w oczy. - Dołączymy do niego, Lamour, będziemy razem... Wyobrażasz sobie coś piękniejszego niż cała rodzina razem?

O Boże... Oszalała... Zaplanowała to, chciała się zabić, a ja miałam jej towarzyszyć...

- Dlaczego? - Usiłowałam uwolnić ręce, ale ścisnęła je tak mocno, że jęknęłam z bólu.

- Nie rozumiesz? - zdziwiła się. - Chciałam, żebyś widziała moją śmierć, żebyś to ty musiała powiedzieć o tym Lorenzowi. I żebyś wiedziała, jak umierał twój ojciec, żebyś poznała mój ból. Ty, taka czysta, niezależna, spokojna, taka... prawdziwa...

Ogromna fala rzuciła łodzią z taką siłą, że Aurora puściła mnie, zatoczyła się do tyłu i uderzyła głową w metalową lampę. Oczy uciekły jej w tył głowy, osunęła się na pokład... kolejna fala rzuciła mnie na nią. Podniosłam się z trudem na kolana. Miałam krew na rękach, na koszuli... krew gęsta jak

stare wino sączyła się z głowy Aurory. Zdjęłam koszulę i podłożyłam jej pod głowę. Ani drgnęła.

Przerażona, złapałam stery. Horyzont pociemniał i mknął ku nam, jakby noc pędziła do brzegu. Kolejna fala rzuciła łódką. Rozejrzałam się wokół. Nawet ja wiedziałam, że jedyna szansa to wracać zakosami, problem w tym, że nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Z przerażeniem patrzyłam na nadciągający gniewny wał na horyzoncie i rozumiałam, że muszę się tego nauczyć. I to natychmiast.

Spojrzałam na Aurorę, nadal nieprzytomną, i pomyślałam o ojcu. Historia się powtarza. Nie mogę dla niej niczego zrobić; muszę się skupić na sterach. Nagle do oczu napłynęły mi gorzkie łzy. Zdławiłam płacz.

- Jon-Boy, Jon-Boy! - zawołałam pod wiatr, gdy zaczęło padać.

- Nie pozwól, żeby tak to się skończyło, błagam... pomóż mi...

## Rozdział 66

Nico właśnie podjeżdżał czerwonym porsche pod castello, gdy dostrzegł Mifune. Staruszek wybiegł pomiędzy pinii. Nico się zdziwił. Mifune zawsze poruszał się powoli i spokojnie, a teraz pędził, ile sił w nogach. Zaniepokojony, wyskoczył z samochodu.

- Mifune - podbiegł do niego i złapał za rękę. - Co się stało? Staruszek chwiał się niepewnie, pot zalewał mu oczy, nie mógł złapać tchu.

- Uspokój się, uspokój... - mówił Nico, ale wiedział już, że stało się coś złego.

- Aurora - wysapał Mifune. - Ojciec powiedział jej o Jon-Boyu i Isabelli... Poszła do Lamour, zabrała ją na morze łodzią Lorenza. Stanie się coś strasznego, Nico, czuję to...

Nico wiedział, że staruszek ma rację. Aurora nigdy nie żeglowała, nie miała o tym pojęcia, a zanosilo się na sztorm. Instynkt podpowiadał mu, żeby biec na molo, do motorówki, ale czuł, że najpierw musi powiedzieć ojcu. Ktoś będzie przynajmniej wiedział, gdzie są i wezwie straż przybrzeżną.

Wsiedli z Mifune do porsche i pognali do castello. Lorenzo stał na tarasie, wpatrzony w nadciągającą burzę.

- O, Nico, jesteś - powitał go. - Dobrze, że zdążyłeś przed burzą. Ilekroć nadciąga taki sztorm, myślę o Jon-Boyu, Isabelli i Aurorze.

- Aurora jest na wodzie - Nico wpadł mu w słowo. Powiedział, co usłyszał od Mifune.

Lorenzo natychmiast wezwał straż przybrzeżną a potem pojechał z Nikiem na skraj urwiska, do windy.

Morze szalało, miotalo motorówką na wszystkie strony. Mała łódka Lamour co chwila uderzała o molo, ale nie to było teraz ważne. Nico wskoczył do motorówki, rozgrzewał silnik, a Lorenzo ścigał cumy. Wskoczył na pokład i ruszyli.

Ledwie wypłynęli z zatoki, lunęło, deszcz przemoczył ich w mgnieniu oka. Nico z wprawą doświadczonego żeglarza skierował łódź na pełne morze.

- Płynie do jaskiń niedaleko Piraty! - krzyknął do Lorenza przez wycie wiatru. - Myśli, że o nich nie wiem, ale się myli. To tam zabrała Lamour. Na pewno!

Lorenzo starał się opanować panikę. Podobnie jak Mifune, instynktownie wiedział, że jego córka postanowiła się zabić na morzu, tam, gdzie się urodziła. I chciała zabrać ze sobą Lamour. On musi teraz nad sobą panować, inaczej obie zginą.

Zwinna motorówka pokonywała fale, przelatowała nad bałwanami jakby w wesołej przejażdżce, choć Nico starał się płynąć zakosami. Po pięciu minutach dostrzegli łódź. Zmierzała do brzegu, ale na ich oczach runęła na nią ogromna fala i zaczęła nabierać wody.

- Boże, są! - wrzasnął Lorenzo.

Nico daremnie usiłował zmusić motorówkę, by jeszcze przyspieszyła.

- Podpłyn od burty - zarządził Lorenzo i już przygotowywał prowizoryczną uprząż, która miała go zabezpieczyć.

Nico posłuchał. Wiatr rzucił motorówkę na starą łajbę, starły się burtami i rozległ się przeraźliwy zgrzyt. Nico jęknął, podniósł głowę i zobaczył Lamour za sterami.

- Jest Lamour! - wrzasnął do ojca.

Lorenzo też ją zobaczył i jego serce podskoczyło z radości. Krzyczała coś, ale wiatr porywał jej słowa. Znał swoją starą łódź jak nikt, wiedział, gdzie zarzucić linę, lecz fale miotały łajbę na wszystkie strony. Na migi dał znać Lamour, że ma łapać linę. Udało się za piątym razem. Instynktownie wiedziała, co robić, owijała nią stery, raz koło razu, z całej siły.

Nico starał się utrzymać motorówkę w miejscu, gdy Lorenzo zaczął się przeprowiać na starą łajbę. Wisiał na rękach i prawie dotarł do łodzi, gdy ogromna fala rzuciła ją prosto na niego. Jęknął z bólu, puścił linę... spadał... W ostatniej chwili wynurzył się, zacisnął dłoń na linie i poczuł przeszywający ból w barku.

Z trudem wpłynął na pokład. Lamour poczuła, że lina nie jest już napięta; wybiegła z kokpitu, prosto w jego ramiona.

- Aurora jest ranna! - krzyknęła. - Musimy ją ratować...

Lorenzo ukląkł nad nieprzytomną córką. Dotknął zakrwawionej głowy i poczuł łzy pod powiekami. Tak bardzo ją kochał... I wtedy usłyszał warkot helikoptera straży przybrzeżnej.

- Dzięki Bogu - mruknął, tuląc Aurorę do siebie. Ale wiedział, że to jeszcze nie koniec.

Nico odpłynął motorówką od łodzi i obserwował, jak ratownicy spuszcza ją nosze na pokład starej łajby. Patrzył, jak sprawnie wciągają do helikoptera najpierw jego siostrę, potem Lamour.

Kiedy było już po wszystkim, Lorenzo stał przez chwilę na pokładzie ukochanej łodzi. A potem, z pochyloną głową i on dał się wciągnąć do helikoptera.

Dopiero wtedy Nico zawrócił i pomknął do brzegu.

RS

## Rozdział 67

Otworzyłam oczy i zobaczyłam błękitny sufit upstrzony złotymi gwiazdami i girlandami. Leżałam w łóżku, ale nie moim. Słyszałam szelest wykrochmalonego fartucha, delikatne kroki i nagle ktoś się nade mną pochylił.

- Ah, signora, wreszcie się pani obudziła - powiedziała kobieta po włosku. Zaskoczyła mnie, bo nie pamiętałam, że jestem we Włoszech.

- Gdzie ja jestem? - zapytałam.

- Jak to, gdzie, w castello, ma się rozumieć - wyjaśniła pogodnie. - Nie chciała pani zostać w szpitalu i signor Pirata przywiózł panią tutaj.

- W szpitalu? - Przyjrzałam się jej uważnie. No tak, pielęgniarka. - Ale nie jestem chora - mruknęłam, zanim wsunęła mi termometr do ust.

- Nie. Miała pani ciężkie przeżycia na morzu podczas burzy. Lekarz mówi, że musi pani odpoczywać.

I wtedy sobie przypomniałam. Wszystko. Aurorę, która zamierzała się zabić na moich oczach, żebym to ja musiała powiedzieć o tym jej ojcu. Aurorę szczęśliwą z powodu burzy, która zabierze mnie razem z nią. Aurorę, ściskającą moje dłonie, tak że nie mogłam zawrócić do brzegu. Aurorę nieprzytomną, zakrwawioną...

- Aurora? - zapytałam niespokojnie.

Pielęgniarka wyjęła termometr, przyjrzała mu się uważnie i zadowolona pokiwała głową.

- W porządku. Signorina Aurora nadal jest w szpitalu. Ma poważne rany głowy, ale nie stwierdzono pęknięcia czaszki. Nic jej nie będzie.

Pielęgniarka unikała mojego wzroku i domyśliłam się, że nie wspomni o innej chorobie Aurory. Przypomniał mi się rozpaczliwy wzrok Lorenza, gdy tulił nieprzytomną córkę. Przez całe życie chronił ją przed światem zewnętrznym. Znajdował najlepszych psychiatrów i psychologów, ale nigdy nie udało im się wyleczyć Aurory z depresji, która doprowadziła ją do próby samobójczej. Zrozumiałam, że czasami miłość nie wystarcza.

Drzwi się otworzyły. Poznałam kroki Lorenza, jeszcze zanim go zobaczyłam. Nie chciałam płakać, naprawdę, ale ledwie spojrzałam mu w oczy, poczułam lzy na policzkach.

- Przepraszam - powiedziałam, a on się roześmiał.

Pielęgniarka poprawiła mi poduszki. Usiadłam. Lorenzo przyniósł mi śniadanie na tacy: grzanki, jajka na miękko, herbatę, czekoladowe ciasteczka i mleko.

- Jedz - powiedział. - Spałaś kilka godzin, musisz odzyskać siły. Postawił mi tacę na kolanach i pocałował w rękę.

- Jak się czujesz, tesoro?

Skinęłam głową, ciągle wzruszona. Zabrał mnie do swego domu, ułożył w łóżku, sprowadził pielęgniarkę, podał śniadanie.

- Nic mi nie jest. Poczułam się naprawdę jak tesoro.

- Bo nim jesteś. - Posmarował grzankę masłem, podał mi i patrzył, jak jem. - Tak mi przykro, Lamour. Co mogę powiedzieć? Co zrobić? - Opuścił ręce, bezradny. - Nie sądziłem, że Aurora posunie się do tego. Wyznała mi, że chciała zabić tylko siebie, chciała utonąć, jak jej ojciec. Nie chciała cię skrzywdzić, ale wtedy nadciągnęła burza. Powiedziała mi, że jesteś jej przyjaciółką, jej siostrą...

Poczułam nagły przypływ lojalności wobec Aurory. Jest częścią mnie.

- Bo to prawda - zapewniłam.

- Prosi cię o wybaczenie.

Znowujazobaczyłam, promienną szczęśliwą gdy przyciska moje dłonie do koła sterowego.

- Powiedz jej, że nie mam jej czego wybacać. Nie wiedziała, co robi.

- Naprawdę, Lamour? Muszę wiedzieć, czy działała z premedytacją? Czy naprawdę chciała cię zabić?

Pokręciłam głową.

- Nie, nie! To był przypływ szaleństwa. Nie wiedziała, co robi, przysięgam.

Widziałam ulgę w jego oczach. Pochylił się i pocałował mnie.

- Dziękuję - powiedział cicho.

- Co z nią?

- Musi zostać w szpitalu przez kilka tygodni. Podadzą jej leki, ustabilizują może wtedy będzie mogła wrócić na studia, do rówieśników. Spróbuje żyć normalnie. Nie wolno nam nigdy zapomnieć, że walczy z depresją

- Zawsze jej pomagales - zauważyłam.

- I zawsze będę.

Siedzieliśmy, trzymając się za ręce.

- Nie zniósłbym tego, gdybym cię stracił - powiedział po dłuższej chwili.

- Nie straciłeś.

- Nico był wspaniały, kiedy spieszył ci na ratunek. Sterował motorówką jak urodzony żeglarz, którym zresztą jest. Narzeka tylko, że porysował bok. O moją starą łajbę.

Roześmiałam się.

- W słusznej sprawie. Jakoś to przeżyje.

Podniosłam rękę Lorenza do ust i pocałowałam. Uwielbiałam jego ręce, spracowane, porośnięte gdzieś tam ciemnymi włosami. Ręce, które wprawiały mnie w ekstazę.

- Nie położysz się? - zaproponowałam prowokująco. Uwielbiam, kiedy się śmieje.

RS



## Rozdział 68

Prawda o śmierci ojca bardzo bolała. Po tylu latach liczyłam, że kiedy wreszcie rozwiążę zagadkę, poczuję ulgę i będę mogła zacząć nowe życie, wolna od duchów przeszłości. A tymczasem wciąż miałam przed oczami Jon-Boya, jak upada, i tę biedną oszalałą kobietę, która go zabiła. Widziałam też Lorenza, jak trzyma w ramionach mego martwego ojca. Nie mogłam spać.

Lorenzo był w Rzymie, a ja pracowałam w Mifune w ogrodzie, szykowaliśmy miejsce na drzewo oliwne, które kupiłam i które miało być tego dnia przywiezione. Starannie zaplanowałam, gdzie chcę je zasadzić: obok schodów na taras, żebym przy porannej kawie słuchała szeptu srebrzystych liści. Lecz cały czas myślałam o Jon-Boyu i musiałam o nim porozmawiać.

- Mam problem, Mifune - zaczęłam, kiedy zrobiliśmy sobie przerwę.

- Nie myliłeś się, kiedy mówiłeś, że wchodząc do tego domku, wkroczę w przeszłość nie tylko moją, ale i Jon-Boya. Pytałeś, czy na pewno tego chcę, a ja, z głupią pewnością siebie, powiedziałam, że tak. Teraz nie jestem już taka pewna.

Siedzieliśmy na schodach.

- Nie tylko z powodu Aurory nie powiedziałem ci, co się wtedy wydarzyło. Nie chciałem, żebyś cierpiała. Bardzo szanowałem Jon-Boya. Był moim przyjacielem. Po tym, kiedy to się stało, wiele nocy przesiedziałem tam, gdzie go widziałem po raz ostatni, w nadziei, że morze zwróci jego ciało, żebyśmy mieli zaszczyt go pogrzebać, tak jak naszych przodków. Ale nie tak miało być. Kładę więc kwiaty pod kapliczką świętego Andrzeja, patrona żeglarzy, i proszę go, żeby zaopiekował się Jon-Boyem.

Nasze oczy się spotkały i po raz kolejny poczułam jego wsparcie. Z jego pomocą rany w mojej duszy stopniowo się zabliznią, złamane serce ozdrowieje.

- Nikt nie ma życia na stałe - tłumaczył. - To przywilej i musimy mądrze z niego korzystać. Zapamiętaj, piccolina - dodał, nazywając mnie zdrobnieniem, którego używał, kiedy byłam mała. - Dusza jest jak ptak w locie. Ucieka, szybkuje, wreszcie znowu wolna. Jest wiele innych wspomnień

o Jon-Boyu, nie tylko wspomnienie jego śmierci. Otwórz na nie serce, piccolina, i uwolnij go, niech leci.

Po raz pierwszy w życiu wzięłam Mifune za rękę. Zamknęłam ją w dłoniach. Byłam mu wdzięczna za tę piękną wizję duszy jako ptaka w locie. Uniosłam jego dłoń do policzka.

- Nigdy ci tego nie mówiłam, Mifune - szepnęłam - ale zawsze cię kochałam.

Pogłaskał mnie po głowie i powiedział:

- Miłość przekracza wszelkie granice, carina. Nawet śmierci. Spojrzałam na niego. Uśmiechał się. I wreszcie potrafiłam pożegnać się z Jon-Boyem.

RS

## Rozdział 69

- No dobrze, skarbie. Teraz już wiesz. Musisz zacząć nowe życie, pamiętaj.

Tak, pamiętałam, ale nie wiedziałam, czy Lorenzo i ja mamy jakąkolwiek szansę. Nie miałam pojęcia, dokąd zmierza nasz związek. Czy zadowolili mnie rola kochanki, takiej jak nieszczęsna Isabella? Kobieta, która została gdzieś po drodze, gdy jej mężczyzna żył własnym życiem?

W końcu napisałam do Jammy długiego maila. Zwierzałam się w nim z moich uczuć do Lorenza.

Nie sądzę, żebyśmy mieli wspólną przyszłość, ale tak bardzo go kocham. Żyję chwilą. Zdaję sobie sprawę, że martwi go różnica wieku między nami, ale, do licha, w przyszłym roku skończę trzydzieści dziewięć lat. Myślisz, że to pomoże? Po raz pierwszy, odkąd skończyłam trzynaście lat, żałuję, że nie jestem starsza, i zapewne po raz ostatni. Dziwne, że zakochałam się w facecie, który mnie pamięta jako małą dziewczynkę, prawda? Tylko że kiedy na niego patrzę, nie dostrzegam jego wieku. Widzę Lorenza, dobrego, czulego, przystojnego, wspaniałego kochanka, który sprawia, że kobieta w jego ramionach czuje się spełniona, a zarazem rozpieszczana jak najcenniejszy skarb.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to człowiek sukcesu, ktoś ważny. Zna każdego, kogo trzeba, jest wszędzie zapraszany... ale zawsze wraca do castello, bo tu jest najszczęśliwszy. Ja, jak sama wiesz, nigdy nie byłam duszą towarzystwa, wolę samotność i ogrody. Lorenzo wybrał inny styl życia, ma zobowiązania towarzyskie. Żyjemy na dwóch różnych biegunach, łączą nas jedynie neutralne i anonimowe castello i mój domek.

Zadaję sobie pytanie, Jammy, czy mamy szansę? Czy tak różni ludzi mogą być razem? Chociaż sama nie wiem, czemu cię pytam, bo Lorenzo nigdy nie wspomina o wspólnej przyszłości i oboje żyjemy chwilą.

No i jeszcze jego dzieci. Cierpiąca Aurora; jest jak płochliwy żreback, który ucieka od nieznanego, a zwłaszcza boczy się na myśl o tym, że coś lub ktoś może jej odebrać ojca. I Nico, wieczny playboy. Cóż, lubię go. Przez pewien czas kusiła mnie wizja romansu z nim; przy nim jest mi dobrze. Ale nie

wiadomo, jak przyjąłby wiadomość, że jego ojciec mógłby zostać moim mężem.

Och, Jammy! Nie wyobrażasz sobie, jak się czuję: prawda o Jon-Boyu, choroba Aurory, moje kruche życie miłosne... Tylko Mifune jest taki jak zawsze i coraz bardziej na nim polegam.

Należę sobie wina i obejrzę zachód słońca z altanki. Przynajmniej to nie niesie żadnych problemów.

Wiesz, jak bardzo kocham ciebie, Matta i studentkę, i jak za wami tęsknię. I dzięki, że to wszystko przeczytałaś.

RS

## Rozdział 70

Kilka dni później spotkałam Nica w Amalfitano. Wpadłam tam na lunch po zakupach. Był sam, sączył zimne piwo. Podniósł wzrok.

- Towarzystwo dobrze mi robi - powiedział.

Na mój widok Aldo wybiegł zza baru. Zamówiliśmy pizzę. Usiadłam wygodnie i spjrzałam na Nica.

- Co jest? - zapytałam miękko. Wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

- Nico, przestań. Widzę, że coś cię gryzie. Mów.

- Miłość - odparł.

- No cóż... chyba nie ma się czym przejmować. Miłość to nic złego.

- Owszem, jeśli kobieta, o której mowa, mnie nie kocha - wyjaśnił ponurym głosem.

Wiedziałam, że mam kłopot.

- Mówiąc „kobieta”, nie masz chyba na myśli mnie? - zapytałam ze śmiechem, bo sytuacja stawała się absurdalna.

Posłał mi tęskne spojrzenie, przysięgam, tak patrzeć umięją tylko Włosi - trochę odrzucony kochanek, trochę namiętny uwodziciel.

- A niby kogo? - zapytał smutno. Roześmiałam się w głos.

- Nico Pirata, nigdy mnie nie kochałeś. Tak, lubię z tobą przebywać, bo sprawiasz, że jestem szczęśliwa. Świetnie się razem bawiliśmy, ale... miłość? Daj spokój. Nawet się nie całowaliśmy.

- Nie powiesz, że nie chciałem - najeżył się, urażony w swojej męskości.

- Ale wybrałaś mojego ojca.

- To nie kwestia wyboru. Łączy nas coś innego.

- Miłość, prawda? - zapytał posępnie. Przyznałam mu rację. Westchnął dramatycznie.

- No trudno. Wypijmy za to.

- Dzięki. - Wznieśliśmy szklanki w toaście. Porządny z ciebie facet, wiesz? - dodałam. - Pewnego dnia będziesz wspaniałym mężem pięknej młodej kobiety.

- Oby nie - mruknął, znów, jak zresztą zawsze, uśmiechnięty, i wiedziałam, że specjalnie dla mnie odgrywał nieszczęśliwego kochanka.

Nadal jednak widziałam, że coś go gryzie, i nie zdziwiłam się, kiedy po chwili powiedział:

- Cara, bardzo mi przykro z powodu Jon-Boya. Nie chciałem, żebyś o tym wiedziała ze względu na Aurorę, ale nie chciałem też, żebyś cierpiała.

Wzięłam go za rękę.

- Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, wiesz o tym? I pewnie bardzo to na tobie zaciążyło; byłeś wtedy taki mały.

Dopiero po raz drugi, odkąd go poznałam, Nico był śmiertelnie poważny.

- Tamtej nocy skończyło się moje dzieciństwo - odparł. - W jednej chwili byłem dzieckiem, najbardziej martwiłem się o to, że zachoruję na świnkę albo stracę ukochany jacht, a w następnej znalazłem się w świecie dorosłych, którego istnienia nawet nie podejrzewałem. Nagle zdałem sobie sprawę, że dorośli nie żyją wyłącznie dla swoich dzieci; mają własne życie, pełne gniewu i przemocy. Już nigdy nie odzyskałem dziecięcej niewinności.

- Przykro mi. - Poglaskałam jego dłoń.

- Oczywiście papa starał się mi pomóc. Wstrząsnęło nim to, że byłem świadkiem tej tragedii. Tłumaczył mi to po swojemu i w końcu się z tym uporałem. Przecież w nagrodę dostałem siostrzyczkę.

- Ja też mruknęłam. Spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

- Nic jej nie będzie - zapewnił. Wyjdzie z tego, zobaczysz.

- Wiem. - Zacisnęłam kciuki. Aurorą zajmowali się najlepsi lekarze. Za pomocą leków chyba uda się okiełznać jej demony.

Między nami wszystko zostało wyjaśnione. Wznieśliśmy kolejny toast piwem. Zjedliśmy lunch, a później Nico zaniósł mi koszyk do mariny, gdzie moja łupinka cumowała obok jego wspaniałej motorówki z bokiem porysowanym przez tonącą łajbę ojca.

Tym razem to ja pocałowałam go w policzek na pożegnanie.

- Siostrzany pocałunek! - zawołałam ze śmiechem, wskoczyłam do błękitnej łódki i odpłynęłam.

## Rozdział 71

Kiedy wróciłam, dzwonił telefon. Jammy. - Lecę do Neapolu przez Mediolan - poinformowała mnie zwięźle. -Będę na lotnisku o szóstej. Odbierzesz mnie?

- Naprawdę? - wykrztusiłam, zaskoczona i szczęśliwa. Oczywiście już wcześniej zadzwoniłam i wszystko jej opowiedziałam.

- Myślisz, że w takiej chwili zostawię cię samą? Boże, Lamour, omal cię nie straciłam, ciebie, mojej najlepszej przyjaciółki! Poza tym muszę uważać, żebyś się nie wpakowała w kolejny romans.

Roześmiałam się.

- Jam, ja się nie pakuję w romanse, tylko muszę się wyplakać.

- Służę ramieniem - odparła. - Do zobaczenia w Neapolu. Polecieliśmy po nią helikopterem. Nigdy nie leciałam taką maszyną. W drodze na lotnisko Lorenzo zatrzymał ją nad moim małym domkiem, żebyśmy obejrzała go z góry. Wyglądał jak miniaturowy pałac sułtana, ukryty w zielonym gąszczu.

- Widzę, że jesteś zakochana - powiedział Lorenzo. Wstrzymałam oddech, ale po chwili zrozumiałam, że miał na myśli domek.

- Zakochuję się na całe życie - odparłam i zaraz ugryzłam się w język, bo zabrzmiało to dwuznacznie. - To znaczy, pokochałam ten domek w dzieciństwie, kocham go teraz i będę kochała, kiedy będę stara i pomarszczona.

- Mam nadzieję, że to zobaczę - powiedział.

To również zabrzmiało dwuznacznie: albo nadal będziemy razem, kiedy będę stara i pomarszczona, albo... nie, o tym wolałam nie myśleć.

Pod nami przesuwano się zielono-błękitne wybrzeże, w oddali widniał stożek Wezuwiusza i już lądowaliśmy na wydzielonym sektorze neapolitańskiego lotniska Capodichino.

Lot z Mediolanu się opóźnił, więc poszliśmy do baru. Lorenzo pił espresso, a ja, jak zwykle, cappuccino, i jak zawsze miałam pianę na nosie-no bo przecież filiżanka jest taka mała!

- Chciałam wypić wszystko do ostatniej kropli - wyjaśniłam, a on sięgnął po serwetkę. - Chciałabym, żebyś to zliżał - szepnęłam.

Lorenzo się roześmiał.

- Ja też, cara - mruknął i pocałował mnie, przelotnie, ale zarumieniłam się i bałam, że ludzie to zobaczą.

W końcu zapowiedziano samolot Jammy. Czekałam przy wyjściu. Pojawiła się szybko.

- Jammy zawsze działa jak rakietka! - krzyknęłam do Lorenza i podbiegłam do niej. Objęłyśmy się serdecznie; kiedy odsunęła mnie od siebie, powiedziała:

- Pokaż się wreszcie.

Cofnęłam się posłusznie. Przyjrzała mi się badawczo.

- No, dobra - orzekła. - Spodziewałam się wychudzonego elfa znużonego życiem, a widzę silną, zdrową kobietę, rozpieszczaną przez los.

- To zasługa Lorenza - odparłam i podprowadziłam ją do niego. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

- Malarz - mruknęła. - Cieszę się, że znowu się spotykamy, Lorenzo.

- Ja także. Lamour dużo mi o tobie opowiadała i mam wrażenie, że znam cię od dawna. - Wziął jej bagaż i ruszył do wyjścia.

Jammy nie wierzyła własnym oczom, kiedy zobaczyła helikopter. Siedziałyśmy, trzymając się za ręce, jak uczennice, i podziwialiśmy widoki. W castello Lorenzo zaprosił nas na drinka - koktajl bellini z prosecco i sokiem brzoskwiniowym, w którym Jammy zasmakowała podczas poprzedniego pobytu w Amalfi. Z zachwytem oglądała piękne pokoje i szepnęła mi na ucho:

- Nie pamiętam, kto powiedział, że bogaci są inni, ale miał rację.

Lorenzo był bardzo szarmancki. Zaproponował, żebyśmy zostały na kolację, ale Jammy była zmęczona, więc kazał komuś zanieść jej bagaż na dół, a sam odprowadził nas do windy.

- Dobranoc, Jammy Mortimer Haigh - powiedział i pocałował ją w rękę.

- Lamour na pewno dobrze zajmie się tobą.

- A to dopiero - mruknęła. - Zazwyczaj jest odwrotnie, to ja się nią zajmuję, prawda? Do jutra - powiedziała do Lorenza. Umówiliśmy się na lunch w Amalfitano o pierwszej. Pocałował mnie w rękę i spojrzał w oczy. Już za nim tęskniłam, choć wiedziałam, że wkrótce znowu się zobaczymy.

- Jestem zakochana jak nastolatka - wyznałam w windzie.



- On też - odparła Jammy.

- Skąd wiesz?

- Widziałam to w jego oczach, skarbie. Ciekawe, czy zdanie, że oczy są zwierciadłem duszy, powiedział ten, kto stwierdził, że bogaci są inni.

Ze śmiechem poszłyśmy do domku. Siedziałyśmy na tarasie, wiatr bawił się naszymi włosami, niedaleko szumiał strumyk, otaczał nas zapach kwiatów. Cykady przerywały ciszę głośnym koncertem, wtórowała im drzewna żaba.

- Myślałam, że tu będzie cisza i spokój - burknęła Jammy. Rozbawiła mnie; dla mnie to właśnie były dźwięki ciszy.

Pokazałam jej świeżo odmalowaną brzoskwińnię sypialnię, w której zamieszka ze mną, bo jeszcze nie potrafiłam niczego zrobić w pokoju Jon-Boya.

Sączyła wino.

- Nie mogłam znieść myśli, że jesteś tu sama i rozmyślasz o śmierci Jon-Boya. I do tego ta sprawa z Aurorą. Skarbie, bardzo się o ciebie bałam. I było mi żal Jon-Boya.

W skupieniu szykowałam kanapki z szynką nie chciałam się znowu rozpląkać. Ale nagle sobie przypomniałam, że właściwie nie opłakiwałam ojca, i wtedy łzy same popłynęły. Szlochałam, wtulona w Jammy na niebieskiej kanapie.

Kiedy się uspokoiłam, siedziałyśmy do późna w nocy, przy kanapkach i winie, rozmawiałyśmy o tamtej burzowej nocy, aż wszystko stało się jasne.

- A Lorenzo? - zapytała nagle.

- No właśnie, jak sądzisz?

- Szczerze? Fantastyczny facet. Porządny. Bogaty i wpływowy, światowy. Super. I za stary dla ciebie.

- Jammy!

Wzruszyła ramionami.

- Sama chciałaś.

- Powiem ci coś, Jammy Mortimer - rzuciłam gorączkowo. - Jesteś szczęściarą. Poznałaś odpowiedniego faceta, kiedy oboje byliście młodzi, zakochałaś się, wyszłaś za męża, urodziłaś dziecko, kupiłaś dom na przedmieściu... żyjesz. Udało ci się, Jammy, ale nie wszyscy mają tyle

szczęścia. Ja wyszłam za niewłaściwego faceta i zobacz, jak to się skończyło. Teraz poznałam odpowiedniego i przyznaję, że okoliczności nie są sprzyjające, ale...

- Ale? - Uniosła brew.

- Ale go kocham.

- Więc wyjdź za niego. - Ziewnęła ze zmęczenia.

- Jam, nie poprosił mnie o to! - Jęknęłam z takim żalem, że parsknęła śmiechem.

- To ty go poproś - poradziła i poszła spać, a ja zostałam sama, rozważając jej słowa.

RS

## Rozdział 72

Jammy przyjechała na trzy dni, ale i tak zdążyła się zakochać. W moim domku, ma się rozumieć. I całkowicie oczarowała Lorenza. Powiedziała mu, że nie zna nikogo równie bogatego, i choć imponuje jej przepych i bogactwo castello, chciałaby wiedzieć, jaki jest naprawdę.

- Kiedy jesteś sam ze sobą, tylko ty i twoje myśli - wyjaśniła. Wiedziała, że poddaje go osobistemu testowi. Lorenzo kiwnął głową i powiedział:

- Chodź, Jammy Mortimer Haigh, a ci pokażę. Otworzył drzwi do wieży.

- Oto kim jestem, kiedy jestem sam.

Czekałam na zewnątrz, wolałam nie słyszeć pytań Jammy, ale powiedziała mi później, że ledwie zobaczyła wnętrze, wiedziała, że jest w porządku. Wieża to cały on, poczynając od dzieł sztuki, które dobrał osobiście, po zaczytane książki na półkach.

- Zdałeś - pochwaliła go, a on się roześmiał, objął ją i pocałował. Czas uciekał i zanim się obejrzałyśmy, znowu stałyśmy na lotnisku.

- Lorenzo jest idealny - powiedziała. - Reszta w twoich rękach. I pamiętaj moje słowa: Sama go poproś.

Pamiętałam. Ba, cały czas o tym myślałam. Nigdy nie przypuszczałam, że poproszę mężczyznę, żeby się ze mną ożenił, ale skoro on tego nie robi, nie mam wyjścia, prawda?

Starannie wszystko zaplanowałam. Postanowiłam tym razem działać jak prawdziwa kobieta. Uprzedziłam Lorenza, że wyjeżdżam na kilka dni, i pojechałam do Rzymu. Poszłam do fryzjera, tego samego, co poprzednio z Jammy, i wkrótce miałam nową, wspaniałą fryzurę, włosy otaczały mi twarz ciemną, lśniącą chmurą.

Potem na via Condotti szukałam odpowiedniego stroju. Powiedziałam sprzedawczyni w sklepie firmowym Alberty Feretti, że chcę wyglądać prosto, ale zmysłowo. A ona, rzymianka z krwi i kości, wiedziała, co mam na myśli, i po chwili podała mi prostą jedwabną suknię, ozdobioną dyskretną koronką. Była zielona i tak piękna, że nie pojmowałam, jak mogłam bez niej żyć. Dobrałyśmy do tego srebrne sandaalki. Kiedy później przeglądałam się w

lustrze, stwierdziłam, że wyglądam jak kobiety z otoczenia Lorenza: byłam elegancka, pewna siebie, światowa.

Tego wieczoru poszłam sama na kolację do Da Fortunato, rozkoszowałam się delikatnym smakiem pieczonej ryby i makaronu, obserwowałam rzymian na wieczornej przechadzce; jak co noc wędrowali ulicami wystrojoni, swobodni, dumni z siebie i swojego miasta. Siedziałam tam długo i ani przez chwilę nie poczułam się samotna jak dawniej. Może dlatego, że tym razem byłam zakochana.

RS

## Rozdział 73

Zostawiłam Lorenzowi liścik i zaprosiłam go na kolację na ósmą.

Przywiozłam z Rzymu kosz smakołyków, które dobrałam specjalnie, mając na względzie ich łatwe przygotowanie. Były tam grzyby, moje ulubione, podam je smażone, na grzankach. Zielone lodygi szparagów namoczę w oliwie, posypię parmezanem i zapiekę. Kupiłam cielęce eskalopki, które smaży się szybko, a potem skrapia sokiem z cytryny i posypuje ziołami. Oszukiwałam trochę, przyznaję, bo u Umberta zaopatrzyłam się w gnocchi i jego słynne pesto. W Rzymie kupiłam też lody, pistacjowe, ma się rozumieć, mokka i waniliowe. Najlepsze lody są w Giolitti, niedaleko Panteonu. Zapakowałam je do torby termicznej pełnej lodu i gnałam do Amalfi, wciskając gaz do dechy w nadziei, że dotrwią.

Tym razem staranie wszystko zaplanowałam. Ubrana w nową kreację, krytycznym okiem obrzuciłam stół na tarasie. Obrus był równie błękitny jak niebo na kafelkach mojej ławeczki, serwetki żółte jak słońce, kieliszki niebieskie. Na środku stał bukiet stokrotek w żółtym wazonie. Nie dla mnie kryształ i srebra. W głębi serca jestem prowincjonalną dziewczyną.

Lorenzo zjawił się punktualnie, zbiegał scalatinella, elegancki nawet w zwykłej białej koszuli i spodniach. Spojrzał na mnie, na nakryty stół i przyznał, zdumiony:

- Nie wiem, co jest piękniejsze: ty czy stół.

Odsunął mnie na odległość ramienia, obejrzał w nowym wcieleniu i powiedział:

- Boże, jaka ty jesteś śliczna - i pocałował mnie.

Odpowiadałam namiętnie i nagle ogarnął nas płomień. Co za ironia losu, pomyślałam, że po tylu wysiłkach nie mogę się doczekać, kiedy pozbędę się mojej pięknej nowej sukienki.

Zapomnieliśmy o kolacji, leżeliśmy w mojej brzoskwiniowej sypialni, na nowym wielkim łożu, pochłanialiśmy się wzrokiem, ustami, dotykiem. Kochanie się z Lorenzem to coś o wiele lepszego niż najwspanialsza kolacja. Powiedziałam mu to.

- A co powiesz na deser? - mruknął i zaczęliśmy od nowa.

Później, po prysznicu, ja w starym białym szlafroku, bez śladu nowej fryzury, Lorenzo owinięty ręcznikiem, usiedliśmy w altance z butelką szampana. Trzymając się za ręce, patrzyliśmy, jak wschodzi blady księżyc, słuchaliśmy szumu morza.

Pomyślałam, jak cudowne byłoby życie, gdybym mogła przeżyć je z nim. Nie tak to sobie zaplanowałam, nie było nowej fryzury, sukienki, nowej wyrafinowanej mnie. Znowu byłam taka, jaka tu przyjechałam. Naturalna.

Głęboko zaczerpnęłam tchu. Teraz albo nigdy.

- Czy ty wiesz, jak bardzo cię kocham? - zapytałam cicho, bo ze zdenerwowania nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

Spojrzał mi w oczy.

- A ty wiesz, że ja cię też kocham, Lamour?

- Więc jak to jest? Jestem twoją kochanką? Jak śliczna śpiewaczka operowa z Neapolu była kochanką twego dziadka? Nawet mieszkam w jej domu.

- Chyba tak, jeśli tak chcesz to nazwać. Pokręciłam głową.

- Nie, Lorenzo, nie chcę. Chcę, żebyś się ze mną ożenił. - Urwałam na chwilę. - O Boże, to nie tak. Chciałam powiedzieć: Lorenzo, proszę, ożeń się ze mną, bo kocham cię tak, jak nie pokocha cię żadna inna, bo nie mogę przestać o tobie myśleć, zresztą i tak tego nie chcę, a jeśli mi odmówisz, ucieknę, nigdy tu nie wrócę, będę w Chicago projektowała ogrody innym, nie sobie, nikogo nie pokocham, będę sama. - Spojrzałam mu w oczy. - Bez ciebie.

Wyrzuciłam to wszystko jednym tchem, całą miłość i strach.

- Tesoro - powiedział miękko. - Jestem od ciebie o wiele starszy. Nie zastanawiasz się nigdy, co będzie, kiedy ja będę stary, a ty ciągle młoda? Ile przed nami dobrych lat? Pięć? Dziesięć? Dwadzieścia, jeśli los będzie łaskawy?

- Dwadzieścia lat miłości to całe życie - odparłam.

- Kochanie, jak mogę prosić cię o rękę? Potrzebuję cię, Bóg jeden wie, jak bardzo, ale czy mogę samolubnie zabierać ci najlepsze lata życia?

- Najlepsze lata mojego życia to lata z tobą. - Nie poproszę cię jeszcze raz, Lorenzo. Wyłożyłam karty na stół. Teraz wszystko w twoich rękach.

Porwał mnie w ramiona.

- Jakże mógłbym z ciebie zrezygnować - szepnął w moje włosy. - Wnosisz spokój w moje życie. Wnosisz radość, śmiech i młodość, i energię, przy tobie zapominam o zmartwieniach i staję się innym człowiekiem. Boże, Lamour, nawet sobie nie wyobrażasz, jak cierpiałem na myśl o życiu bez ciebie.

- Wcale nie musisz tak cierpieć, prawda? - zauważyłam rozsądnie. Roześmiał się.

- Lamour Harrington, wyjdiesz za mnie? Oczywiście się zgodziłam.

Nigdy nie zjedliśmy tamtej kolacji, a moja nowa suknia poniewierała się na podłodze sypialni. Ale to i tak bez znaczenia.

## Epilog

Lorenzo podarował mi Daisy w prezencie ślubnym. I to nie wszystko. Z pomocą Mifune, w tajemnicy przede mną, zbudowali dla niej małą oborę na łące za castello. Oczywiście za sprawą Mifune obora wygląda jak japońska herbaciarnia wśród geometrycznych płatów trawnika.

Krowa jest piękna, o ile o krowie można tak powiedzieć, ale moja Daisy naprawdę jest urocza. Kremowa, ma łagodne brązowe oczy ocienione długimi rzęsami, jak Angelo, moja pierwsza miłość.

Chodzę do niej codziennie, rano i wieczorem, prowadzę z pastwiska do obory, żeby ją wydoić. Na powitanie łaskocze mnie w dłoń miękkim pyskiem. Wiem, że nie powinnam, ale zawsze całuję ją w łeb, w jedwabistą sierść między ślepiami. Reaguje na swoje imię i zamierzam nauczyć się doić ją ręcznie, choć Lorenzo oczywiście sprowadził fachowy sprzęt. Działa bez zarzutu, ale chcę się nauczyć, jak to robić. Tym sposobem podtrzymam, choćby we własnych oczach, mój już i tak mocno nadszarpnięty wizerunek kobiety samowystarczalnej. Nie pytajcie o kury. Powiem tylko, że nadal nie zniosły ani jednego jajka.

Jammy i Matt przyjadą na ślub. Jammy twierdzi, że zamówiła mi w prezencie staroświecki stół dla dójki, taki na trzech nóżkach, a ja się domagam czegoś porządniejszego, choćby kieliszków do martini. Zobaczymy.

Co z moim statusem kobiety niezależnej i samodzielnej? Cóż, z samodzielności zrobił się szczęśliwy związek. A czy nie to w życiu najważniejsze?

Nico dobrze przyjął wiadomość o naszym ślubie.

- Wygrał lepszy - powiedział z uśmiechem. - Ojciec zawsze mnie we wszystkim pokonywał.

Wydawało mi się, że słyszę gorycz w jego głosie, ale po chwili był to już dobrze znany mi Nico. Pocałowaliśmy się czule - czego nie robiliśmy nigdy, kiedy mnie podrywał.

- Szkoda, że już za późno - powiedział z prowokacyjnym uśmiechem. - Ale pamiętaj, Lamour, ja nigdy nie rezygnuję.

- Za to ja tak, zapamiętaj sobie - odcięłam się.

Aurora, moja siostra przyrodnia, odzyskuje zdrowie. Powoli uniezależnia się od ojca, staje na własnych nogach. Zazywa lekarstwa, wróciła na studia, stara się normalnie żyć. Dzwonię do niej codziennie, przypominam, że jestem jej siostrą, jej przyjaciółką i może na mnie polegać. Powiedziała mi, że ma przy łóżku zdjęcie Jon-Boya, obok fotografii Lorenza i Marelli.

- I twojej - dodała słodko. - Miasorella. - Chyba zapomniała o tamtej strasznej nocy na morzu i mówiła szczerze, kiedy wyrażała radość z powodu naszego ślubu. - Teraz już nigdy mnie nie opuścisz - szepnęła, targana dawnym strachem.

- Jesteśmy rodziną - powiedziałam, a ona się roześmiała, ciepło, pogodnie, i widziałam, że się cieszy.

- Może będziecie mieli dzieci - powiedziała, a ja się zamyśliłam.

To cudowna myśl: mieć dzieci z Lorenzem; w ten sposób na zawsze zachowam jego część. Małe dzieci, przyrodnie siostry i braciszki, siostrzenice, bratankowie... nadal nie mogę się połapać, jak określić to pokrewieństwo, ale to nieważne. Aurora będzie ciotką moich dzieci, a ja jej, kiedy wyjdzie za mąż.

A Lorenzo, mężczyzna moich marzeń? Czy raczej, jak ostatnio mu wyjaśniłam, byłby mężczyzną moich marzeń, gdybym знаła go wcześniej i wiedziała, o kim marzyć. Łączy nas coś, czego nie sposób wyrazić słowami. Widać to w spojrzeniach przez zatłoczoną salę, w tym, jak bez słów



odgadujemy swoje myśli, w jego dłoni, która zamyka się na mojej, ilekroć ogarnia mnie smutek. To uczucie jest w cudownym ciężarze jego ręki na moich ramionach, gdy wieczorem spacerujemy po magicznych ogrodach Mifune. Jest w jego ciele, przytulonym do mojego, zmęczonym miłością. Jest w czułości, która mnie ogarnia, gdy obserwuję, niezauważona, jak czyta w okularach na czubku nosa, w trosce, z jaką opiekuje się kochaną, brzydką Affare, jest w jego zapale, gdy ścigamy się przez zatokę. Jest w namiętności, która mnie przy nim ogarnia, w cudownym braku egoizmu - byle tylko ukochanej istocie było dobrze. Wiek nie ma znaczenia. Cieszymy się każdą chwilą.

Jestem wdzięczna Jon-Boyowi, że pokazał mi, czym jest prawdziwa miłość, choć sam jej nigdy nie doświadczył, tylko, jak napisał w dzienniku, do mnie, swojej córki. Wielka szkoda, że nie poznał drugiej córki; ich życie wyglądałoby wówczas zupełnie inaczej. Ale nie ma sensu tego rozważać. Wiem, że Jon-Boy wreszcie pozwolił mi odejść.

I jeszcze Mifune. Mój przyjaciel z dzieciństwa, mój duchowy mentor, który uczył mnie, jak być sobą jak słuchać własnych uczuć. Człowiek, który uświadomił mi, że piękno ogrodów to efekt brudnej, ciężkiej, mozolnej pracy, lecz rezultaty zapierają dech w piersiach, są pożywką dla duszy i najpiękniejszym dziedzictwem. Pamiątką po nim będą ogrody w castello i przy moim złotym domku.

Z dnia na dzień jest coraz słabszy, coraz bardziej zamknięty w sobie. Chyba szykuje się na spotkanie z duchami przodków. Przynależ mi, że dotrwa do dnia mojego ślubu, i wierzę, że dotrzymam słowa.

Jest już późno, na niebie zawisł rąbek księżycy, spięty z Wenus, jak mawia Lorenzo. Obiecał, że kupi teleskop, żebym wyraźniej wszystko widziała, żebym zobaczyła, jak księżyc spogląda na nas, wtulonych w siebie w pokoju na wieży, który tak kocham.

Jednego nigdy mu nie powiem: mój mały złoty domek kocham bardziej niż castello. Powtarzam sobie, jakie mam szczęście, że otacza mnie tyle miłości. I kto by to pomyślał zaledwie rok temu?

Ale, jak mawia Jammy, moja najlepsza przyjaciółka: takie jest życie, skarbie. Nigdy nie wiadomo, co ci rzuci pod nogi.